

Inger Frimansson

Mistrzynie thrilleru psychologicznego
wyróżniona przez **Szwedzką Akademię Kryminału**

*Opowieść o życiu pełnym upokorzeń,
w którym nadchodzi czas zemsty.*

DOBRANOC, KOCHANIE



Inger
Frimansson

Inger Frimansson

przełożyła
Grażyna Pietrzak-Porwisz

DOBRA NOC,
KOCHANIE



Warszawa 2011

Tytuł oryginału:
God natt min älskade

© Inger Frimansson 2011 by Agreement with Grand Agency,
Sweden and Anaw Sp. z o.o., Poland
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Buchmann Sp. z o.o.,
Warszawa 2011

Projekt okładki: Krzysztof Kiefbasiński
Redakcja: Beata Kaczmarczyk
Korekta: Jacek Ring
Skład: TYPO 2

ISBN 978-83-7670-375-6



www.fabrykakryminalu.pl

Wydawca:
Buchmann Sp. z o.o.
ul. Wiktorska 65/14, 02-587 Warszawa
Tel./fax 22 6310742
www.buchmann.pl

Wydanie I

Wszelkie prawa zastrzeżone

**Karłowi-Davidowi, który pożyczył mi dmuchawę
myśliwską na tak długo, jak potrzebowałam**

Prolog

Samolot wylądował na Arlandzie jakiś kwadrans po szóstej. Ponieważ lot do Londynu był opóźniony, nie zdążyli z przesiadką. Wszystkie samoloty do Sztokholmu były pełne. Dostaliby miejsca najwcześniej na następny dzień rano, gdyby nie atak złości kobiety z ambasady. Nazywała się Nancy Fors i w czasie całej podróży była spokojna, nieco przygaszona. Jej niespodziewany wybuch zaskoczył Justine.

Opuścili samolot w pierwszej kolejności. Na pokładzie pojawili się dwaj nieumundurowani policjanci, którzy wyprowadzili ich bocznym wyjściem.

– Niestety, prasa zwęszyła już, że pani wróciła – oznajmił jeden z nich, nawet nie zapamiętała jego nazwiska. – Są jak hieny, rozrywają wszystko na strzępy i pożerają. Zagramy im na nosie.

Zabrali ją do samochodu.

Zdumiała ją światło – czyste, chłodne światło – i delikatność zieleni. Zdażyła już zapomnieć, że krajobraz może tak wyglądać. Pytała wcześniej Nancy Fors:

– Czy nie tęsknisz za domem, jak wytrzymujesz tamtejszy upał?

– Wiem, że to potrwa tylko określony czas – odparła Nancy. – Mój prawdziwy dom jest przecież tutaj.

Minęli zjazd na Sollentunę i Upplands Väsby. Było wpół do ósmej. Policjant, który siedział za kierownicą, zwrócił się do Justine:

– Jeśli chodzi o tę... Martinę. Jej rodzice chcieliby się z panią spotkać.

– Tak?

– Zależy im na tym.

Odwróciła twarz w stronę szyby, zobaczyła zagajnik, w którym rosły drzewa o białych pniach.

– Oczywiście – przytaknęła. – Mogę się z nimi spotkać.

CZĘŚĆ I

1

Ten chłód – ostry, czysty. Woda połyskująca szarością, żywa niczym jedwab.

Tylko nie patrzeć w niebo, żadnych kontrastów, nie miała siły, zbyt bolały ją oczy. Wolała chmury, zwłaszcza te zbite w ciasną gromadę, zwiastujące śnieg.

Biały puch opadający z nieba powinien być suchy, gnany wiatrem jak dym; zerwałaby z siebie ubranie, by przewiało ją na wskroś.

Tam, w dżungli, próbowała przywoływać właśnie to wrażenie – muśnięcie kryształków lodu. Z napięciem w całym ciele przymykała oczy, by przypomnieć sobie odgłosy skandynawskiej wody, kiedy wiosną zaczynają ruszać skute lodem rzeki.

Nigdy jej się to nie udało. Nawet gdy jej umęczonym ciałem wstrząsały potworne, gorączkowe dreszcze, gdy Nathan okrywał ją ubraniami, szmatami, zasłonami – wszystkim, co było pod ręką.

Marzła, lecz nie był to właściwy rodzaj zimna.

Naprzód, naprzód, biegiem!

Takiej mnie jeszcze nie znasz.

Naprzód, naprzód, ponaglała swoje masywne ciało; stopy w adidasach do biegania lekkie niczym liście. Zaledwie kilka dni wcześniej przymierzała je w sklepie sportowym w Solnej. Zostały wypróbowane z kliniczną dokładnością pod nadzorem ekspedienta o śnieżnobiałych zębach i bujnych, błyszczących włosach. Kazał jej biegać po taśmie

i filmował ruchy jej stóp. Biegając, zaciskała pięści, mocno, bardzo mocno, w obawie, by nie stracić równowagi i nie ośmieszyć się w jego oczach. Czterdziestopięcioletnia kobieta z nadwagą, oby nie dostrzegł desperacji, z jaką zaciskała kolana.

Przyglądał się jej z surowym wyrazem twarzy.

– Ma pani pronujące stopy – stwierdził.

Wpatrywała się w niego z niepewnością.

– Naprawdę, ale nie ma się czym martwić. Nie jest pani jedyna, prawie wszyscy mają ten problem.

Zeszła z taśmy, włosy lepiły się jej do karku.

– Biegając, stawia pani krzywo stopy. Obciąża je pani, o tak, przez co podeszwy zdzierają się bardziej po jednej stronie.

Podniósł jej stare kozaki i pokazał.

– Sama pani widzi.

– Ale ja przecież wcale nie biegam, nigdy tego nie robiłam.

– To nie ma znaczenia, i tak pani pronuje.

– Promuję?

Taka próba żartu. Uśmiechnął się z uprzejmości.

Kupiła te buty, kosztowały prawie tysiąc koron. Zrobił jej wykład: na dłuższą metę opłaca się inwestować w jakość. Można sobie zaszko-dzić, biegając w nieodpowiednim obuwiu, nabawić się kontuzji, nadwe-rężyć. Zwłaszcza jeśli nie ma się wprawy.

Nazwa butów – Avia – przywiodła jej na myśl samolot.

I ucieczkę.

Podążanie w stronę horyzontu.

Z granatową czapką naciśniętą na głowę zaczęła wspinać się na wzniesienie w Johanneslund. Biegła pochylona do przodu, płosząc ma-łe gromadki zielonych ptaków z ich gniazd. Choć poruszały się bezsze-lestnie, słyszała skargę. Swoim zdyszczanym ludzkim ciałem i świszczą-cym, ciężkim oddechem zakłóciła rytm ich krzątania.

Oddalamy się od siebie.

Nie!

Szkoda, że mnie teraz nie widzisz, byłbyś ze mnie dumny. Mogłabym pojechać za tobą na sam koniec świata. Zerknąłbyś do tyłu, obserwowałbyś mnie tymi swoimi niebiańsko błękitnymi oczami: To Justine, kobieta, którą kocham, umie chodzić po ścianach jak pająk.

Albo jak mrówka.

Na samej górze silny wiatr wyciskał jej łzy z oczu. W dole rozpościerały się domy. Były niczym pudełka poustawiane w płataninie ulic i placów, okolone szpalerami hodowlanych róż. Tak samo musiało to wyglądać na gipsowej makiecie architekta.

Omam nie wpadła prosto na stos butelek, plastikowych kubków i pozostałości fajerwerków. Jacyś ludzie wdrapali się tu w Nowy Rok, by było ich lepiej widać, by móc strzelać petardami wyżej niż inni. Zeszli potem w dół, zataczając się i szukając drogi do domu.

Niekiedy wybierała się samochodem w okolice nowej ujeżdżalni koni w Grimsta, gdzie w dni powszednie nie brakowało miejsc na parking. Koni zwykle nie było widać; raz obserwowała je na błotnistej łące przed ujeżdżalnią – kilka długonogich zwierząt z pyskami przy ziemi jak odkurzacze. Nie dostrzegła tam ani jednego źdźbła trawy.

Poczuła nagły impuls, by klasnąć w dłonie, tylko po to, by wywołać gwałtowne poruszenie wśród zwierząt. Żeby któryś z koni, może przewodnik stada, błyskając w przerażeniu białkami oczu, popędził przed siebie, nie zważając na to, że jest otoczony ze wszystkich stron parkanem. Ogarnięty paniką myślałby jedynie o ucieczce, a reszta koni pocwałowałaby za nim. Oszalałe ze strachu gnałyby przez błoto, zupełnie tracąc orientację.

Nie poddała się oczywiście temu impulsowi.

Na lewo od pobliskiego lodowiska zaczynała się oświetlona ścieżka. Pobiegnęła nią tylko kawałek. Skręciła w podmokły teren poniżej domów

czynszowych, minęła parking przy kąpielisku Maltesholmsbadet, zauważając, że nadal nie wstawiono nowej szyby w jednej z przyczep kempingowych. Skierowała się w stronę wody i biegła chwilę wzdłuż brzegu.

Wypłoszyła kilka kaczek, które uciekły, kolebiąc się, ale nie wydając żadnych odgłosów. Był styczeń, sporo stopni powyżej zera. Przez ponad tydzień nieustannie padało, lecz tego popołudnia na niebie rozpościerały się błękit i biel.

Wciągnęła nozdrzami powietrze.

Biegła wzdłuż ścieżki sterty liści, proces butwienia najwyraźniej już ustał; były brązowe, śliskie, wcale nie skórzaste.

Jak tam, w dżungli.

Żadnych dźwięków, żadnego świergotu ptaków czy odgłosów spadających kropli, tylko jej rytmiczne kroki. Głuche dudnienie, gdy parła z trudem pod górę, kroki niosące się echem, gdy wpadła na drewniany most, omal się nie przewracając. Bijąca od wody wilgoć utworzyła zdradliwy osad, na którym podeszwy się poślizgnęły.

Nie! Nie zatrzymuj się, żadnej słabości; pieczenie w płucach, bolesny, cichy charkot. Poganiała siebie samą, jakby była nim, Nathanem.

Byłbyś ze mnie dumny, kochałbyś mnie.

W domu stanęła tuż przy drzwiach, oparła się o ścianę i rozwiązała sznurówki. Zrzuciła z siebie resztę ubrań – czerwony, chroniący przed wiatrem dres, bieliznę termoaktywną, sportowy biustonosz i majtki. Stanęła w rozkroku i uniosła ręce, czekając, aż pot powoli wyparuje.

Ptak sfrunął gdzieś z góry. Trzepotał skrzydłami, krzyczał, skrzeczał, podnosił rejwach. Usiadł na jej głowie, wczepiając się we włosy grubymi błyszczącymi szponami. Poruszając nią, czuła jego ciepły ciężar.

– Czekaleś na mnie? – zapytała. – Wiesz, że zawsze wracam.

Zdjęła go, pogładziła po grzbiecie i odpędziła. Gniewnie pomrukując, zniknął w kuchni.

Na grubym dywanie w jadalni wykonała stretching, zgodnie ze wskazówkami z programu telewizyjnego. Nigdy nie przepadała za zajęciami grupowymi. Nathan mawiał, że jest płochliwa. Na samym początku ich znajomości właśnie ta cecha najbardziej go w niej pociągała.

Nadal miała dość masywną sylwetkę, lecz spędzony daleko czas wyrzeźbił na nowo jej figurę. Wyglądała szczuplej, choć waga wciąż wskazywała siedemdziesiąt osiem kilogramów. Weszła do łazienki i przez dłuższą chwilę stała pod prysznicem, przesuważąc gąbką po brzuchu, udach i w zagłębieniach kolan.

Tam, w dżungli, dzień w dzień tęskniła za czystymi europejskimi prysznicami, za podłogą, na której można stanąć bez obaw, za kafelkami na ścianach.

Razem z Martiną kąpały się w żółtej wodzie w rzece, a zapach błota i szlamu wżerał się w pory i nie można się go było pozbyć. Z początku wzdragała się przed wejściem, wyobrażając sobie wszystko, co mogło się poruszać pod powierzchnią wody: węże, piranie, pijawki. Któregoś ranka zmuszeni byli przeprowić się w ubraniach przez rwącą rzekę, bo nie było innej drogi. Potem nie bała się już niczego.

Wytarła się dokładnie i posmarowała ciało balsamem. Tubka z napisem „Roma”, mająca kształt krzywej wieży w Pizie, była niemal pusta. Rozciąła ją nożyczkami i wybrała palcami resztę zawartości. Przyglądała się chwilę twarzy w lustrze, już niemłodej, z czerwonymi plamami od gorąca. Zrobiła kreski wokół oczu, dokładnie takie, jakie malowała zawsze, od lat sześćdziesiątych. Nikomu nie udało się jej od tego odwieść.

Nawet Florze.

Ubrana w zieloną sukienkę do chodzenia po domu przeszła do kuchni i wlała do talerza kefir. Ptak usadowił się na parapecie, świdrując otoczenie jednym okiem i pomrukując, jakby był niezadowolony. Na ścieżce przed domem przycupnął kos, o tej porze roku jak zwykle bardziej

pękaty, z nastroszonymi piórami. Zimą zmieniał się jego śpiew. Stawał się jednostajny i ostry, jakby ktoś brzdąkał na mocno napiętej strunie gitary. Zwykły świergot, melancholijny i radosny zarazem, ustawał pod koniec lata i powracał mniej więcej w drugiej połowie lutego. Dobiegał wtedy z czubka korony bardzo wysokiego drzewa.

Justine mieszkała przez całe życie w tym samym miejscu, nad wodą, w Hässelby Villastad. W wąskim, wysokim kamiennym domu, w sam raz dla dwóch-trzech osób. Nigdy nie było ich więcej niż troje, z wyjątkiem krótkiego okresu z dzieckiem.

Teraz została sama i mogła urządzić dom według własnego uznania. Na razie zachowała niemal wszystko w niezmienionej postaci. Spała w swoim dzieciennym pokoju z wyblakłymi tapetami, nie wyobrażała sobie, że mogłaby się przenieść do sypialni ojca i Flory. Ich łóżko stało zasłane, jakby w każdej chwili mogli wrócić. Justine ściagała kilka razy do roku narzutę i zmieniała pościel.

W garderobie nadal wisiały ich ubrania, na lewo garnitury i koszule ojca, po drugiej stronie drażka małe kostiumy Flory. Na butach zalegała cienka warstwa kurzu. Czasem miała ochotę go usunąć, lecz nigdy nie wystarczyło jej siły, by się pochylić i to zrobić.

Gdy nachodziła ją ochota, by się czymś zająć, wycierała kurz z komody. Myła lustro, przesuwała trochę szczotkę i flakoniki z perfumami. Któregoś razu podeszła ze szczotką Flory do okna i przypatrywała się pozostawionym w niej długim siwym włosom. Przygryzła mocno wewnętrzną część policzka, a potem prędko wyciągnęła jeden włos. Wyszła na balkon i go podpaliła. Płonął z duszącym zapachem i zwijał się, aż zniknął.

Zapadał zmierzch. Była na piętrze, przysunęła krzesło do okna i nałała sobie kieliszek wina. Woda jeziora Mälaren połyskiwała w oddali, kołysało się na niej odbicie zewnętrznego oświetlenia z posesji sąsiadów. Było nastawione na określony czas, włączało się o zmierzchu.

W domu rzadko ktoś bywał, nawet nie znała ludzi, którzy teraz tam mieszkali.

Nie żeby ją to obchodziło.

Była sama i wolna, mogła robić dokładnie wszystko, co zaplanowała. To, co trzeba było zrobić, by stać się zdrowym człowiekiem. Pełnym życia i silnym jak inni ludzie.

Miała do tego prawo.

2

Boże Narodzenie spędził u rodziców. Dni mijały spokojnie, nie działo się nic szczególnego. Wigilia – piękna, z drzewami otulonymi szronem. Matka powiesiła na starej brzozie latarenkę, tak samo jak w dzieciństwie. Pamiętał, jak chichotali z podniecenia z Margaretą w wigilijne poranki.

Matka nalegała, by wracał na święta do domu. A co innego mógłby ze sobą zrobić? Mimo wszystko krygował się, pozwalał jej prosić i błagać, jakby wciąż potrzebował potwierdzenia, że nadal wiele dla niej znaczy.

Nie bardzo wiedział natomiast, co tak naprawdę myśli ojciec. Kjell Bergman był mężczyzną rzadko okazującym uczucia. Hans Peter widział tylko raz, jak traci panowanie nad sobą. Dostrzegł wtedy przemijający po wydętej twarzy ojca cień bólu. Tej nocy, kiedy pojawiła się u nich policja. Osiemnaście lat wcześniej, gdy Margareta miała wypadek. Mieszkał jeszcze wtedy w domu.

Śmierć siostry sprawiła, że musiał odłożyć na później planowaną przeprowadzkę. Został im tylko on, rodzice go potrzebowali.

Gdy zdarzył się wypadek, miał dwadzieścia pięć lat i był pochłonięty planowaniem swojej przyszłości. Studiował teologię i psychologię na

uniwersytecie. Gdzieś w głębi duszy odczuwał tęsknotę za czymś wzniosłym. Wyobrażał sobie siebie w surowych, czarnych strojach, doznając przy tym pewnego rodzaju spokoju.

Został z nimi jeszcze trzy lata. Później spakował swoje rzeczy i wyprowadził się. Rodzice znowu zaczęli ze sobą rozmawiać. Z początku milczeli, tkwili jak posągi w fotelach przed telewizorem, nie mówiąc ani słowa. Jakby chcieli ukarać się nawzajem, jakby w jakiś irracjonalny sposób uważali, że partner ponosi winę za to, że Margareta zjechała z drogi.

Miała prawo jazdy niewiele ponad tydzień i tamtego wieczoru wzięła ich samochód, saab, model z 1972 roku. Nigdy nie udało się ustalić, dlaczego w pobliżu Bro zjechała z drogi prosto w betonowy blok.

Samochód był doszczętnie rozbity.

Jej pokój stał nieużywany od lat. Matka czasem się w nim zamykała. Po wyjściu stamtąd szła prosto do sypialni, rozbierała się i kładła do łóżka.

Hans Peter patrzył na to z bólem. Powoli i delikatnie zaczął ją nakłaniać, by pozwoliła mu zrobić porządek w pokoju siostry. W końcu uległa jego namowom.

Posprzątał tam, wyniósł rzeczy osobiste Margarety na strych, rekwirując przy okazji jej łóżko oraz małe, śliczne biurko. Rodzice nie pokazali nic po sobie, nie zająknęli się o tym ani słowem, nawet gdy z uprzątniętego pokoju zaczęło zionąć pustką. O tak, zrobił wszystko bardzo dokładnie – umył ściany roztworem sody, przeciągnął mopem po suficie, wyszorował okna i podłogę.

Matka zawsze mówiła, że chciałaby mieć jadalnię.

– No to macie jadalnię – oznajmił. – Pokój gotowy.

Rzucił na stolik katalog Ikei i w końcu nakłonił ich, by go przejrzeeli. Ojciec coś przeżuwał, zaciskał zęby i milczał. Matka się popłakała. Ostatecznie jednak dzięki niemu pogodzili się z tym, że Margareta ni-

gdy nie wróci i że przerobienie jej pokoju na coś praktyczniejszego niż muzeum nie będzie zniewagą dla jej pamięci.

Jadali tam właściwie tylko wtedy, gdy ich odwiedzał. Żeby sprawić mu przyjemność. Hans Peter domyślał się, że nie miewali gości. Nie zapraszali nikogo wcześniej, dlaczego mieliby robić to teraz – tylko dlatego, że w domu była teraz jadalnia?

Zachowywali się, jakby nie wystarczało im siły na nic innego poza codzienną krzątanią. Ojciec był wciąż zmęczony. Pracował jako blacharz, lecz od wielu lat był na emeryturze. Zniszczył sobie kręgosłup.

Matka była nauczycielką w gimnazjum.

Hans Peter przypomniał sobie, jak Margareta zaczęła kiedyś oskarżać rodziców, że izolują się od ludzi. Miała może ze trzynaście lat, zaczynała się trochę buntować. Ojciec chwycił ją za ramiona i postawił pod ścianą.

– Żyjemy, jak nam się podoba, a jeśli panience coś nie pasuje, może się wyprowadzić. Tak jest nam dobrze, nie potrzebujemy tu całej masy ludzi, którzy wtykaliby nosy w nasze sprawy.

Był to jeden z tych nielicznych momentów, kiedy pozwolił wyprowadzić się z równowagi.

Wolał trzymać wobec nich dystans. Znalazł mieszkanie w Hässelby Strand. Blisko do metra, wokół dużo zieleni, a on lubił się ruszać, chodzić na piesze wędrówki. Kontynuował studia, lecz nie dało to nic konkretnego. Gdy zaczynał się martwić splątą kredytu studenckiego, chwycił się dorywczych zajęć, rozwoził pocztę na rowerze, przeprowadzał badania opinii publicznej dla SIFO. Nie zarabiał w ten sposób kokosów, ale nie miał też zbyt wygórowanych potrzeb.

W bibliotece w Åkermyntan, centrum handlowym dzielnicy Villastaden, poznał Liv Santesson, bibliotekarkę, która właśnie skończyła studia, i wkrótce się z nią ożenił. Nie była to bynajmniej żadna namiętność ani z jego, ani z jej strony. Wystarczało im, że się lubili.

Wesele było bardzo skromne, wzięli ślub w ratuszu, a potem poszli z najbliższymi krewnymi na obiad do restauracji Ulla Windbladh.

Jej brat prowadził w mieście hotel i Hans Peter zatrudnił się u niego jako nocny portier. Nie było to najszcześniejsze posunięcie jak na faceta, który dopiero co się ożenił i powinien – jak przystało na młodego żonkosia – przede wszystkim adorować swoją żonę.

Dzieci nie mieli, a ich aktywność seksualna z czasem całkowicie ustała.

Łączy nas zupełnie inny rodzaj związku, myślał w przekonaniu, że i ona tak to odczuwa.

Mylił się jednak. Którejś soboty, prawie dokładnie w czwartą rocznicę ślubu, oznajmiła, że chce się rozwieść.

– Spotkałam kogoś – wyznała, dotykając nerwowo koniuszka ucha i odsuwając się, jakby w obawie przed uderzeniem.

Zachował zupełny spokój.

– Pasujemy do siebie z Berntem. W zupełnie inny sposób niż z tobą. Bądźmy szczerzy, nigdy nie mieliśmy ze sobą zbyt wiele wspólnego. Poza literaturą. Samą literaturą nie da się jednak żyć.

Poczuł dotyk smutku, lekki i przelotny. Pojawił się i zniknął.

Objęła go; drobna, chłodna dłoń zatrzymała się na karku. Raz po raz przelykała ślinę.

– Jesteś fajnym facetem – wyszeptwała. – Nie mam do ciebie żadnych pretensji, nie o to chodzi... ale prawie wcale się nie widujemy, a Bernt i ja, my chcemy...

Hans Peter pokiwał tylko głową.

– Wybacz mi, powiedz, że mi wybaczasz.

Rozpląkała się, łzy spływały strumieniem po policzkach, zatrzymywały się na czubku podbródka, spadały i zostawały wchłonięte przez sweter. Nos miała zaczerwieniony i błyszczący.

– Właściwie nie ma czego wybaczać – odparł zduszonym szeptem.

Pociągnęła nosem.

- Nie jesteś na mnie zły?
- Raczej rozczarowany. Tym, że nam nie wyszło.
- Może człowiek potrzebuje więcej... paliwa?
- Może i tak.

Nazajutrz wyprowadziła się z mieszkania. Zabrała tylko najpotrzebniejsze rzeczy i pojechała do Bernta. Po kilku dniach wróciła furgonetką wypożyczoną na stacji benzynowej. Zdziwił się, bo nigdy nie lubiła prowadzić samochodu.

Pomógł jej znieść rzeczy. Zostawiła mu większość mebli i sprzętu. Bernt miał w pełni wyposażony dom, mieszkał w szeregowcu na Blomsterkungsvägen.

– Może dasz się namówić na kawę? – zapytał, gdy już uporali się ze wszystkim.

Właściwie nie chciał tego, wołał, żeby sobie poszła, wołał zostać sam. Nie rozumiał, po co to powiedział, słowa same się wymsknęły.

Wahała się przez chwilę, a potem się zgodziła.

Siedzieli obok siebie na sofie, ale kiedy chciała objąć go ramieniem, zeszytniał.

Przełknęła ślinę.

– Jednak jesteś na mnie wkurwiony?

Wtedy po raz pierwszy usłyszał z jej ust przekleństwo. Był tak zaskoczony, że wybuchnął śmiechem.

Wiele lat później spotkał ich w Åkermyntan z siatkami pełnymi zakupów. Byli z dziećmi, przedstawiła mu je, ale od razu zapomniał ich imion.

Jej nowy mężczyzna był postawny i silny, z wydatnym brzuchem. Miał na sobie spodnie od dresu.

Ale kałdun, pomyślał Hans Peter, jednak bez satysfakcji.

Liv zmieniła fryzurę, miała teraz krótsze, kręcone włosy.

– Wpadnij kiedyś do nas na drinka – zaproponowała. Mężczyzna u jej boku przytaknął:

– Pewnie, wpadnij. Mieszkamy w Backlura, dojedziesz autobusem, linia sto dziewiętnaście.

– Dobrze – mruknął bez entuzjazmu.

Liv przytrzymała go za rękaw kurtki.

– Nie chciałabym, żebyśmy całkiem stracili się z oczu – powiedziała.

Spojrzał w zniecierpliwione twarzyczki dzieci. Dziewczynka przyglądała mu się z wrogością.

– Pewnie, będziemy w kontakcie – odparł.

Matka spoglądała czasem na niego z wyrzutem. Marzyła o wnukach. Nie powiedziała tego nigdy wprost, lecz pokazywała na przykład zdjęcie jakiegoś dziecka w gazecie, wygłaszając podszyty smutkiem komentarz. Lubiła też włączać telewizję akurat w porze, gdy zaczynał się program dla dzieci i rozlegał się sygnał „bolibompa, bolibompa”.

Doprowadzało go to do wściekłości, lecz nie dawał tego po sobie poznać.

Spotykał się z różnymi kobietami, czasem zabierał je do rodziców, by dać matce choć promyk nadziei.

Wiedział, że rozczarował rodziców. Ani porządnego zawodu, ani rodziny.

Nie mógł ich za to winić, wręcz przeciwnie.

Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby nie wypadek Margarety. Hans Peter zupełnie wytracił wtedy impet.

W święta zaczął padać deszcz i opady utrzymywały się przez cały tydzień. Matka starała się ze wszystkich sił mu dogadzać. Co rano przygotowywała tacę ze śniadaniem, a gdy się budził, słyszał jej delikatne pukanie do drzwi.

– Mój synuś – mamrotała, stawiając tacę na stoliku nocnym.

Miał wtedy ochotę przytulić się do niej i popłakać. Nieświeży oddech sprawiał, że nadal tkwił nieruchomo pod kołdrą.

Został prawie do samego sylwestra. Nie mógł już wytrzymać. Ich oddechy, sposób, w jaki przeżuwali, jazgot telewizora nastawionego na cały regulator. Oboje mieli po siedemdziesiątce. Jedno z nich wyzionie ducha pierwsze. Nie wiedział, któremu będzie trudniej znieść samotność.

Znali się od dwudziestego roku życia.

Tęsknił za swoim chłodnym mieszkaniem. Pociągałby wino i rozwiązywał krzyżówki, słuchałby swojej muzyki – Krausa i Franka Sinastry.

Matce powiedział, że idzie na sylwestra do dobrych przyjaciół.

Gdy tylko przekroczył próg mieszkania, zadzwonił telefon.

Jedna z jego znajomych.

Jasna cholera, pomyślał. Tylko nie to.

– Jak się miewasz? – zapytała swoim słabym, dziewczęcym głosem.

– Dobrze, właśnie wróciłem do domu.

– Byłeś u Kjella i Birgit?

Spotkała ich tylko raz, a mimo to wyrażała się o nich z poufałością.

– Owszem.

– Tak myślałam, próbowałam się do ciebie dodzwonić.

– Aha.

– Hans Peter? Może wpadłabym do ciebie jutro? Powitamy razem Nowy Rok?

Mógł powiedzieć, że idzie do pracy, lecz nie umiał jej odmówić.

Przyszła, zrobiła się na bóstwo. Zapomniał już, że jest taka ładna, zrozumiał, że starała się specjalnie dla niego. Poczł wyrzuty sumienia.

Spotkali się u wspólnych przyjaciół i potem widywali się przez jakiś czas. Rzadko, nieregularnie. Zabrał ją kiedyś do rodziców w Stuvsta.

– Uważasz, że się narzucam? – zapytała prosto z mostu. – Kobieta nie powinna przejmować inicjatywy, nie w ten sposób.

– E tam!

– Tak czy inaczej, jestem tutaj.

Miała ze sobą jedzenie, dwie pełne siatki, wino i szampana.

Okej, pomyślał, skoro tego chce...

Było w niej coś, co podniecało go bardziej niż u innych kobiet. Może sposób, w jaki zwieszała głowę, wyglądała wtedy, jakby czuła się winna.

Był niemal przerażony swoją gwałtownością.

Zaraz potem od razu wstała z łóżka.

Wiedział, że nie było jej dobrze, wszystko poszło zbyt szybko.

Chciał jej o tym powiedzieć, nie znalazł jednak odpowiednich słów.

Zrobimy to jeszcze raz, pomyślał. Później.

Nakryli razem do stołu. Nie mówiła zbyt wiele, lecz gdy wypła pół kieliszka wina, zaczęła płakać.

– O co chodzi? – zaniepokoił się.

Nie odpowiedziała, jeszcze bardziej się rozplakała.

Rzucił widelcem o stół.

– Ale ze mnie bydlak! – krzyknął.

Odsunęła się na bok, nadal milcząc.

– Skarbie, po co tu właściwie przyszłaś? – zapytał cicho.

– Podobasz mi się, tęskniłam za tobą, brakowało mi ciebie przez całe te cholerne święta.

Wstał, obszedł stół, chwycił ją pod ramiona, posadził prosto.

– Dokończymy kolację?

Wyjęła chusteczkę i przytaknęła.

Po kolacji zasnęła na sofie oparta o jego ramię. Oddychała ciężko i głośno. Było mu niewygodnie, lecz nie odważył się zmienić pozycji. Bał się, że się obudzi i zacznie stawiać mu wymagania.

Wypełniło go poczucie osamotnienia.

3

Nathan miał na sobie zielone bojówki. Były zbyt mało przewiewne jak na dżunglę, lecz nie pomyślał o tym, kiedy je kupował, wtedy wydawały mu się praktyczne i tanie. Warte swojej ceny – Justine pamiętała, że użył właśnie takiego sformułowania.

Nikt nie widział, że odchodzi na chwilę na stronę, nikt poza nią.

Prawdopodobnie krzyknął, gdy trafiła go strzałka z dmuchawki. Prawdopodobnie krzyknął, bo był zaskoczony, a może też dlatego, że poczuł ból. Upadł w tej samej chwili. W dole piętrzyły się bystrzyny i wodospady zagłuszające wszelkie odgłosy. Nurt był tak silny, że wszystko, co wpadało do wody, rozbijało się w drzazgi.

Czasem wydawało jej się, że słyszy ten jego krzyk. Mimo że wróciła już z podróży, mimo że była u siebie w domu. Słyszając krzyk, miała również przed oczami jego ciało obracające się podczas upadku; widziała jego ramiona i dłonie, które kochała.

Dom był wysoki i wąski, jakby w stylu niderlandzkim. Miał tylko jedno piętro, więc żeby zyskać więcej powierzchni, ojciec zagospodarował

strych. Nie korzystali z niego za często, latem było tam zbyt gorąco, a zimą zbyt chłodno.

Ojciec był pozbawiony zdolności manualnych. Zatrudniał rzemieślników, młodych ludzi w spodniach na szelkach, biegających tam i z powrotem po schodach, formujących usta do składania niemych propozycji, gdy wychodziła z pokoju w koszuli nocnej.

Chorowała od jakiegoś czasu. Leżała w łóżku, nasłuchując ich kroków i stukotu narzędzi. Stopniowo zaczynało do niej docierać, że nie jest już małą dziewczynką.

W piwnicy znajdował się piec olejowy. Kierowca cysterny, który przyjeżdżał napełniać zbiornik, narzekał, że trudno się tam dostać. Dom był położony zbyt blisko brzegu jeziora i gumowe węże ledwo wystarczały. Ojciec przekupywał kierowcę butelką whisky, a gdy Justine została sama, robiła tak jak on. Nie był to już oczywiście ten sam dostawca. Ten nowy był kościsty i wredny, mówił tak trudnym dialektem, że ledwo rozróżniała poszczególne słowa. Słyszając odgłos silnika cysterny, instynktownie kuliła się w sobie. Przez jakiś czas zastanawiała się nawet, czy nie zrezygnować z ogrzewania olejowego, lecz nie wiedziała, czym je zastąpić. Na piętrze był wprawdzie komin, ale zdawała sobie sprawę, że to nie wystarczy. Dojmujący chłód od jeziora wnikał w ściany i podłogi.

Tak czy inaczej, konfrontacja z kierowcą cysterny odbywała się tylko raz do roku. Zawsze stawiała przed oknem od piwnicy butelkę whisky obwiązaną pomarszczonym sznurkiem.

Na karteczce, którą wkładała pod butelkę, pisała: „Dziękuję za ropę”. Świsstek zawsze tam zostawał, atrament zaczynał się już rozmazywać.

W piwnicy znajdował się również staroświecki kocioł do gotowania bielizny, którego Flora używała z uporem wartym lepszej sprawy. Dwa razy w miesiącu robiła na dole wielkie pranie, a te dni napawały i ojca,

i Justine niesmakiem. Flora odgrywała brzydkie kaczątko, jakby przeobrażanie się w odpychającą praczkę sprawiało jej przyjemność. Wiązała na głowie chustkę i przebierała się w cuchnący kurzem wzorzysty fartuch, któremu brakowało guzików. Przechodziła swego rodzaju odwróconą przemianę w Kopciuszka, a jej palce pozostawiały piekące, mokre ślady na policzkach Justine.

Przedpokój był mikroskopijnych rozmiarów, musieli tam jednak przechowywać wierzchnie ubrania. W domu brakowało szaf. Już jako dorosła osoba dziwiła się, że ojciec, dysponując sporym majątkiem, nadal mieszkał w tak małym domu, niechby nawet położonym nad Mälaren. Sądziła, że został tu ze względu na jej matkę, powodowany sentymentem.

Justine spakowała płaszcz Flory i jej futro z niebieskich lisów, pokładała je do plastikowych ogrodowych worków. Lodenową jesionkę ojca, jego kaszkiety i kapelusze umieściła w osobnym worku. Wcześniej zamierzała odwieźć te rzeczy do punktów zbiórki organizacji charytatywnych Myrorna i UFF, lecz w ostatniej chwili zmieniła zdanie i wyniosła wszystko do piwnicy. Myśl, że mogłaby spotkać na ulicy jakąś kobietę ubraną w futro Flory, wzbudzała w niej odrazę. Jakby z twarzy obcej kobiety mogły spoglądać na nią oczy macochy. Jakby mogły przygwoździć ją do ulicznego bruku, zmusić do powrotu.

Na prawo od przedpokoju znajdował się błękitny salon, którego używali jako jadalni. Wszystko w tym pomieszczeniu było niebieskie lub białe: gęsta wykładzina, kotary z aksamitu, parapety z fiołkami afrykańskimi i browaliami. Kwiaty nie przeżyły jej nieobecności. Zalała je przed wyjazdem wodą i obłożyła stożkami z beżowej tektury, jednak to nie pomogło.

Natomiast ptakowi nie stała się żadna krzywda. Zostawiła go na strychu, gdzie nie mogło mu przytrafić się nic złego. Porozstawiała tam

miseczki z nasionami i wodą, zostawiła też cały kosz obranych jabłek. Mógł sobie poużywać.

W salonie nawet kolorystyka obrazów utrzymana była w błękitnej tonacji: zimowe krajobrazy, żaglówki oraz gobelin z cienkich jedwabnych gałganków, który zajmował całą węższą ścianę. Został utkany przez matkę jeszcze przed narodzinami Justine. Zawsze wisiał w tym samym miejscu. Czuli, że jest jej nieodłączną częścią.

Z chwil spędzonych z matką pozostały jedynie strzępy wspomnień: bębniący deszcz, płachta, pod którą siedzieli razem skulone, mokre, ubłocone skarpety lepzące się do stóp.

Zapach kosmatych kwiatów, coś gorącego z miodem.

Ojciec opowiedział jej, choć niechętnie.

Myślała o oknie, to na piętrze, wychodzące na jezioro. Dzień był skąpany w ostrym słonecznym świetle i rozbrzmiewał cierkającym śpiewem mew. Nie było wiatru, łód utrzymywał się jeszcze w zatoce, lecz zaczął już kruszeć. Może cieszyła się z tego, może nuciła sobie w promieniach słońca, może planowała usiąść potem chwilę na balkonie, z twarzą zwróconą ku niebu. Dość szybko przyswoiła sobie ten typowo skandynawski, hedonistyczny rytuał. Pochodziła z Annecy, małego miasteczka we Francji w pobliżu granicy ze Szwajcarią, a on zabrał ją stamtąd, by została jego żoną, wbrew woli jej rodziców.

Był czwartek. Wrócił do domu siedem po szesnastej. Leżała na podłodze pod oknem z rozpostartymi ramionami, jakby została ukrzyżowana. Od razu zorientował się, że nie da się już nic zrobić.

– A skąd wiedziałeś? – pytała Justine. Dopytywała się wtedy obsyjnje o matkę, chcąc jak najwięcej się o niej dowiedzieć.

Nie umiał odpowiedzieć.

– Może mimo wszystko jeszcze żyła, gdybyś natychmiast wezwał lekarza, może by ją uratowali.

– Nie oskarżaj mnie – mówił. Drgały mu kąciki ust. – Jeśli sama kiedyś zobaczysz nieboszczyka, zrozumiesz, co mam na myśli.

Najpierw pomyślał, że spadła z drabiny i uszkodziła sobie jakiś ważny organ. Jednak obdukcja wykazała, że pękła tylko jakaś żyłka w mózgu. Przez nią uszło z niej życie.

– Aneuryzma!

Ojciec wypowiadał to słowo powoli i dobitnie za każdym razem, kiedy jako dziecko rozmawiała z nim o tym zdarzeniu.

Czasem niepokoiła się, że to może być dziedziczne.

Dopytywała się o siebie.

– Tato, gdzie ja wtedy byłam?

Nie pamiętał.

Miała tylko trzy lata, trzy lata i kilka miesięcy. Jak reaguje trzyletnie dziecko, gdy jego mama spada z drabiny i umiera?

Musiała być gdzieś w domu, musiała krzyczeć i płakać. Nawet jeśli nie rozumiała, co się stało, musiała być przerażona nagłą, całkowitą przemianą matki.

Czasem budziła się z koszmaru, z bólem głowy jak po długim, wyczerpującym płaczu. Oglądała swoją twarz w lustrze, widziała podpuchnięte, szkliste oczy.

Sekwencje wspomnień z opuszczaną trumną, fragmenty gliny oraz kwiaty, które nigdy nie pachniały.

Ojciec, który stał na lodzie i krzyczał.

Oglądała w albumie zdjęcia kobiety, która była jej matką. Obca twarz pozostawiała ją zadziwiająco obojętną. Gęste, zaczesane do tyłu włosy kręciły się po bokach. Justine w ogóle nie była do niej podobna. W oczach kobiety dostrzegała jakiś dystans, który kłócił się z jej wyobrażeniami o matce.

Na piętro prowadziły strome, wąskie schody. To tam stała jej matka i myła okna. Na lewo były sypialnie, na prawo korytarz poszerzał się, tworząc salon z widokiem na wyspę Lambarön i dalej, na Mälaren. Nie wiele mebli, ściany zastawione regałami na książki. Sprzęt muzyczny, podłużny stolik ze szkła i dwa fotele.

Należały do ojca i Flory.

Justine proponowano wielokrotnie duże sumy za sprzedaż domu. Pośrednicy nie dawali jej spokoju, wrzucali do skrzynki na listy swoje prospekty, czasem nawet dzwonili. Jeden z nich był szczególnie nachalny. Nazywał się Jakob Hellstrand.

– Justine, mogłaby pani dostać kilka ładnych milionów za tę chałupę – marudził, zwracając się do niej po imieniu, jakby byli bliskimi przyjaciółmi. – Mam klienta, który chciałby ją przebudować, zawsze marzył o takiej lokalizacji.

– Przykro mi, ale raczej nic z tego nie będzie.

– Dlaczego nie? Proszę sobie wyobrazić, co można dostać za takie pieniądze. Samotna kobieta nie powinna siedzieć i więdnąć w Hässelby, powinna pani kupić sobie raczej mieszkanie w mieście i zacząć korzystać z uroków życia.

– A co pan może o tym wiedzieć? Może właśnie korzystam z życia. Zaśmiał się do słuchawki.

– Jasne, czemu nie? Ale, Justine, proszę przyznać, że jest w tym trochę racji.

Powinna była się wkurzyć, zachowała jednak spokój. Tak rzadko ktoś wymawiał jej imię.

– Justine, proszę dać znać, gdy tylko pani się zdecyduje. Ma pani numer mojej komórki, prawda?

– Owszem.

– Samotnej kobiecie trudno jest utrzymać cały dom. Zupełnie samej.

– Zadzwoń, jeśli zmienię zdanie – odparła.

Nie miała najmniejszego zamiaru wystawiać domu na sprzedaż. Nie potrzebowała też pieniędzy. Ojciec zostawił jej wystarczająco duży spadek. Mogła żyć dostatnio przez dłuższy czas, tak naprawdę do końca życia.

A Flora nie będzie mogła już nigdy domagać się niczego dla siebie.

4

Najtrudniej było wytrzymać zapach. Flora pamiętała go jeszcze z czasów młodości – któregoś lata pracowała dorywczo w szpitalu dla kobiet chorych psychicznie. Woń zjełczałego wosku do froterowania, niemytych włosów i zatęchłej wody z wazonów.

Teraz ten zapach zagnieździł się w niej samej.

Wbrew temu, co sobie wyobrażała, noce nie były aż tak przerażające. W nocy mogła wreszcie poczuć się swobodniej, licząc na to, że wtedy wszyscy zostawiają ją w spokoju. W nocy nikt nie próbował się z nią porozumieć, nie działo się nic, w czym powinna uczestniczyć.

Moje myśli zachowam dla siebie, moje myśli pozostaną dla was niedostępne. Tu, w środku, nadal jestem sobą, Florą Dalvik. Mam imię i nazwisko, jestem osobnym bytem. Chronię Florę Dalvik swoim ciałem, choć wydaje się zgrzybiałe i zniedołężniałe. Mimo wszystko nadal składa się ono z umysłu i myśli, prawdziwych atrybutów żywego człowieka.

Ruchom młodych kobiet – a wszystkie były młode w porównaniu z Florą – towarzyszyła pewna niecierpliwość. Jakby poganiały swój

dzień pracy, jakby chciały, żeby już minął. Tak by mogły pobiec do swoich szafek w przebieralniach, odwiesić stroje robocze i stać się osobami prywatnymi. Pojechać do domu, do swoich spraw.

Pielęgniarze byli obecni także w nocy, lecz rzadko zakłócali wtedy spokój. Tylko niekiedy wpadali jak cienie i przekładali ją na drugi bok. Wyczuwała, kiedy otworzą się drzwi, była na to przygotowana.

Zaczęli zaglądać do pacjentów częściej, gdy młoda dziewczyna z domu opieki Polhemsgården w Solnej uderzyła na alarm z powodu złego traktowania pensjonariuszy. Telewizja ABC pokazała zbliżenia odleżyn i poczerwiałych paznokci u nóg, a dziewczę z Polhemsgården otrzymało jakąś nagrodę za obywatelską postawę. W mediach mówiono dużo o odwadze cywilnej.

W przypadku Flory wydarzenie to odniosło taki skutek, że białe fartuchy wyciągały ją teraz codziennie z łóżka, zwłaszcza w weekendy, kiedy spodziewano się najwięcej odwiedzin. Pielęgniarki wciskały ją w wózek inwalidzki i przywiązywały do niego. Czesaly starannie jej rzadkie włosy i spletały w dwa warkocze. Ona nigdy nie zaplatała sobie włosów, nie było to w jej stylu.

A co było w jej stylu?

Coraz trudniej przychodziło jej to sobie przypomnieć.

Gdy wprowadziła się do Svena Dalvika i jego niespełna pięcioletniej córki, miała trzydzieści trzy lata. Poznali się w pracy. Flora była zatrudniona jako sekretarka, by asystować dyrektorowi Dalvikowi we wszystkim, w czym mógł potrzebować pomocy.

Sekretarka szefa. Czy ten zawód nadal istnieje? Była z niego dumna. Najpierw zdała małą maturę w klasie o profilu handlowym, a później chodziła do szkoły sekretarek BarLocks. Tego rodzaju ambicje były nietypowe w kręgu znajomych Flory. Większość jej rówieśnic zaraz po szkole wychodziła za mąż i rodziła dzieci.

A ona? Dlaczego nie znalazła sobie młodego, miłego kawalera i nie wyszła w stosownym czasie za mąż? Właściwie nie umiała odpowie-

dzieć na to pytanie. Lata mijały, a „ten właściwy” się nie pojawiał. Składano jej oczywiście propozycje, nawet sporo, zwłaszcza w okresie, kiedy chodziła na dansingi w mieście lub do parku przy kąpielisku Hässelby Strandbad. Przyjeżdżali tam młodzi ludzie z całego Sztokholmu, a Flora dobrze znała wszystkie kąty i zakamarki, więc gdyby tylko chciała, bez trudu mogłaby zwabić jakiegoś mężczyznę w ustronne miejsce, tak jak robiły to jej przyjaciółki.

Nie chciała, bo uważała takie zachowanie za prostackie. Poza tym obawiała się, że chłopaki z miasta będą rzucać za jej plecami wymowne spojrzenia. Że potraktują ją jak pospolitą wiejską gąskę.

Ona taka nie była, ona była inna.

Leżała na plecach i wpatrywała się w sufit. Kobieta z sąsiedniego łóżka umierała. Białe fartuchy odgradziły ją parawanem, lecz trudno było odseparować odgłosy śmierci. Personel zapewne sądził, że Flora nie zdaje sobie sprawy z tego, co się dzieje.

Nasłuchiwała utrudzonych oddechów, które następowały z coraz dłuższymi przerwami. Stara, umierająca kobieta była w bardzo złym stanie od momentu, gdy przyjęto ją dwa tygodnie wcześniej na oddział. Nadeszła pora jej pożegnania z życiem, miała dobrze ponad czterdzieści lat.

Jej syn był cały czas w pokoju, chodził tam i z powrotem, nie mógł usiedzieć na miejscu. On też był stary. Kiedy wszedł do pokoju, skinął głową w stronę Flory, niepewny, czy jest świadoma jego obecności. Była jednak w stanie odpowiedzieć mu skinieniem.

Szeptał z białymi fartuchami o pokoju jednoosobowym, a personel usprawiedliwiał się i bolewał: brak miejsc, zbyt duże obłożenie. Potem zniżyli głosy i Flora domyśliła się, że rozmawiają o niej.

Syna chyba coś bolało, słyszała odgłosy postękiwania zza parawanu. Po każdym jego jęku oddech matki stawał się szybszy, rozedrgany, jakby chciała powrócić do czasów, gdy mogła jeszcze go pocieszać.

Położyli ją tego wieczoru wcześniej. Wiedziała, że będą zakłócać jej spokój, białe fartuchy będą biegać tam i z powrotem całą noc, by doglądać drugiej pacjentki. Będą mówić przytłumionymi głosami, jakby myśleli, że nic nie usłyszysz. Będą świecić latarkami, a do sali będzie sączył się z pokoju socjalnego aromat kawy.

To na pewno nie będzie dobra noc.

Myślała o Svenie. To niesprawiedliwe, że umarł tak nagle. Też chciałaby umrzeć w tak bezbolesny, łagodny sposób – po prostu zostać i odejść. A teraz leży tu jak żywy trup. Poniżana i upokorzana jak dziecko.

Już od samego początku poczuli do siebie sympatię. Sven przeszedł z nią od razu na ty, co w tamtych czasach należało do rzadkości, lecz bez wątpienia ułatwiało współpracę.

Dość szybko zorientowała się, jakie są jego słabe punkty i starała się ze wszystkich sił, by tego nie zauważył. Nie miał raczej predyspozycji kierowniczych i Flora domyśliła się wkrótce, że przejął rodzinną firmę bez większego entuzjazmu. Zrobił to, gdyż tego od niego oczekiwano, temu służyło całe jego wychowanie. Ojciec, Ivar Dalvik, stworzył przedsiębiorstwo od podstaw – to on wylansował znane niemal na całym świecie pastylki na gardło Sandy, „choć z wierzchu szorstkie jak piasek, ogień w twym gardle ugaszą”.

Sven nie był typem mężczyzny, o którym marzyła we wczesnej młodości, ale uznała, że jest uroczy. Ufał jej i zwracał się do niej ze swoimi kłopotami. Prosił ją też o radę, gdy kupował prezenty dla swojej francuskiej żony. Dzięki temu miała poczucie, że zna również jego rodzinę, mimo że nigdy nie spotkała jego żony czy córeczki. Trzymał na biurku ich zdjęcie: ciemnowłosa kobieta z pulchnym, roześmianym brzdącem na kolanach. Dziecko wyrzuciło ramiona do góry i trzymało matkę za szyję.

Czasem, gdy przebywał za granicą, wchodziła do jego gabinetu i przyglądała się tej fotografii. Była zrobiona w Hässelby, gdzie niedaw-

no kupił dom. Na zdjęciu było widać ścianę szczytową, Flora dokładnie wiedziała, gdzie to jest.

Sven opowiadał jej często o swoich perypetiach związanych z uprawą ogrodu. Wychowywał się na Karlavägen i miał marne pojęcie o roślinach. Relacjonował, jak żona nakłoniła go do skopania grządek pod warzywniak, pokazywał swoje dłonie.

Któregoś razu poskarżył się, że krzewy malin zostały dotknięte jakąś dziwną chorobą. Flora poprosiła, by jej to opisał.

– Mają takie brunatno-fioletowe plamy na liściach i łodygach, potem to pęka i robi się nakrapiane i szare. No i krzewy właściwie nie owocują, maliny po prostu schną. Jestem zawiedziony, bo myślałem, że będziemy z żoną przesiadywać na balkonie i jeść świeże maliny z bitą śmietaną.

Od razu zorientowała się, o co chodzi.

– Zamieranie pędów malin – oświadczyła, czując rozchodzące się po całym ciele ciepło. – To rodzaj grzybicy. Niestety, musisz wiedzieć, że to najpoważniejsza choroba atakująca uprawy malin.

Wpatrywał się w nią zdumiony.

– Tak, to prawda – potwierdziła z zapalem. – Trzeba wyrwać i spalić wszystkie zainfekowane krzewy, a pozostałe spryskać cieczą bordoską.

– O cholera, skąd ty to wszystko wiesz?

Bardzo rzadko przeklinał.

– Zapominasz, że moi rodzice prowadzą sklep ogrodnicy. Ciecz bordoska to dla mnie od dziecka chleb powszedni.

Roześmiał się i niespodziewanie ją objął, choć zdecydowanie unikali kontaktu fizycznego.

Zdarzyło się to jeszcze dwa razy. Któregoś wieczoru zostali po godzinach, było już późno. Flora zrobiła herbatę i kanapki. Gdy postawiła tacę na jego biurku, położył dłoń na jej talii, lecz natychmiast ją cofnął. Zrozumiała, że przez chwilę uległ wrażeniu, iż jest w domu. Był zmęczony, zaczerwienił się.

Drugi raz przydarzył się podczas dorocznej inauguracji sezonu rakowego, imprezy, którą zorganizowano dla pracowników firmy na pewnej wyspie. Oboje byli na porządnym rauszu, żadne z nich nie było przyzwyczajone do picia wódki. Siedzieli przez chwilę na skałce i trzymali się za ręce. Nie doszło do niczego więcej.

Gdy żona Svena zmarła, zniósł to bardzo dzielnie. Wrócił do pracy zaledwie po dniu przerwy. Córeczkę zostawił pod opieką swoich rodziców.

Był zmieniony, ale tylko zewnątrz. Wyglądał, jakby w ciągu tego jednego dnia stracił sporo na wadze. Poza tym zachowywał się jak zwykle, choć był wyciszony i przygnębiony.

Flora postawiła na oknie w jego gabinecie doniczkę z fiołkami afrykańskimi. Niebieski to kolor nadziei i pociechy. Nie wiedziała, czy w ogóle to zauważył. Zapytała, czy może mu jakoś pomóc. Zwrócił wtedy ku niej głowę, lecz jej nie widział.

Po pogrzebie zaczął mówić o córce. Miała na imię Justine, była w trudnym wieku. Śmierć matki jeszcze pogorszyła sytuację.

– Moi rodzice nie dają sobie z nią rady – zwierzył się. – Nie przepadają specjalnie za dziećmi. Do tego ojciec ma kłopoty z sercem.

Flora słuchała cierpliwie. Była przy nim cały czas, próbowała pocieszać go samą swoją obecnością, wystrzegając się natarczywości i dawania zbyt wielu rad.

Przez pierwszy rok radził sobie, zatrudniając gosposię, która zajmowała się i domem, i dzieckiem. Czasem rozważał sprzedaż domu, ale przecież jego żona została pochowana na cmentarzu w Hässelby, a on odwiedzał grób kilka razy w tygodniu.

– Myślisz, że chciałaby, żebym go sprzedał? – pytał. – Tak lubiła ten dom, kupiliśmy go przecież ze względu na nią.

Żadna z zatrudnionych gospodyń nie chciała zostać u niego dłużej. Może przez odludne położenie domu? Może te kobiety czuły się odcięte od świata?

W jego biednej, zamroczonej głowie nigdy nie powstała myśl, że mogło być to spowodowane zachowaniem jego córki.

5

Drzewa wyłoniły się z oparów mgły, zyskały ciemne kontury, stały się widoczne. Był ranek. Justine przespaała całą noc na siedząco w fotelu. Odczuwała sztywność w okolicy łopatek i chciało jej się pić.

Podobnie jak tam, w dżungli, lecz jednak nie tak samo.

Nadal pamiętała zalewającą ją falę ulgi, gdy wreszcie zaczynała odróżniać kontury. Gęsty tropikalny mrok dawał za wygraną i przystępował do odwrotu. Leżała z szeroko rozwartymi oczami i obserwowała, jak wszystko stopniowo powracało: pnie drzew, liście; jak wyłaniały się z mroku i przybierały kształty. Ulga rozchodziła się po jej ciele, członki się rozluźniały. Czuwała całą noc. W końcu zapadła w krótki sen, gdy pozostali zaczęli już wiercić się w śpiworach.

Justine schodziła po schodach, trzymając się poręczy jak stara, zmęczona kobieta. Trochę jak Flora człapiąca pomiędzy piętrami, zanim trafiła do domu opieki. Nigdy nie zgodziłaby się dobrowolnie na umieszczenie w ośrodku, jednak po udarze nie była w stanie się przed tym bronić.

Na dole kuchnię spowijał mrok. Zapaliła kuchenkę i nastawiła garnek z wodą. Sukienka była wygnieciona, musiała się spociec podczas snu. Nawet nie zauważyła, kiedy zapadła noc.

Może człowiek umiera właśnie w taki sposób?

Oparta o ścianę pociągała powolnymi łykami herbatę. Próbowwała wylawiać w ciszy dźwięki. Nagła tęsknota, potrzeba słów. Czegoś więcej niż cisza. Przywołała ptaka. Zapewne siedział na swojej gałęzi i spał z głową odwróconą do tyłu i dziobem wciśniętym pomiędzy szare pióra. Nie przyleciał, w ogóle nie zareagował. Zaszył się gdzieś w ciszy, ulegając pierwotnym instynktom.

Właśnie tym były przesiąknięte mury domu: chłodną, przyczajoną ciszą. Tkwiła niczym warstwa izolacji w kamieniu, w fundamentach, tkwiła w ścianach, nawet słoneczny skwar w sierpniowy dzień nie mógł wydobyć zeń światła i życia.

Tam, w dżungli, cisza nie istniała. Wszystko żyło, pełzało, świszczalo i ociekało; szelest listowia, w którym nieustannie toczył się ten proces; chrzęst i parowanie butwiejącej ściółki, miliony drobnych, pożerających szczęk, które nigdy nie poczują się nasycone; okrzyki i piski, szmer deszczu, zawodzenie piły.

– Dlaczego w dżungli pracują piły tarczowe? – zapytała Nathana. – Czy o to chodzi, kiedy mówi się o zagrożeniu lasów tropikalnych?

Nie odpowiedział, zmuszając ją, by powtórzyła pytanie. Dopiero wtedy odwrócił się i spojrział na nią, ale wciąż nie poznawała jego oczu. Były odmienione od chwili, gdy w Kuala Lumpur dołączyła do ich grupy Martina.

Okazało się, że to nie piły, tylko odgłos owada. Insekta, który wydawał ten przeszywający dźwięk, przenikający ją do szpiku kości, wywołujący zimne dreszcze, choć było jej gorąco.

Martina... Nie znaczyła właściwie więcej niż owad. Tak właśnie musiała myśleć. Owady rozdeptuje się obcasem i miazdzy. Takie jak Martina nie zasługują na nic lepszego. Tak właśnie musiała myśleć, nie inaczej.

Ona sama przypominała swój dom. Była zamurowana ciszą.

Jakby słowa potrzebowały czasu, by się narodzić, utorować sobie drogę w jej wnętrzu i wydostać się na zewnątrz.

Skutek był taki, że inni szybko się zniechęcali.

Nikt nie miał siły czekać na słowa.

Jedni uznawali to za przejaw nieśmiałości, inni widzieli w tym oznakę arogancji. Właśnie tego określenia, „arogancka”, użyła w stosunku do niej nauczycielka już po kilku tygodniach nauki.

Tamtego ranka, gdy się nad tym zastanawiała, dostała zawrotów głowy, osunęła się i kucnęła z głową pomiędzy kolanami.

Flora stała na dywaniku z gałganków, pośrodku fragmentu w kolorze beżu, albo raczej barwy piaskowej. Stała tam, a jej ciężkie, pomalowane na brązowo powieki uniosły się niczym żaluzje.

– Justine, wstań!

Nie. Osunęła się jeszcze niżej, na sam dywan. Flora miała na sobie kozaki, eleganckie kozaki z podkutymi obcasami. Z tego miejsca widziała je wyraźnie – jak do jednego z nich przyczepił się liść, jak nadział się na okucie.

Dłoń Flory na jej czole, z początku lekka, niczym oznaka pojednania. Potem zaciskające się palce, paznokcie i jakby palący lód u nasady włosów, gdy została podciągnięta do góry. Aaaaaj!

– Więc jednak umiesz otworzyć buzię!

Krótkie, delikatne kosmyki. Jak wahadło, tam i z powrotem.

W końcu Flora postawiła ją na zimnej podłodze.

Leżała przedtem w swoim łóżku, słyszała, jak Flora weszła do domu. Zbiegła po schodach w samej koszuli nocnej.

– Czy wiesz, czego dowiedziałam się dziś od twojej nauczycielki? Wiesz? Powiedziała, że jesteś krnąbrna. Krnąbrna i bezczelna. A ja musiałam przytaknąć: „Niestety, pani Messer, niestety, ma pani rację”.

– To nieprawda, nieprawda, ona mnie nienawidzi!

– Nie używaj takich mocnych słów, Justine, nie ma mowy o nienawiści. Tu chodzi o wychowanie, przepisy zobowiązują ją do wpajania uczniom zasad dobrego wychowania.

– Przepraszam, przepraszam, ale jak mam się zachowywać, żeby mnie polubiła?

– Jeśli jeszcze raz usłyszę, że nauczycielka się na ciebie skarży, zrobię ci coś takiego, że rodzony ojciec cię nie pozna.

Justine zakryła uszy, oczy wyszły jej z orbit. Czuła się cała brzydka, przenikały ją na przemian fale chłodu i palącego gorąca. Zwróciła twarz w dół, wcisnęła ją w dywan. Ten sam dywan, znowu?

Drobna stopa Flory w kozaku; o tak, miała małe stopy, słyszała, że ojciec tak mówił, gdy stała nocą w korytarzu, a oni myśleli, że śpi. Widziała w sypialni Florę, nagą, szczupłą jak dziewczynka, z kozakami na czystej pościeli.

Osnowa dywanu uciskała skroń, czuła każde wybrzuszenie i nierówność, zapach zastygłych resztek jedzenia. Flora przycisnęła lekko podszewę, pocierała butem o policzek Justine.

– Chcę, żebyś to powiedziała. Głośno. Że jesteś wstrętnym, odpychającym bachorem, którego nikt nie lubi!

Nie była w stanie tego zrobić.

– Że jesteś rozpuszczonym, złośliwym, kudłatym dziewuszykiem, którego nikt na całym świecie nie może pokochać, powtórz!

Nic więcej do niej nie dotarło.

Wszystko zniknęło.

Przyleciał ptak; usłyszała świst jego skrzydeł. Ugotowała jajka, dała mu jedno, a drugie zjadła sama. Był zwierzęciem o imponujących rozmiarach. Obierał jajko dziobem, skorupki i cząstki rozpryskiwały się po całej kuchni.

– Fritz? – zapytała rozkojarzona. – Czy tak się nazywasz?

Ptak zaskrzeczał, zatrzepotał skrzydłami i usiadł jej na ramieniu.

Przyłożyła palce do szarego brzucha i poczuła w środku, głęboko pod opierzeniem, jego wnętrze, niczym ciało ciepłego, żywego brojlera.

– Może powinnam sprawić ci przyjaciela – powiedziała cicho. – Chyba oboje jesteście zbyt samotni.

Złapał dziobem za jej palec wskazujący, leciutko, podniósł go i odsunął.

Pojawił się w domu dzień po tym, jak opuściła go Flora. Justine zobaczyła ogłoszenie w „Dagens Nyheter”: „Z powodu zmiany sytuacji rodzinnej sprzedam sympatycznego, oswojonego ptaka”.

Zmiana sytuacji rodzinnej, tak samo jak u niej.

Niewiele myśląc, chwyciła za słuchawkę. Trzeba było jechać po niego do Saltsjöbaden. Samochód nie chciał zaskartować, udało jej się go uruchomić dzięki kilku prysnięciom aerozolu CRC 5-56 pod maskę. Był to stary opel rekord, zawsze bała się nim jeździć, bo czasem zawodził.

Przy Slussen zabłądziła i kręciła się przez chwilę w kółko, aż dostrzegła zjazd na Nackę. Dużymi pociągnięciami ołówka sporządziła wcześniej mapkę, która leżała teraz na siedzeniu obok. Dzięki niej dotarła wreszcie na miejsce.

Dom sprawiał sympatyczne wrażenie, wyglądał na zadbane, jak wszystkie w sąsiedztwie. Zaparkowała przed bramą i zadzwoniła. Po chwili otworzył jej mężczyzna, choć przez telefon rozmawiała z kobietą. Był w jej wieku i miał posępny, zacięty wyraz twarzy.

Rozwód, domyśliła się.

Wiedział, po co przyjechała, i zaprosił ją do domu, w którym panował kompletny chaos. W połowie wypełnione kartony zastawiały przedpokój. Podłoga w salonie pokryta była rozsypanymi książkami, jakby ktoś powyrzucał wszystko z półek w ataku furii. Z kuchni dolatywał swąd spalenizny.

W kuchni siedział też ptak, w wysokiej, ozdobnej klatce. Drzemał, zignorował ją całkowicie.

– Ach – zdziwiła się. – Wyobrażałam sobie, że chodzi o papugę.

- Dlaczego?
- Bo ludzie chyba najczęściej trzymają w domu papugi.
- Może i tak. Więc nie jest już pani zainteresowana?
- Ależ jestem, gatunek nie ma większego znaczenia.

Mężczyzna podniósł z kuchenki dzbanek, którego dno pokrywała warstewka poczerńiałej kawy.

– Jasna cholera, w tym pośpiechu zupełnie zapomniałem, że go nastawiłem.

– Oj!

Posłał jej krzywy uśmiech.

– Mamy tu teraz niezłe zamieszanie.

Powinna była coś powiedzieć, wypytać o zwyczaje zwierzęcia, dowiedzieć się, jak je karmić. Nie miała siły. Coś w tym ptaku, w jego nastroszonej, szaroczarnej sylwetce przyprawiało ją o płacz. Jakby zobaczyła siebie samą skuloną w tej klatce, zdaną na łaskę innych.

Mężczyzna odchrząknął i odsunął jeden z kartonów.

– Jesteśmy w trakcie poważnych zmian – oznajmił.

– Tak... rozumiem.

– Tak wyszło. Po wielu spędzonych razem latach któregoś dnia nie należysz już do rodziny, choć uważałeś to za rzecz oczywistą. Niech pani nigdy nie przyjmuje niczego za pewnik, nigdy!

– Nie robię tak.

– A wielu ludzi myśli właśnie w ten sposób. Na przykład ja. Przynajmniej do tej pory.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Mężczyzna milczał chwilę, a potem dodał:

– A jeśli chodzi o ptaka, to mieszkał z nami przez wiele lat... Był jakby członkiem rodziny. Żona znalazła pisklaka w naszym ogrodzie. Prawdopodobnie wypadł z gniazda. Złapał go kot, chciał się nim pobawić. Wie pani, co zrobiłem z tym kotem? Zastrzeliłem go.

– Zastrzelił go pan?

– Z wiatrówki. Zdechł natychmiast.
– A wolno tak robić?
– Mam to gdzieś. To mój ogród, a u siebie mogę robić, co mi się żywnie podoba.

– A ptak?

– Przygarnęliśmy go i zaopiekowaliśmy się nim. Jak mówiłem, teraz nasze drogi, moja i mojej ukochanej żony, się rozchodzą, więc ptak potrzebuje nowego domu.

– Wygląda, że tak powiem, na nieco... zmarnowanego. Na pewno jest całkiem zdrowy?

– Wie pani, zwierzęta czują więcej, niż nam się wydaje. Przez wiele miesięcy słuchał naszych kłótni. Jest przygnębiony, wyczuwa, że nadchodzi czas rozstania. Zawsze uwielbiał moją żonę. Nawiasem mówiąc, nie chciała tu być, gdy będzie go pani zabierała.

– Myśli pan, że ptak się do mnie przyzwyczai?

– Tak mi się wydaje. Potrzebuje kogoś, kto się nim zaopiekuje. Kieruje się instynktem, więc nie zrobi takiej osobie krzywdy.

Oboje obserwowali ptaka, który utkwiał w nich błyszczące, nieruchome oczy. Mężczyzna przełknął ślinę, przeciągnął palcami wzdłuż jednego z prętów klatki.

– Niektóre gatunki ptaków żyją parami, są sobie wierne do samej śmierci – wybuchnął, a na jego podbródku zabłyśły kropelki śliny. – Na przykład brazylijskie ary. Do samej śmierci, rozumie pani?

Przytaknęła niepewnie.

– No to jak będzie? Jeśli się pani decyduje, proszę go od razu zabierać. Nie mam już siły na to wszystko... i muszę dalej... się pakować.

– Ile pan za niego chce?

– Proszę go po prostu wziąć, za darmo.

– Ale w ogłoszeniu...

– W cholere z tym wszystkim! Mam gdzieś, co było w ogłoszeniu. Nie chcę ani grosza, nawet za klatkę.

- Klatki... chyba nie zabiorę.
- Weźmie go pani bez klatki?
- Tak. Raczej nie zmieszczę jej w samochodzie.

Podszedł do okna, przez chwilę wpatrywał się przed siebie. Gdy odwrócił się do niej, miał zaczerwienione oczy. Zaczerpnął oddechu, zebrał się w sobie.

– No to będę musiał ją wyrzucić albo spróbować sprzedać. Nie, do cholery, nie mam już siły bawić się w dawanie pieprzonych ogłoszeń. A ptakowi musimy przyciąć skrzydła. Wie pani, może ulec impulsowi i po prostu odlecieć. Nie da sobie rady, w ciągu kilku minut zaatakują go sroki i rozdziobią na strzępy.

Justine wyrwał się krótki okrzyk.

- Nie... nie możemy tego zrobić!

Ściągnęła pospiesznie apaszkę. Była długa, cienka, owinięta kilka razy wokół jej szyi.

– Tylko nie to, żadne podcinanie skrzydeł... Niech pan pozwoli, zrobmy tak...

Otworzyła drzwiczki klatki i powoli, sztywna z napięciem, wsunęła do środka rękę. Trochę się bała, obecność mężczyzny ją krępowała, wolałaby być sama. Ptak otworzył dziób, czarny, nieco haczykowaty, wydał z siebie syczący odgłos.

- Chodź, usiądź na mojej ręce.

Mężczyzna poruszał się z tyłu.

- Ma pani doświadczenie ze zwierzętami, prawda?

- Tak – wymamrotała, w pewnym sensie była to prawda.

Ptak zrobił w jej kierunku ostrożny krok i nagle usiadł jej na dłoni. Był ciężki i ciepły. Choć po chwili przyciągnęła rękę do siebie, nie uciekł.

Ściągnęła go na stół i owinięła apaszką jego korpus i skrzydła. Nawet nie próbował się wyrwać.

Wzięła go w objęcia jak dziecko.

- Taaak – szeptał mężczyzna. – O, taak.

Zaczął coś nucić monotonnym głosem, zwrócił twarz w stronę sufitu i wydał z siebie dźwięk jak z lapońskiej pieśni jojk. Plecy Justine lepiły się od potu.

Podeszła do drzwi i próbowała włożyć buty.

– Pomogę pani! – Mężczyzna przyklęknął, wsunął jej stopy do butów i zawiązał sznurówki mocnym podwójnym węzłem. Przestał mówić. Otworzył drzwi i wyszedł z nią na zewnątrz. Kiedy wsiadła do samochodu, pochylił się nad ptakiem i cmoknął go głośno w dziób. Odwrócił się do Justine ze zdumioną miną.

– Zwykle dziobie, jak tak się robi. Może człowieka trochę podziurawić.

– Coś takiego...

Justine położyła ptaka na przednim siedzeniu. Sprawiał wrażenie, jakby spał.

– No proszę, wygląda teraz jak mumia – powiedział mężczyzna.

Przewiesił rękę przez spuszczoną szybę i gdy uruchamiała silnik, nadal trzymał ją w środku. Była wąska i drobna jak ręka dziecka.

– No to jedziemy – odezwała się, wrzucając jedynekę. Mężczyźnie pobieleły knykie.

– Dobrze – usłyszała.

Kiedy samochód zaczął się toczyć, cofnął rękę i wykonał gest, jakby chciał przywołać ją z powrotem. Dopiero gdy znalazła się na autostradzie, uświadomiła sobie, że zapomniała zapytać, jak ptak się nazywa.

Wzięła go do swojego pokoju. Przyniosła wykopane w ogrodzie drzewko, które umieściła w stojaku na choinkę. Umocowała je haczykiem przy ścianie. Stało się dla ptaka miejscem do spania. W ciągu kilku godzin oskubał wszystkie liście, co do jednego.

Lubił przebywać w kuchni lub towarzyszyć jej, gdy patrzyła na jezioro. Wszędzie znajdowała jego zaschnięte ślady. Początkowo pilnowała porządku, rozkładała gazety i sprzątała po nim. Teraz robiła to raczej

sporadycznie, tylko wtedy, kiedy przypominała sobie, że dom należy już wyłącznie do niej i że powinna o niego dbać, gdyż jej rzeczy zasługują na troskę.

Podobnie jak ona sama.

Wykroty. Miejsca, gdzie mogło wślizgnąć się dziecko. Groziły zasypaniem, lecz nigdy się to nie zdarzyło. Siedząc w dole, czuła tylko spadające na szyję grudki ziemi.

Zwierzęta: małe zwierzątka, ryjkowate, o zmierzwionych, połyskujących futerkach. Albo sarenki, znieruchomiłe, tam, gdzie las przechodził w pole; wilgotne noski, białka oczu. Otaczały ją za ścianami wykrotu, wślizgiwały się do środka, a ona była Królowną Śnieżką, pozostawioną przez Myśliwego. Myślała o nim, czując lekkie pulsowanie w kroczu. Po raz pierwszy uszła z niej krew, lecz nadal była dzieckiem. A mimo to...

Wyprowadził ją do lasu. Podniósł strzelbę. Wymierzył dokładnie w jej lewą pierś.

Gdy sobie poszedł, siedziała przy martwej łani, wpatrując się w ranę. Myśliwy wsunął w nią dłonie, wyciął i zabrał serce. Czym jest łania? Nie wiedziała, lecz ciało było okaleczone, a Myśliwy niósł teraz serce kobiecie, która mieszkała w domu Królowny Śnieżki.

Postąpiłem z dziewczynką, jak kazałaś.

Trwająca zaledwie sekundę słabość. Chwyciła potem za lusterko, ujrzała własne odbicie.

Satisfaction.

Przybyły lisy i myszy. Na wykrot, w którym siedziała Królowna Śnieżka, opadały niczym płatki śniegu pióra puchaczy. Jak ciepła, śnieżna kołderka.

Flora nie znosiła zwierząt, budziły w niej wstręt i odrazę. Gdy do korytarza wślizgnął się kot, przepędziła go miotłą. Nastroszone futerko i ogon.

Kiedy ojciec przyszedł ucałować ją na dobranoc, powiedziała mu o tym. Jego twarz stała się nagle pozbawiona wyrazu. Gładził ją lekko po ręce, długo, lecz delikatnie.

Każdego wieczoru prosiła ojca o zwierzątko. O psa, kota albo o ptaka. Może by się zgodził, gdyby Flora nie trzymała go pod pantoflem.

– To prawdziwe wylęgarnie robactwa i brudu – powiedziałyby bez krztyny łaski w wymalowanych, porcelanowych oczach. – Bakterie i smród. Zwierzęta są, jakie są, nie pasują do ludzkich siedzib.

Jednak z niebieskim lisem było inaczej. On był martwy. Ojciec dał go Florze któreś zimy w prezencie, chcąc ją udobruchać. Bo Florę często trzeba było obłaskawiać.

6

Berit Assarsson wyszła na późny lunch. Nie wiedziała, na co ma ochotę, głód zaczynał właściwie już mijać, lecz mimo to musiała coś przegryźć, by zachować siły na popołudnie.

Redagowała książkę o żeglarstwie. Nie wiedziała na ten temat zbyt wiele, skoro jednak była odpowiedzialna za jej wydanie, nie zamierzała afiszować się swoją niewiedzą.

Gdy zaczęli się spotykać, Tor miał łódź. Owszem, przyjemnie było pożeglować wśród szkierów, zatrzymując się na noc w jakiejś odosobnionej zatoczce. Ale ta cała reszta... Tor tak łatwo tracił humor, oczekiwał od niej, że nauczy się, do czego służą te wszystkie końcówki lin, a w sytuacjach kryzysowych zupełnie zapominał, że ona się na tym nie zna. Dochodziło między nimi do różnych zgrzytów i kłótni.

Sprzedali łódź i kupili w zamian domek letniskowy. Domek jak domek – był to kawał chałupy zbudowanej na początku wieku na wyspie

Vätö. Dom był całoroczny, więc mogli w nim spędzać Boże Narodzenie, z czego zresztą korzystali. W ostatnie święta pojawili się tam obaj synowie ze swoimi dziewczynami.

Berit postanowiła spróbować szczęścia w hali targowej przy Hötorget. Właśnie minęła pierwsza. O tej porze nie było już tam takiego tłoku. Zamówiła awokado z krewetkami i dużą café au lait, po czym usiadła przy stoliku w pobliżu kwiaciarni. Przyglądała się pięknym tulipanom, jakie cudowne, żywe kolory! Pomyślała, że gdyby temperatura spadła wreszcie poniżej zera i sypnęło trochę śniegu, od razu zrobiłoby się jaśniej i radośniej.

Awokado było twarde. Zastanawiała się, czy nie złożyć reklamacji, ale jakoś się nie zdecydowała. Ile razy spożywała tutaj posiłki? Co najmniej raz w tygodniu przez wszystkie lata, które przepracowała w wydawnictwie. Próbowiła liczyć w pamięci: powiedzmy czterdzieści sześć tygodni w roku razy czternaście, to będzie, to będzie, to będzie...

Trzeba odliczyć część zeszłego roku, bo nie było jej wtedy w pracy. Kończyła czterdzieści pięć lat, a Tor zrobił jej niespodziankę – kupił bilety na podróż dookoła świata.

– Nie mogłeś poczekać, aż skończę pięćdziesiątkę? – wybuchnęła, niemal zbulwersowana jego nagłą hojnością.

Objął ją, szybko i niezdarnie.

– A bo to wiadomo, czy dożyjemy?

Podróżowali przez dwa miesiące. Osiem tygodni, a zatem nie jadła tutaj osiem razy. Sięgnęła do torebki po kalkulatorkę, lecz go nie znalazła. Musiała wyciągnąć długopis i zrobić słupek, dokładnie tak, jak dawno temu uczyła ją w szkole pani Messer.

Wyszło ponad sześćset razy.

Zatem jadła w tej małej restauracji w pobliżu ruchomych schodów więcej niż sześćset razy.

Oto twoje życie, Berit!

Coraz częściej czuła się znużona własnym życiem. Coraz częściej dopadała ją świadomość, że najlepsze lata ma za sobą, że minęły dawno temu i że na wszystko jest już za późno.

Na wszystko? Czyli na co?

Niekiedy rozmawiały o tym z Annie, która miała gabinet tuż obok niej. Rozpoczęły pracę w wydawnictwie mniej więcej w tym samym czasie, obie spędziły kilka lat w domu z dziećmi, obie miały synów.

Tak, wszystko... na co się czeka, wszystko, co miało się zdarzyć.

Annie zgadzała się z nią, choć była cztery lata młodsza.

Ciekawe, kiedy to się stało? – myślała. Ciekawe, kiedy człowiek porzuca młodzieńcze pragnienia, traci energię i przeobraża się w robota?

Daleko jej jeszcze było do starości. Zdarzało się, że mężczyźni obrzucali ją tym szczególnym spojrzeniem, lecz zwykle dopiero wtedy, gdy została im przedstawiona. Poza tym raczej jej nie dostrzegano. Dbała o swoje ciało, dbała o cerę, nigdy nie pokazywała się bez makiżażu, nawet na wsi. Co pięć tygodni chodziła do fryzjera, ciemnoskórego, przystojnego mężczyzny, który doskonale wiedział, jak ścinać jej włosy.

Szkoda, że on jest „taki”, przyszło jej zniecka do głowy, nigdy nie pieprzyłam się z Murzynem. Poczowała gorąco na policzkach, jakby zalała ją fala wstydu.

Prześlizgnęła się wzrokiem po stoiskach handlowych, prawie zawsze natykała się tu na kogoś znajomego. No i proszę, dostrzegła kroczącą w jej stronę Elisabet, która poruszała się w bardzo swoisty sposób – sunęła majestatycznie, jakby zmiatając wszystko ze swojej drogi.

Zauważyła Berit i jej usta złożyły się do uśmiechu.

– Berit, kochanie, siedzisz tutaj sama jak palec, mogłabym przysiąść się na moment i wziąć... a co ty pijesz, café latte? Też sobie taką zamówię.

– Właściwie zaraz wychodzę, ale siadaj, zostanę jeszcze chwilę.

Elisabet była z tej samej branży, lecz pracowała w wydawnictwie Bonniers, w dużym białym budynku przy Sveavägen.

– Jak się czujesz, słoneczko? Jakoś blado wyglądasz...

– Naprawdę?

– Eee, to chyba przez to światło, na pewno.

– Szczerze mówiąc, jestem trochę zmęczona.

– Coś takiego! Po tylu dniach wolnego? A może pracowałaś w święta?

– Ależ skąd. Zresztą to chyba nie ma nic wspólnego z pracą.

– Rozumiem, o co ci chodzi. To przez tę wieczną szarówkę. Niech wreszcie zrobi się prawdziwa zima, tęsknię za śniegiem i lodem. Nawet nie byliśmy jeszcze ani razu na łyżwach. A to już połowa stycznia. Myślisz, że to przez El Niño? Że dociera aż do Skandynawii i stawia wszystko na głowie?

– Nie mam pojęcia.

– Beznadzieja w każdym razie. No, masz jakieś nowe wieści?

– Nic takiego. A co u was, jak leci?

– W porządku, pracujemy pełną parą.

– U nas to samo. *The same procedure...** Przyszło mi do głowy, że równie dobrze mógłby to być zeszły rok albo wcześniejsze lata. Tak samo będzie w przyszłości, i tak w koło Macieju. Chyba tracę ochotę do pracy.

– Ojej, słoneczko... To u was przestało być miło?

– Miło jak miło.

Elisabet pochyliła się nad okrągłym, białym, metalowym stolikiem.

– Słuchaj, a co z tymi pogłoskami, że... Curt Lűding zamierza sprzedać firmę?

Curt Lűding był szefem Berit. Założył wydawnictwo w połowie lat siedemdziesiątych. Zaliczał się wówczas do młodych radykałów, z ga-

* Rutyna, wszystko toczy się utartym torem... (ang.) (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

tunku tych walczących na barykadach. Wydawał literaturę undergroundową i zaangażowane społecznie powieści krytyczne. Ale to należało już do przeszłości, bo czasy się zmieniły.

– Ciągle ta sama śpiewka – odparła, czując jednak nagłe ukłucie niepokoju w klatce piersiowej.

– To nic nie słyszałaś?

– Nie, a ty?

– Ech, tja... Nie, chyba nic takiego.

– Że Bonniers zamierza nas kupić?

– Właśnie.

Berit nabiła na widelec ziarnko kukurydzy i włożyła je do ust.

– Takie plotki są deprymujące – stwierdziła. – Może dlatego jestem w dołku. Człowiek nie wie, co go czeka... W ten weekend zamierzam olać robotę, nie poświęcę jej ani sekundy! Spróbuję pobyć na świeżym powietrzu, pójdę na długi spacer, na przykład w sobotę. Pojadę do Hässelby i zajrzę na grób rodziców, pospaceruję sobie i powspominam. Nie byłam tam już od wieków.

W drodze powrotnej wstąpiła do sklepu z ekskluzywną bielizną na Drottningatan. Przymierzyła kilka biustonoszy i zdecydowała się na połyskliwy czerwony stanik z fiszbinami i figi do kompletu. Ostre światło w przymierzalni sprawiło, że jej biodra i brzuch wydawały się nalane.

Oto mój korpus, pomyślała. Jak w protokole obdukcyjnym.

Sześćset dziewięćdziesiąt koron.

Czego się nie robi dla chwili zadowolenia!

Miała ochotę na czekoladę i szybko, bardzo szybko przemknęła obok sklepu z belgijskimi pysznościami. Była tam ostatnio przed świętami; kupiła małe, wykwentne, robione ręcznie czekoladowe muszelki dla dziewczyn swoich synów. Obie były cienkie jak niteczki, przydałoby im się trochę sadełka.

Czuła się obco w ich towarzystwie. Były do siebie podobne: jasnowłose, kanciaste, z płaskim biustem. Gdy myślały, że nikt nie widzi, lepiły się do chłopaków, obmacywały ich i skomlały jak rozpuszczone dzieciaki. Co by było, gdyby ona zachowywała się tak w domu Tora! Jego matka pokazałaby jej drzwi.

Helle i Marika. Helle była Dunką, nie wiadomo, jak znalazła się w Sztokholmie. Berit próbowała z nimi rozmawiać, wypytać trochę o ich przeszłość, ale były skryte i mrukiwe. A może tylko nieśmiałe. Ze względu na synów robiła dobrą minę do złej gry.

Zaczęło porządnie padać, rozłożyła parasol, używając go jako tarczy chroniącej przed wiatrem. W miejscu, gdzie była rosyjska restauracja, musiała przejść na drugą stronę ulicy. Lokal właśnie zniknął z powierzchni ziemi, chodnik blokowała koparka. Zastanawiała się, co powstanie na jego miejscu. Chodziła tam czasem i jadła sycące gulasze i pierogi. Restauracja była przytulna i ciepła. Kiedy czuła się przygnębiona, przesiadywała tam, zbierając siły.

Winda była zepsuta. Ruszyła na czwarte piętro schodami, zostawiając za sobą mokry ślad z parasola. Rozebrała się i poszła do swojego gabinetu. Wszędzie panowała dziwna cisza, może zapomniała o jakimś zebraniu? Nie, Annie siedziała przy swoim biurku, z opuszczonymi rękami, nie pracując. Tkwiła tam z otępiałym wyrazem twarzy, zupełnie bez życia.

– Annie, co jest, stało się coś?

Annie dała jej znak ręką.

– Wejdz!

Wstała i zamknęła drzwi.

– Słuchaj – powiedziała przytłumionym głosem – coś się szykuje!

Berit przeszły ciarki po plecach.

– Co takiego, co masz na myśli?

– Curt coś knuje.

– Ale co?

– Zwołuje zebranie informacyjne. Nie dziś, nie jutro, tylko w poniedziałek – w najgorszy ze wszystkich pieprzonych dni.

– Zebranie informacyjne?

– Otóż to, najwyraźniej zamierza zakomunikować nam coś ważnego.

– Da nam wymówienia?

– Tja... A bo ja wiem?

– Ale... gdzie on teraz jest?

– Wyszedł na jakieś posiedzenie. Nie będzie go do końca dnia, jutro też nie.

– O rany, Annie... co zrobimy?

– Nic. A co można zrobić w takiej sytuacji? Nie mamy wyjścia, musimy po prostu czekać. Przez cały piątek i caluteńki weekend.

– Dlaczego zapowiedział to już teraz, nie mógł poczekać do poniedziałku?

Annie wzruszyła ramionami. Miała zaniedbane włosy, powinna coś z nimi zrobić.

– Jak wyglądał, co mówił?

– Jego gęba wygląda przecież zawsze tak samo: jak ser z Banja Luki.

Berit wzięła leżący na biurku spinacz, zaczęła go wyginać wte i wewte.

– Spotkałam na lunchu Elisabet, to ta blondynka, która pracuje u Bonniersa.

– Ta plotkara?

– E tam, jest całkiem w porządku. Ale wypytywała o nas, sugerując między wierszami, że Curt przymierza się do sprzedaży.

– Takie pogłoski krążyły już wcześniej, a jednak do niczego nie doszło.

– Owszem, ale pomyśl... Może coś jest na rzeczy, bo po co zwoływałby zebranie informacyjne?

– Nieźle. Może przejdziemy do Bonniersa?

– Ty może tak, jesteś jeszcze młoda. Ale ja? W tym roku kończę czterdzieści sześć lat. Do jasnej cholery, nie liczyłabym na to, że Wybitne Wydawnictwo zechce też przejąć czterdziestosześcioletnią babę!

Annie milczała chwilę.

– Jeśli chce pozbyć się wydawnictwa, to musi sprzedać je razem z nami! – wybuchnęła. – No bo... my chyba też wchodzimy w skład tego pakietu? A jeśli nie, będzie musiał nam to jakoś zrekompensować. Na przykład zapewnić porządne odprawy...

– Ha! Masz jakieś zabezpieczenie?

– Nie.

Spinacz się złamał, Berit ukuła się w kciuk.

– A co mówią inni?

– To samo co my. Robią w portki ze strachu. Lottę tak rozboleł brzuch, że musiała pojechać do domu.

Berit poszła do kanciapy i nastawiła dzbanek kawy. Jak zawsze było tam brudno i paskudnie: nieumyte kubki, puste opakowanie po posiłku Lean Cuisine. Wrzuciła je do kosza i wysyczała:

– Co za pieprzona syfiarnia!

Kilka minut później krzyknęła na korytarzu:

– Chodźcie na kawę! – Jej głos zabrzmiał gniewnie, jakby wydawała rozkaz. Po chwili pojawili się koledzy, milczący, ze zmartwionymi minami.

Wydawnictwo miało dwunastu pracowników, licząc Curta Lűdinga. Najlepiej sprzedawały się książki fachowe. Ściśle mówiąc: sprzedawały się wcześniej. Mieli też własną autorkę prawdziwych bestsellerów literackich – Sonję Karlberg. Pisała swego rodzaju powieści z życia wyższych sfer, które, o dziwo, trafiały w gust współczesnego czytelnika. Z wyglądu była drobną, łagodną starszą panią, lecz pozory myliły. Annie, która była jej redaktorką, dostawała zawsze rozstroju nerwowego, gdy tylko Sonja Karlberg zapowiadała się z wizytą. Pisarka wpadała

w szał z powodu błędów korektorskich, któregoś razu rzuciła nawet książką prosto w klawiaturę Annie, tak że obie rzeczy rozleciały się na kawałki.

Usiedli w milczeniu, popijając kawę z kubków. Zapadał zmierzch, krople deszczu lśniły na szybach. Berit spojrzała na doniczki z roślinami na oknie, nikt ich nie podlewał, więc przywiędły. Poczowała ucisk w żołądku. Mimo wszystko kochała to: skupione twarze kolegów zebranych przy stole, rosgardiasz, stopy manuskryptów, stres, czystodruki – wszystko, co było częścią jej zawodu.

Po maturze studiowała języki. Nie miała pojęcia, jaki wybierze fach, a w branży wydawniczej znalazła się raczej wskutek zbiegu okoliczności. Drobne ogłoszenie z niewielkiego wydawnictwa, które poszukiwało korektora. Nazywało się Strena i zdążyło już zniknąć z rynku. Berit wykonywała tam przez kilka lat korektę bestsellerowych powieści sensacyjnych, w tym czasie wyszła też za mąż i urodziła dzieci.

Na jakiejś imprezie branżowej spotkała Curta Lűdinga. Tak się złożyło, że jego wydawnictwo znajdowało się akurat w fazie intensywnego rozwoju, więc zatrudnił ją natychmiast, bez oglądania się na wymogi formalne. Zorientowała się wkrótce, że właśnie w ten sposób trafiała do branży większość ludzi. Za sprawą szczęśliwego przypadku.

Mąż Berit, Tor, był rewidentem. Pierwsze lata małżeństwa spędzili ściśnięci w jego kawalerce na Thulegatan. Był to dla nich bardzo wyczerpujący okres. Gdy chłopcy mieli dwa i trzy lata, rodzina mogła się wreszcie przenieść do własnego domu w Ängby.

Synowie opuścili rodzinne gniazdo już jakiś czas temu.

Niekiedy ogarniał ją smutek, że nie są już razem. Byli dorośli i dla niej straceni, na zawsze.

Tego dnia wyszła z redakcji już o czwartej. W drodze do domu kupiła dwa plastry polędwicy wołowej i butelkę dobrego czerwonego wina.

Tor jeszcze nie wrócił do domu. Przebrała się i nakryła do stołu w jadalni, rozłożyła serwetki, postawiła świece.

Pomyśli, że jest jakiś powód do świętowania, uznała z goryczą.

Usłyszawszy, że wjeżdża do garażu, wrzuciła na patelnię tłuszcz i odkorkowała wino.

Otworzył drzwi, odwiesił płaszcz, słyszała głuchoe odgłosy jego butów, gdy po rozwiązaniu sznurówek popchnął je pod ścianę. Wszedł do kuchni, wyglądał na wyczerpanego.

– Pomyślałam, że należy nam się trochę rozrywki.

– A to z jakiej okazji?

– A dlaczegoż by nie?

– Chodzi o coś specjalnego? Któreś z nas ma urodziny czy co?

– Z tego, co wiem, to nie. Ale chyba nie ma zakazu, żeby rozerwać się trochę w zwykły czwartkowy wieczór, jak myślisz?

– A bo ja wiem...

Obiad jedli w milczeniu. Berit popijała wino. Uderzyło jej do głowy, czuła się lekko zamroczona.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał.

– A co ma się niby dzieć?

– Przecież widzę, że coś jest nie tak.

– Tor, powiedz szczerze, jestem dla ciebie nadal atrakcyjna?

– Ależ, Berit!

– No powiedz. Pociągam cię jeszcze, podniecasz się na mój widok?

Odsunął swój talerz.

– Co cię napadło, akurat teraz?

– Nic mnie nie napadło. Zadałam proste pytanie i oczekuję prostej odpowiedzi. Czy to takie cholernie dziwne?

– Jesteś przecież moją żoną.

– Otóż to.

Wstała, obeszła stół, stanęła za nim i objęła rękami jego głowę. Zaczęły już mu się robić zakola, pogładziła go właśnie w tym miejscu, po czym zsunęła ręce niżej, wzdłuż rękawów koszuli i jeszcze niżej, w stronę pasa.

– Berit! Jemy teraz obiad! – przywołał ją do porządku.

W sobotę pojechała do Hässelby. Trochę dziwnie czuła się w metrze w dzień wolny od pracy. Zupełnie inni pasażerowie, sporo rodzin z dziećmi, w wagonie jakby jaśniej; inne barwy, inne dźwięki. W zupełnie inny sposób zauważało się, jak wszystko jest brudne i zdewastowane. Podłoga w plamach od naniesionego piasku i rozlanych płynów, sporo siedzeń zabazgranych na czarno.

W nocy spadł śnieg, który się utrzymał. Wysiadła na końcowej stacji, gdzie naszły ją wspomnienia – wspomnienia z czasów, gdy była nastolatką. Idąc w stronę przystanku autobusowego, zauważyła, że przebudowano i odnowiono plac przed budynkiem metra. Nie było już sklepu Konsum, lecz dyskont z krzykliwymi czerwonymi afiszami reklamowymi.

Zamierzała przejść się na cmentarz, ale na przystanku stał akurat autobus, więc podjechała ten kawałek. Promienie słońca odbijały się od powłoki śnieżnej, tak że oczy jej łzawiły. Powinna była zabrać ze sobą ciemne okulary.

Cmentarz – ze śnieżnymi czapami na nagrobkach i z uczepionymi gałęzi drzew sikorkami – wyglądał idyllicznie, niemal jak na wsi. Na prawo od niewielkiej kaplicy widać było świeżo usypany grób z ośnieżonymi wieńcami. Piątek był typowo pogrzebowym dniem. W piątek zostali pochowani oboje jej rodzice, najpierw matka, dwa lata później ojciec.

Pominąwszy odgłosy przemykających od czasu do czasu Sandviksvägen samochodów, na cmentarzu panowała cisza i spokój. Przy

bramach cmentarnych umieszczano zwykle tablice informujące, że cmentarz to miejsce spoczynku zmarłych, więc nie wolno hałasować i wszczynać awantur. Zmarli mieli tego dość za życia, teraz należy im się wieczny spokój.

Była sama. Rozejrzała się dookoła. Jakiś rok wcześniej w jednym z widocznych dalej domów czynszowych na Fyrspanngatan psychopata przetrzymywał dziewczynę, córkę lekarza. Nagle przypomniała sobie mnóstwo szczegółów tej historii. Dziewczyna wyglądała przez jedno z tych okien z nadzieją, że może ktoś ją zauważy i zareaguje. Ale kto miał zareagować na to, że widzi kogoś w oknie? Nie pomogłoby, gdyby nawet krzyczała i wołała o pomoc.

Ciekawe, co stało się z tą biedną dziewczyną. Gazety podały, że wyszła z tego cało, ale musiało się to przecież odbić na jej psychice. Zاپewne pozostawiło w niej uraz na całe życie.

Berit zastanawiała się, które to mogło być okno. Popołudniówki na pewno opublikowały zdjęcia, na których zostało zaznaczone. A ciekawscy pielgrzymowali tu, by popatrzeć i spróbować wyobrazić sobie, jak to jest znaleźć się w rękach szaleńca.

Przyszła jej do głowy pewna myśl. Może by tak wydać książkę o tej dziewczynie? Przekonać ją, by napisała dziennik z okresu, gdy ją tu przetrzymywano. Zdziwiła się, że Melin & Gartner jeszcze tego nie zrobili, bo ich wydawnictwo zwykle trzymało rękę na pulsie. Przestępcy i ofiary, podejrzani osobnicy – takie rzeczy szły jak woda.

No tak, znowu myśli o tej przeklętej pracy! Choć obiecała sobie, że nie będzie!

Zeszła odśnieżoną i posypaną piaskiem ścieżką. Dalej, po lewej stronie był grób jej rodziny, w którym raczej nie zostanie złożonych więcej osób. Rodzinne grobowce z prawdziwego zdarzenia należały już do przeszłości – wówczas ludzie trzymali się razem za życia i po śmierci.

Grób pokrywał biały puch. Odgarnęła rękawiczką śnieg z kamienia

i wypowiedziała imiona mężczyzny i kobiety, którzy byli jej rodzicami. Gryzła ją sumienie, naprawdę powinna tu przychodzić częściej.

Kupiła znicze, po jednym dla obojga.

– Jeden dla mamy, jeden dla taty – wyszeptwała, próbując zapalić knoty. Okazało się to trudniejsze, niż się spodziewała, najmniejszy podmuch wiatru gasił zapałkę. A przecież było prawie bezwietrznie. – Mimo wszystko myślę o was – szepnęła. – Nawet jeśli to tak nie wygląda. Nawet jeśli rzadko tu przyjeżdżam. Czasem was wspominam, przecież wiecie. Czy widzicie mnie teraz, unosicie się tu gdzieś niewidzialni, czy nade mną czuwacie? Właśnie teraz chciałabym, żeby tak było.

Oboje zmarli na raka. Jej ojciec palił jak smok, przypomniała sobie jego utrudzony oddech i jak łapał się za gardło, kiedy zaczynało mu brakować powietrza.

– Obojętnie, co będziesz robić, nigdy nie bierz do ust papierosa – mawiał. Za każdym razem, gdy odwiedzała go w szpitalu, powtarzał: – Nigdy nie bierz do ust papierosa!

Nie wiedział, że już było za późno na te upomnienia. Nawet widok jego wyniszczonego ciała w szpitalnej pościeli nie skłonił jej, by rzuciła palenie.

Matka miała raka skóry, tę samą chorobę, która w latach osiemdziesiątych pozbawiła życia Tage Danielssona*.

Zostali późno rodzicami, kiedy się urodziła, mieli po tyle samo lat, ile ona teraz. Równie dobrze mogli umrzeć ze starości. Mama powiedziała jej, że była przekonana, iż jest bezpłodna. Gdy kiedyś przez cały tydzień wymiotowała śniadaniem, zrozumiała, że się myliła.

Berit odeszła od grobu. Płomienie zniczy nikły w styczniowym słońcu. Szła wzdłuż Hässelby Strandväg, mijając dom, w którym się wychowała. Wyglądał tak samo. Była ciekawa, kto tam teraz mieszka, lecz nie

* Tage Danielsson (1928-1985) – szwedzki pisarz, reżyser i aktor; autor popularnych tekstów satyrycznych.

widziała żadnych oznak życia, a ścieżka prowadząca do drzwi była biała i nieodśnieżona.

Tędy chodziła dzień w dzień jako mała dziewczynka, miała do szkoły spory kawałek. W sąsiedztwie pojawiło się więcej domów, a mimo to panowały tam zastanawiający bezruch i cisza. Berit nie utrzymywała już kontaktów z kolegami z klasy, ledwo pamiętała ich nazwiska.

Nad lustrzaną taflą Mälaren unosiła się lekka mgiełka. Berit zatęskniła za lodem, za łyżwami, na których mogłaby pomknąć w stronę horyzontu. Jak najdalej od wszystkiego, co ją otaczało, od codzienności, od ludzi, od siebie samej. Nagle zaczęły jej marznąć ręce i zorientowała się, że zostawiła przy grobie rękawiczki.

Stała przed wąskim, wysokim domem z kamienia. Miała w pamięci jego obraz, jeszcze z dzieciństwa.

Justine to wiocha, Justine wynocha!

Chór jasnych głosów, ona też tam była, jej głos też skandował.

Justine, beksa-lala, w gacie się zsikała. Justine, beksa-lala, w gacie się zsikała.

Zaszumiało jej w uszach, poczuła zawroty głowy.

Na schodach stała kobieta: krótko obcięte kręcone włosy, kwieciste spodnie. Było w niej coś znajomego. Berit pomachała ręką.

– Justine? – zapytała z wahaniem. – Czy to możliwe? Justine, to naprawdę ty?

Wtedy kobieta wyszła jej naprzeciw. Miała zielone oczy, śmiałe spojrzenie.

– Berit Blomgren! Niesamowite! Właśnie o tobie myślałam.

Słowa odbiły się echem w jej głowie.

– Naprawdę? – wyszeptwała.

Ta druga się roześmiała.

– Żebyś wiedziała! – zawołała. – Naprawdę!

- Nazywam się teraz oczywiście inaczej, Assarsson...
- No tak, jasne, na pewno jesteś mężatką.
- Właśnie.
- Zamierzałam wyciągnąć stare sanki fińskie. Rzadko się ich dziś używa. Ale teraz chyba wreszcie będzie zima.
- Mieliśmy takie sanki, jak byliśmy mali. Moje tata pomalował na czerwono.
- A moje były tylko pociągnięte pokostem. Stoją nadal w szopie. Nie weszłabyś na chwilę? Wyglądasz na zmarzniętą.
- Tak?... Może... Byłam na cmentarzu. Chyba zostawiłam tam rękawiczki.
- Może napijesz się grzańca? Została mi jeszcze butelka ze świąt.
- Grzańca? Byłoby super, grzaniec potrafi rozgrzać do szpiku kości.

Promienie słońca ślizgały się po podłodze. Berit napiła się grzańca i poczuła rozchodzące się po ciele ciepło. Justine siedziała, podpierając rękami podbródek i przyglądając się jej. Miała okrągłą, jasną twarz, widniało na niej znacznie mniej piegów niż w dzieciństwie. Wtedy była cała w kropki.

– Ile to minęło lat? – wymamrotała Berit. – Od czasu, jak się widziałyśmy ostatnio?

– To było chyba w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym, gdy skończyłyśmy podstawówkę.

– No tak... to musiało być wtedy.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Rany boskie, przecież to już prawie trzydzieści lat!

– Zgadza się.

– Zostałaś... najwyraźniej nadal mieszkasz w rodzinnym domu.

– Tak.

– Mieszkałaś tu przez cały czas?

– Owszem.

– Twoi rodzice chyba nie żyją... Czytałam w gazecie o śmierci twojego ojca. Sporo o nim pisano.

– Tak, tata nie żyje, a Flora jest w domu opieki.

– Właśnie, Flora, tak miała na imię twoja mama. Zawsze mi się podobała. Ona sama też mi się podobała. Była bardzo piękna i tak ładnie pachniała.

– Nie była właściwie moją matką.

– No tak, faktycznie.

Pociągnęła parę łyków grzańca, był mocny i aromatyczny.

– Moi rodzice są pochowani na tutejszym cmentarzu. Może pamiętasz, że nie byli najmłodszy. Dość szybko opuściłam dom, chciałam się stąd wyrwać. Wkrótce potem poznałam mojego męża. Ma na imię Tor, jest rewidentem. Nie brzmi to zbyt imponująco, co?

Justine się uśmiechnęła.

– Napij się jeszcze grzańca. Możemy spokojnie go dokończyć, święta już przecież za nami.

– Na zdrowie!

– Na zdrowie! Za nasze spotkanie po latach!

– Słuchaj, Justine... Właściwie dlaczego myślałaś o mnie akurat dzisiaj? To trochę zaskakujące. Tak rzadko tu bywam i akurat w takim dniu, kiedy odwiedzam Hässelby – ty myślisz o mnie i nagle przez przypadek na siebie wpadamy.

– Nie był to chyba całkiem przypadek, skoro tu przyjechałaś.

– No tak... po prostu spacerowałam sobie i wspominałam.

– „Kamienie, gdzie dzieckiem będąc”^{*}.

– O właśnie, coś w tym rodzaju.

– Masz dzieci, Berit?

– Tak, dwóch synów, dwadzieścia jeden i dwadzieścia dwa lata. Wyprowadzili się już z domu, zostaliśmy z Torem sami. Teraz rzeczywiście

^{*} Nawiązanie do jednego z wierszy Vernera von Heidenstama (1859-1940).

możemy, jak to mówią, zatroszczyć się o siebie nawzajem. A ty?

Justine pokręciła głową.

Zaraz potem włożyła palce do ust i wydała z siebie ostry, przenikliwy gwizd. Berit usłyszała gdzieś z tyłu szum, pokój jakby się skurczył, coś zaszeleściło i zaświszczało. Nagle spadło na nią coś ostrego, coś, co zaplątało się jej we włosy.

– Boże, co to takiego?

Wrzasnęła ze strachu i zerwała się tak gwałtownie z miejsca, że cała zawartość kubka z grzańcem wylała się jej na spodnie.

7

W lesie leżało zwierzę. Przypominało psa.

Widziała tylko jego głowę, reszta ciała przysypana była liśćmi i mchem. Nie przeraził jej jednak ten widok.

Niezauważona wróciła do domu. Na oknie w piwnicy stała miseczka, w której Flora trzymała klamerki do prania. Justine wyrzuciła je do kąta, napełniła naczynie wodą i poszła z powrotem do lasu.

Dała zwierzęciu pić. Część wody spływała na mech, lecz gardło poruszało się i przełykało; widziała, że zwierzę jest spragnione, że długo musiało obywać się bez wody.

Czy był to pies? Dotknęła skołtunionej sierści. Nos się zmarszczył, mignęły żółte zęby.

Zwierzę nie miało obroży. Korpus był zagłębiony w mchu, a rozłogi borówki wokół pogięte i czerwone.

– Nie mogę zabrać cię do domu – wyszeptwała Justine. – Mieszka tam kobieta-zmora. Nie chcę, by dosięgło cię jej spojrzenie. Ale obiecuję, że będę ci przynosić jedzenie i picie.

Zwierzę miało szeroki kark. Dała mu imię.

Wypowiedziała je na tyle głośno, na ile wystarczyło jej odwagi. Nie poruszyło się, a ogon nadal tkwił ukryty w mchu.

Następnego dnia zabrała ze sobą jedzenie. Flora nie zauważyła, jak wzięła ze swojego talerza kawałek kotleta i zawinęła go w chusteczkę do nosa.

Zwierzę leżało tak jak przedtem.

Nie widać było jego oczu.

Gdy podsunęła mu mięso pod nos, wysunęło koniuszek języka, lecz nie ugryzło ani kęsa.

Nigdy więcej go nie widziała.

Ojciec zajrzał do niej wieczorem.

– Przeczytamy twoją wieczorną modlitwę?

– Anielebożystróżumój, tyzawszeprzymniestój, ranowieczórwedniewnocy, bądźmizawszekupomocy, strzeżmnieodwszelkiegozłego i doprowadźdożywotawiecznego.

Pochylił się nad nią, pocałował ją tuż pod uchem.

– A o kim myślimy właśnie teraz? Ty i ja, tylko my dwoje?

– O mamie – wyszeptwała.

Jego pociągła twarz była ściągnięta smutkiem.

– Muszę ci też powiedzieć, że jak się obudzisz jutro rano, nie będzie mnie tutaj.

Zerwała się z łóżka.

– Nie! – krzyknęła.

– Justine...

Apelował do jej rozsądku, co ją bardzo rozżłościło.

– Masz być w domu!

– Muszę wyjechać do Szwajcarii.

Zniżył głos.

– Wiesz, blisko miejsca, skąd pochodziła twoja mama.

– To chcę jechać z tobą!
– Dziecko kochane, chyba rozumiesz, że to niemożliwe. Jadę tam w interesach. A ty chodzisz do szkoły. Ja mam pracę, ty masz szkołę, wszyscy mamy swoje codzienne obowiązki.

Biła go po rękach, kopała po jego głupich nogach.

Dopilnował, by się położyła, i wyszedł z pokoju.

Rano już go nie było.

Myślała o zwierzęciu, które mogłoby stać się jej codziennym obowiązkiem.

Niespodziewanie przyszła po nią do szkoły Flora.

Miała na sobie czarny kostium, na szyi sznur pereł. Przewiesiła przez rękę torebkę na mosiężnym łańcuszku.

– Pojedziemy do Vällingby i pójdziemy do cukierni – oznajmiła.

Ruszyły w dół, w stronę miasta.

– Dziecko, okaż trochę radości! Chociaż raz!

Flora trzymała ją za rękę, drepcząc małymi kroczkami, jak starsze panie, które chcą zrobić dobre wrażenie.

Flora była piękna.

– Opowiedz mi, co robiliście dzisiaj w szkole – zaproponowała.

– Nie wiem.

– Oczywiście, że wiesz.

– Chyba czytaliśmy. I liczyliśmy.

Dłoń Flory zaciskająca się na jej palcach.

– Chyba czytaliśmy i liczyliśmy!

Justine zachciało się siusiu. Najchętniej wyrwałaby dłoń z ręki Flory, ale wiedziała, że jej to się nie spodoba. Flora była teraz jej matką, a ona dzieckiem.

W Vällingby chodziły po sklepach. Justine pilnowała torebki Flory, gdy macocha raz po raz znikwała za kotarą.

Z przymierzalni wysunęła się naga ręka.

– Proszę pani, to jest zdecydowanie za duże. Proszę mi podać rozmiar trzydzieści cztery.

Mizdrzące się ekspedientki, nadskakujące i usłużne. Flora przymierzła kolejne sukienki i paradowała po butiku, by ją podziwiano.

– No i co, Justine, jak myślisz? Mam ją wziąć? Myślisz, że spodobałam się w niej tacie?

Dopiero wtedy zwróciły na nią uwagę i przyoblekły swoje twarze w łagodne uśmiechy – prawda, że twoja mama pięknie wygląda?

W cukierni mogła wreszcie pójść do toalety.

Gdy wróciła do stolika, Flora zdążyła już zamówić oranżadę i różową, puszystą napoleonkę.

Sama nie zjadła nic, napiła się tylko kawy z malutkiej filiżanki.

Stoły były nakryte obrusami w kratkę. Czuć było mocno dymem papierosowym. Przy stoliku obok siedziała dziewczynka w wieku Justine ze starszą kobietą, która właśnie zwilżyła chusteczkę śliną i wycierała jej usta.

– Babciu! – jęknęła dziewczynka, lecz się nie opierała.

Nadgryzła drożdżówkę i kiedy nikt nie patrzył, pokazała Justine język. Był oblepiony grudkami ciasta.

Czerwone paznokcie Flory.

– Jedz wreszcie, Justine, jedz!

Przy innym stoliku siedział mężczyzna z gazetą. Spojrzał w ich stronę. Uśmiechnął się do Justine i zamrugał powiekami; jego włosy połyskiwały czernią jak czekoladowy tort.

Gdy Flora wytrząsnęła z paczki papierosa, natychmiast znalazł się przy ich stoliku i podał jej ogień.

Nachyliła się łaskawie, a potem powtórzyła:

– Jedz, Justine! Musisz zjeść wszystko. Ostrzegam cię! Nie kupuję ciastek po to, żebyś zostawiała połowę.

– Dzieci są pocieszne – zauważył mężczyzna.

Flora wypuściła dym. Jej wargi zostawiały czerwone ślady na papierosie.

– Bywają też niepocieszone! – odparła.

Justine brała do ust małe kęsy. Najpierw zjadła różową warstwę z malinową glazurą. Reszta wyglądała jak tłusta śmietanowa breja.

Pomyślała o zwierzęciu. Dzisiaj nie da rady tam pójść.

Mężczyzna przesunął właśnie swoje krzesło w stronę ich stolika. Dziewczynka z babcią zdążyły wyjść.

– Umiesz śpiewać? – zapytał i znowu uśmiechnął się do Justine. Miał wysuszone, wąskie usta. Jego krawat był spięty ciemnozielonym kamieniem, który zmieniał odcień, gdy mężczyzna się poruszał.

Wpatrywała się w łyżeczkę, na całej długości unurzaną w kremie.

– Wszystkie dziewczynki umieją śpiewać – dodał mężczyzna.

Flora zachichotała jak dziecko, ukazując drobne niczym u niemowlęcia białe ząbki.

– Jeśli zaśpiewasz, dam ci koronę – zaproponował nieznajomy i położył dłoń na stole. Krótkie czarne włoski na grzbiecie dłoni, paznokcie szerokie i płaskie. Przez chwilę bębnił palcami po blacie.

– Dziecko!

Żelazny uchwyt Flory na jej szczęce, ściągnięta skóra.

– Pokaż panu wreszcie, że umiesz śpiewać!

Wyrwała się.

– Jak ona się nazywa?

– Justine.

– Dziwne imię.

– Francuskie.

– Może nie rozumie, co do niej mówimy?

– Potrafi się wyłączyć, ale oczywiście rozumie. Jeśli natychmiast nie zje, wie, co ją czeka po powrocie do domu.

– A co ją czeka, droga pani?

– Dostanie lanie.

- Od pani?
- Owszem, ode mnie!
- Więc droga pani jest aż tak sroga?
- Tak, zgadza się!
- A może droga pani sama stamtąd pochodzi?
- Proszę?
- Może pani też jest Francuzką?

Flora zaczęła znowu chichotać. Powiedziała jakieś imię, zabrzmiało jak „Bertil”.

Mężczyzna wcisnął swoje krzesło pomiędzy Florę i Justine. Siedział tak blisko, że Justine czuła bijący od niego zapach wody po goleniu. Woń była silniejsza niż perfumy, poczuła swędzenie w nozdrzach i zaczęło jej lecieć z nosa.

- „Szustinn” – wyartykułował mężczyzna.

Nie miała odwagi spojrzeć na niego, wpatrywała się w talerzyk, w girlandy z listków wzdłuż rantu, w papkę na środku.

- Będziesz wreszcie jeść?!

Porcelanowe oczy Flory, długie rzęsy pomalowane kilkoma warstwami tuszu. Każdego ranka wystawała w łazience i nakładała kolor krótką, mocną szczoteczką.

- Nie... mogę!

Zabrzmiało to jak krzyk, choć tego nie chciała; zamierzała to wyszeptać, lecz krzyk wezbrał w niej i sam wyrwał się z krtani. Łzy paliły skórę dłoni, usta otwarte, krzyk przeszedł w wycie.

Flora uderzyła ją. W samym środku cukierni wymierzyła jej siarczysty policzek. Wycie ustało, przerwane w pół oddechu.

– Niestety, Justine ma skłonności do hysterii – objaśniła Flora. Jej czerwone usta pozostawiły ślady także na filizance.

– Fhancuskie nehwy, co? – skomentował mężczyzna, naśladowując obcy akcent.

Znowu krótki śmiech Flory, zdławiony i kokieterijny.

Wrócili do domu taryfą; tylne siedzenie zawałone zakupami. Kierowca zażartował na widok tych wszystkich siatek: „Czyżby szanowna pani wykupiła całe Vällingby?”. Flora odwzajemniła się dowcipną ripostą. Zapach mężczyzny z cukierni towarzyszył im przez całą drogę.

W domu Flora rozpakowała wszystkie ubrania i rozwiesiła je na wieszakach w sypialni. Dwie sukienki, bluzkę i spódnicę. Jej ruchy stały się nagle chaotyczne. Zerwała jedną z sukienek i rzuciła na łóżko.

– Po co ja ją kupiłam? W tym świetle widać, że wcale nie pasuje do mojej karnacji! Te ciuchy są do niczego! To twoja wina, Justine, przez ciebie straciłam humor. Jesteś rozpuszczona i niewychowana!

Chwyliła ją za nadgarstki i kręciła nią dookoła, w coraz bardziej szaleńczym tempie. Zesztywniałe ciało Justine wirowało w powietrzu, mózg obsunął się do samych stóp, mdłości zalały ją niczym fala. Nogi uderzały mocno o szczyt łóżka. W końcu Flora straciła równowagę i upadła. Justine znalazła się pod ścianą z kolanami przyciśniętymi do listwy.

Flora zabrała ją do piwnicy. Napełniła wodą kocioł do prania. Justine siedziała na ławce, w majtkach i w koszulce.

– Wiesz, jak się robi porządne pranie? Widziałaś, jak to wygląda? Widziałaś, że gotuję bieliznę, by zrobiła się naprawdę czysta? Ale najpierw ją zamaczam.

Podniosła Justine i wsadziła ją do środka. Miała zimne czubki palców. Justine siedziała w kotle, woda sięgała jej do brzucha. Obejmowała nogi rękami, przyciskała je do pępka.

Flora sobie poszła. Jej kroki zastukały na schodach, a Justine usłyszała odgłos dwukrotnie przekręcanego klucza w zamku. Gdy dziewczynka zmieniała ostrożnie pozycję, woda pluskała o chropowate ścianki kotła.

Woda była chłodna. A co będzie, jeśli Flora wróci i postawi kocioł na ogniu? Ile zdoła wytrzymać? Czy będzie wyglądać jak szczupak

z nieruchomymi białymi oczami na półmisku? Czy jej ciało przybierze taką samą barwę i rozejdzie się tak, że będzie je można oderwać od szkieletu?

Nie, Flora tego nie zrobi, nie odważy się.

Podczas jednego z wyjazdów ojca Flora zostawiła ją w piwnicy do późna w nocy. Zeszła na dół w szlafroku, potrząsała zapalnikami, ale w końcu je odłożyła. Potem wypuściła wodę i wzięła dziewczynkę na kolana. Stopy Justine zrobiły się gąbczaste i pomarszczone, miała wrażenie, że odpadną jej paznokcie u nóg.

Macocho miała ze sobą ręcznik i piżamę. Jeszcze w piwnicy wytarła i ubrała Justine, po czym wniosła ją na rękach po schodach i położyła u siebie w łóżku. Leżały przykryte tą samą kołdrą. Ręka Flory spoczywała na klatce piersiowej Justine, dziewczynka czuła przez całą noc jej kanciastą miednicę na swoich plecach.

Kiedy siedziała nieruchomo w kotle, wydawało jej się, że słyszy głosy. Miała nadzieję, że tata wrócił do domu i że będzie się bardzo gniewał na Florę. Potem głosy jednak ucichły.

Mogłaby próbować wydostać się z kotła, ale i tak nie sięgnęłaby podłogi. Musi jeszcze trochę podrosnąć. Zauważyła na ścianie pająka. Bała się pajaków i nie odrywała od niego wzroku, dopóki nie zniknął w swojej dziurze. Bolała ją piszczel, którą stłukła o łóżko, gdy Flora robiła jej karuzelę. Flora twierdziła, że osobom ze skłonnościami do histerii dobrze robią szybkie obroty. Kiedyś chwyciła Justine za kostki i kręciła nią dokoła tak intensywnie, że dziewczynkę zupełnie zamroczyło.

– Tak postępowali dawniej lekarze z ludźmi, którzy chorowali na głowę. Krew jest pompowana do mózgu, który dzięki temu otrzymuje więcej tlenu. Dobry wpływ mają też wymioty, bo szaleństwo wychodzi wtedy z człowieka. Gdybym tylko miała więcej siły, urządziłabym ci częściej takie karuzele. Zaczynasz robić się ciężka.

Ojciec wrócił z podróży. Przywiózł dla niej instrument, lśniący niczym złoto, ozdobiony małymi pomponikami.

– Jak dorośniesz, będziesz mogła założyć orkiestrę.

Musiała wychodzić z instrumentem na zewnątrz, na tyły ogrodu. Dęła w niego, wydobywając dźwięki. Jej ojciec schodził do niej na dół i słuchał. Wołał Florę, stali pod jabłonią i oboje patrzyli, jak dmie w złoty róg.

– Klnę się, że to wcale nie jest takie łatwe, ona ma naprawdę talent. Słyszysz? Załatwię jej prywatne lekcje.

– Przecież dziewczynki nie grają na trąbce!

– Floro, to róg, stary pocztowy róg z Lucerny.

Ani jemu, ani Florze nie udawało się wydobyć z rogu żadnych dźwięków. Justine wzięła znowu głęboki wdech, zaczęła już tracić czucie w wargach.

Ojciec jakoś zdołał przymocować na ścianie nad jej łóżkiem haczyk. Nie radził sobie z takimi rzeczami, zawsze się denerwował, gdy trzeba było coś przykręcić lub wbić gwóźdź. Teraz róg wisiał na ścianie na czerwonej jedwabnej wstążce.

Zapomniał jednak o tych lekcjach. Justine od czasu do czasu upominała się o nie; „Ojej – mówił za każdym razem – zupełnie zapomniałem”. Zwykle dęła w róg nad brzegiem jeziora. Wyobrażała sobie, że paraduje w żakiecie i krótkiej spódnicy z fałdami. Centrum miasta było zamknięte dla ruchu. Justine maszerowała na czele, pozostali muzycyanci szli za nią jak stado gęsi.

8

Po nocnej zmianie w hotelu Hans Peter spał zwykle do wpół do jedenastej przed południem. Jeśli w pracy było spokojnie, udawało mu się czasem zdrzemnąć w nocy na pryczy za kotarą przy recepcji.

Hans Peter uważał się za człowieka bogatego – bogatego w czas.

Spędzał go na uprawianiu sportu lub czytaniu. Na tylnej okładce jednego z amerykańskich czasopism literackich znalazł listę najważniejszych pozycji klasyki światowej i przyszło mu do głowy, że mógłby ją całą przerobić. Było tam wszystko, począwszy od *Iliady* i *Odysei*, a skończywszy na *Kapitale* Marksa. Większości tych lektur nie dało się kupić, nawet w antykwiariatach, musiał więc udać się na poszukiwania do Biblioteki Miejskiej przy Sveavägen. „Musiał” było właściwym słowem. Atmosfera w dużej okrągłej sali biblioteki była zadziwiająco pęsepną, nie bardzo mógł pojąć dlaczego. Czyż ludzie, którzy na co dzień zajmowali się książkami, którzy na co dzień stykali się ze spragnionymi czytelnikami, nie powinni być pogodniejsi, czyż obcowanie z książkami nie powinno opróżniać ich życia światłem? Za każdym razem, gdy podawał książkę i kartę biblioteczną, by się zarejestrować, czuł się upokorzony. Jakby samą swoją obecnością stwarzał problemy kobietom za kontuarem wypożyczalni. Były jeszcze bardziej nieuprzejme niż obsługa w pewnym domu towarowym w Bukareszcie, który odwiedził w latach osiemdziesiątych, jeszcze przed upadkiem Ceaușescu.

Nie radził sobie z wypożyczaniem książek już od czasów szkolnych. Podczas pierwszej wizyty w bibliotece wyciągnął z półek cały stos książek, lecz bibliotekarka oznajmiła, że można wypożyczyć najwyżej trzy naraz. Potem pokazywała mu jedną po drugiej, pytając, z której rezygnuje. Był tym tak zdeprymowany, że przez wiele lat unikał bibliotek. Poprosił mamę, żeby oddała tamte trzy książki.

Teraz czytał *Don Juana* lorda Byrona w tłumaczeniu C. V. A. Strandberga. Była to opasła, zadziwiająco zabawna księga napisana wierszem, wydana przez Fritzes bokförlag w 1919 roku. Znalazł ją w antykwiariacie. Na stronie tytułowej widniał ekslibris informujący, że była niegdyś własnością niejakiego Axela Hedmana.

Tego rodzaju informacje wzbudzały jego ciekawość. Rozpoczął natychmiast „dochodzenie” i po żmudnych poszukiwaniach udało mu się ustalić, że Axel Hedman był starym nauczycielem łaciny, skazanym kilka lat po ukazaniu się książki za zamordowanie swojej gospodyni.

Zapewne była nie tylko jego gospodynią, pomyślał Hans Peter. Kobieta musiała być dość młoda, znalazł jej zdjęcie opublikowane w gazecie z tamtego okresu. Miała wydatne, mocno zaznaczone usta, wyglądała bardzo zmysłowo. Nauczyciel bronił się, utrzymując, że go wykorzystano i próbowała mu ukraść oszczędności. Sąd najwyraźniej nie uwzględnił tego argumentu.

Może Hedman czytał właśnie ten utwór w swojej celi w Långholmen? Hans Peter siedział teraz za kontuarem recepcji z książką rozłożoną pod gazetą. Zakrywał ją, gdy tylko pojawiał się ktoś potrzebujący pomocy.

Nie zdarzało się to zbyt często. Właściwie można byłoby dawać gościom klucze do drzwi wyjściowych, na pewno by sobie poradzili. Jednak Ulf, właściciel hotelu, nie godził się na takie rozwiązanie – chciał mieć obsługę na poziomie. Uznał, że w takiej sytuacji nie można się obejść bez nocnego portiera.

Hotel nazywał się Tre Rosor – „Trzy Róże” – i położony był w samym centrum, na Drottninggatan. Miał dziesięć pokoi dwuosobowych i tyle samo jednoosobowych. Standard był skromny: umywalki w pokojach, toalety i prysznice na korytarzach. Mieli wielu stałych gości, a pewien pięćdziesięciolatek zadomowił się u nich chyba na stałe.

– Nie mam nic przeciwko temu – oświadczył Ulf. – Płaci i nie sprawia problemów. Chce mieszkać w centrum, bez obciążeń związanych z posiadaniem własnego mieszkania.

Niekiedy pojawiały się pary w średnim wieku, które zdecydowanie nie były małżeństwami. Hans Peter nauczył się wychwytywać takie sygnały. Płacili z góry i wychodzili często razem koło północy, wygląda-

jąc już zupełnie inaczej. W ich oczach było więcej blasku, głosy brzmiały łagodniej.

– Idziemy się tylko przejść – oświadczyli, kładąc klucz na kontuarze. Nie wracali już jednak, przynajmniej nie tej samej nocy.

Ulf był właścicielem kilku hoteli. Czasem wyciągał Hansa Petera do miasta, najwyraźniej czuł się trochę odpowiedzialny za byłego szwagra.

– Ale z was mole książkowe – mawiał, mając też na myśli swoją siostrę, bibliotekarkę.

Sam nie przepadał za czytaniem.

– Zmyślane historie, po co to komu? Ludzie, których wymyślił jakiś facet... Nie lepiej zatroszczyć się o tych, którzy istnieją naprawdę?

– Jedno chyba nie wyklucza drugiego?

– A bo ja wiem? Może byłoby lepiej, gdybyś się rozejrzał i poszukał sobie jakiejś babki, z którą mógłbyś dzielić trudy życia?

Wpadał czasem do Hansa Petera i zdumiewał się liczbą regałów. Wodził palcami po grzbietach książek i pytał, ile ich jest.

– Przeczytałeś je wszystkie?

– Za każdym razem pytasz o to samo.

– Ile ich jest? Ile setek?

– Setek? Jest ich grubo ponad tysiąc!

Pomimo różnic dogadywali się całkiem dobrze. Ulf też rozstał się z żoną, a wkrótce po rozwodzie Hansa Petera pojechali razem do Londynu, gdzie włóczyli się po pubach, gawędząc o życiu.

Miał dobrą pracę, Ulf był świetnym szefem. Posada nocnego portiera raczej nie wiązała się z wysokim statusem, lecz najważniejsze było mimo wszystko to, że czuł się zadowolony z życia.

Pod koniec stycznia zrobiło się zimno i spadło sporo śniegu. Hans Peter wstawał tuż przed lunchem i chodził na długie spacery. Czasem zastanawiał się, czy nie sprawić sobie psa, na przykład boksera albo jakiejś innej przyjemnej rasy. Przeszkodą było to, że nie mógłby zabierać

ze sobą psa do pracy. Ulf na pewno by się nie zgodził ze względu na ryzyko alergii wśród gości.

Przyszedł mu na myśl pies, którym opiekował się przez jakiś czas w dzieciństwie. Rodzice wynajęli wtedy domek letniskowy w pewnym ośrodku wczasowym na Gotlandii. Obok mieszkała starsza para z małym pękatym jamnikiem. Piesek wyglądał jak serdelek i z początku Hans Peter się go obawiał. Właścicielka nauczyła go, jak wysuwać dłoń z kawałkiem biszkopta i wydawać komendę „siad”. Gdy pies ugiął tylne łapy i siadał, widać było jego podłużny brzuch i małe jasne brodawki. Nie ruszył biszkoptu, dopóki Hans Peter mu na to nie pozwolił, zachęcając słowami „proszę bardzo”. Wtedy jamnik przekrzywił głowę i chapał ciasto, trochę bokiem.

Zapomniał już imienia psa, pamiętał jednak, że właścicielka pozwalała mu wyprowadzać go na smyczy. Jamnik ciągnął brzuchem po piasku i skomlał, domagając się, by go nosić. Hans Peter przypomniał sobie, że była z nim też Margareta, miała wtedy dwa, może trzy lata. Chwytała mocno psa bezwzględnyymi małymi rączkami. Ujadał, ale nigdy nie zrobił jej krzywdy, jakby wyczuwał, że ona też jest jakby tylko szczeniakiem.

Siedział na krześle w recepcji, za oknem wiatr wzbijał kłęby śniegu, było ciemno, sklepy już pozamykane. Gdyby miał psa, nazwałby go Bella. Zwierzę mogłoby leżeć w łóżku i rozgrzewać je dla niego. Po nocy spędzonej w hotelu miał zawsze stopy zimne jak lód. Tylko czy można zostawiać psa samego na tak długo? Właściwie dlaczego nie? Przecież właściciele psów nie muszą wstawać w środku nocy, by doglądać swoich czworonożnych przyjaciół albo wychodzić z nimi na spacer.

Ale czy to by było w porządku? A gdyby Bella za nim tęskniła? Gdyby wyła z zadartym łbem noc w noc? Do czego by to doprowadziło? Mógłby nawet stracić mieszkanie, z którego był tak zadowolony.

Recepcja była niezbyt duża, lecz przytulnie urządzone. Tuż przed kontuarem stał komplet wypoczynkowy z rattanu z poduchami w duże

kwiaty. Na szklanej ławie leżało kilka wydań magazynu kulinarnego, chrześcijańskie pismo o nazwie „Poślaniec”, a także parę zaczytanych egzemplarzy „Reader’s Digest”, „Dagens Nyheter” i „Svenska Dagbladet”. Na prawo, na ławce, stało akwarium z dwoma rodzajami rybek, czarnymi i przezroczystymi. Hansowi Peterowi wydawało się, że czarne nazywają się molinezje. Mówiła mu kiedyś o tym sprzątaczką. Nie mógł być jednak zawsze pewien, że wszystko zrozumiał, bo jej szwedzki nie był zbyt zaawansowany.

To właśnie ona zajmowała się akwarium. Karmiła rybki i raz na tydzień usuwała odchody i inne zanieczyszczenia za pomocą plastikowego węża. Była imigrantką z Grecji i miała na imię Ariadne.

Jasne, pomyślał Peter, kiedy spotkał ją pierwszy raz. Jak może się nazywać Greczynka, jeśli nie Ariadne! Próbował z nią rozmawiać o labiryncie w Knossos, ale zakryła tylko ręką usta i roześmiała się. Zasłaniała wydatne dziąsła.

Gdy nie udawało jej się zafatwić opiekunki, brała ze sobą do hotelu córkę. Dziewczynka była niewidoma i spędzała zwykle czas na pryczy za recepcją. Hans Peter zawsze wiedział, że tam była, bo poduszka pachniała inaczej i czasem zostawały na niej mokre, lepkie plamy. Dziewczynka żuła często cukierki, sople o smaku malinowym.

Obok pryczy były drzwi prowadzące do kanciapy. Hans Peter robił tam na życzenie gości nocne kanapki z krewetkami albo cheddarem i zielonymi oliwkami, które dzielił na pół i przytwierdzał kawałkami wykałaczek. Do jego obowiązków należała też nocna runda po korytarzach, którą odbywał o drugiej, by zebrać wystawione do czyszczenia buty. Ulf wołał zachować tego rodzaju staroświeckie usługi. Przywiązywał do nich wagę, a Hans Peter nie miał nic przeciwko temu, bo dzięki nim miał choć mały przerywnik w dość monotonnym czuwaniu. Chodził po korytarzach z dużym koszem i zbierał obuwie; oznaczał je od spodu kredą, pisząc numer pokoju. Kiedy zbierał buty pierwszy raz, był pewien, że będzie pamiętał, spod których pokoi je zabiera, lecz

okazało się to trudniejsze, niż przypuszczał – musiał je potem odstawić na chybił trafił. Dwie pary męskich butów znalazły się nie tam, gdzie trzeba, ale goście zareagowali ze spokojem, traktując to jako zabawny epizod, o którym będzie można opowiadać po powrocie do domu.

Tej nocy było, jak zwykle, pełne obłożenie. Hans Peter usadowił się wygodnie i odsunął gazetę znad książki. Doszedł już do siódmej pieśni *Don Juana* i miał właśnie zacząć czytać dalej, gdy otworzyły się drzwi i do środka wpadł tuman śniegu. Przy kontuarze stanął mężczyzna z mokrymi, lepiącymi się do czoła włosami.

– W czym mógłbym panu pomóc? – zapytał Hans Peter.

Przybysz bez słowa wrócił do drzwi, zamknął je, po czym otrzepał buty.

Hans Peter zapytał ponownie, czym może służyć.

– Chciałbym odwiedzić jednego z waszych gości – oznajmił mężczyzna, a Hans Peter zorientował się, że przybysz jest pijany.

– Tak, a kogo?

– Agnetę Lind.

Hans Peter przekartkował księgę gości. Nazwisko było mu obce, ale miał już wcześniej do czynienia z mężczyznami poszukującymi swoich niewiernych żon.

– Przykro mi, nie mamy gościa o takim nazwisku.

– Proszę przestać! Na sto procent jest tutaj.

Hans Peter pokręcił głową. Trzeba zachować się dyplomatycznie. Mężczyzna był postawny i silny. Miał na sobie rozpiętą, podniszczoną jesionkę, na jego szyi wisiał złoty łańcuszek z amuletem.

– Na pewno podała fałszywe nazwisko.

– Niełatwo ustalić coś takiego.

– Nie macie obowiązku domagać się okazywania dowodu tożsamości?

– Nie.

Mężczyzna starał się sprawiać groźne wrażenie, lecz po chwili cofnął się o parę kroków i opadł na sofę. Ukrył twarz w zgięciu łokcia. Wyglądał jakby płakał.

– Do kurwy nędzy... nie ma pan pojęcia, jakie to upokarzające.

Tego rodzaju sytuacje były wyjątkowo trudne. Co można komuś takiemu powiedzieć? Cokolwiek zrobi, i tak będzie źle. Postanowił odczekać.

Mężczyzna płakał chwilę, coraz ciszej. Gdy odsunął rękę, jego twarz była mokra i spuchnięta.

– Jeśli ją opiszę... rozpozna ją pan?

– Bardzo proszę... nie możemy robić takich rzeczy, obowiązuje nas dyskrecja.

Mężczyzna nie słuchał.

– Ma... trzydzieści osiem lat, chociaż trudno w to uwierzyć, bo wszyscy mówią, że wygląda o wiele młodziej... krótkie, farbowane włosy, rude, chociaż nie wszędzie... A teraz ten skurwieli...

– Dlaczego pan jej szuka?

– Do cholery, to przecież moja żona. Jest tu ze swoim kochankiem. Dałbym sobie rękę uciąć, że tu jest. Nakryłem ją. „Tre Rosor” – tak było napisane w jej kalendarzu. Nigdy nie była zbyt sprytna, a Tre Rosor – może to nie tu? Czy ten pieprzony hotel nie nazywa się przypadkiem Tre Rosor?

– Owszem, ale to nie jest hotel tego rodzaju.

– Jakiego rodzaju?

– No... podrzędny.

– To nie ma nic do rzeczy.

– Dobrze, okej... ale... tak czy inaczej, nie ma u nas takiej osoby.

– A kochanek... Wiem, kim jest, widziałem go, nosi okulary i szpanserskie ciuchy, jakiś cholerny adwokat, który teraz pieprzy ją gdzieś na górze! Zatłukę ich oboje!

Powinien wyrzucić tego faceta albo zadzwonić po pomoc. Byłoby to jedyne rozsądne wyjście z sytuacji.

– Napije się pan kawy? – zapytał.

Zrobił kanapkę z krewetkami i zagotował duży dzbanek kawy. Mężczyzna wziął podejrzliwie do ust kęs kanapki, kilka krewetek spadło mu na kolana. Przeżuwał głośno i rozglądał się nerwowo. Oby tylko nie pojawił się tu teraz Ulf, pomyślał Hans Peter. Nie byłby zachwycony jego inicjatywą. Obcy ludzie, którzy zadomawiają się w holu hotelowym, nie wróżą nic dobrego.

Po wypiciu kawy nieznajomy się uspokoił. Hans Peter miał nadzieję, że wkrótce sobie pójdzie.

– Pyszna kanapka! – stwierdził mężczyzna i połknął ostatni kęs. – Muszę przyznać, że potraktował mnie pan wyjątkowo miło.

– Dziękuję!

– Nazywam się Björn. Björn Lind.

Hans Peter nie chciał wiedzieć, jak ten człowiek się nazywa. Nie chciał nawiązywać z nim bliższej znajomości, ale i tak zaczął rozmowę, choć wbrew własnej woli. Często mu się zdarzało, że dawał się wciągać w sytuacje, których powinien unikać.

– Od dawna jesteście małżeństwem? – padło z jego ust.

– Kilka ładnych lat.

– Zdaje się, że już nie jest wam tak dobrze razem?

– W każdym razie ja tak uważam.

– A ona?

– Nie mam pojęcia. Nie przypominam sobie, żeby się skarżyła.

– Rozmawialiście o rozwodzie?

– Ależ skąd! Mimo to wiem, że ma kogoś, człowiek wyczuwa takie rzeczy. Mówi, że idzie do kina z koleżanką, a tak naprawdę...

– A może faktycznie chodzi do kina?

- Pieprzenie!
- Czym się pan zajmuje?
- Jestem przedsiębiorcą. Mam firmę kurierską, kilka samochodów.

Poznaliśmy się, kiedy zaczęła u mnie pracować.

Jedna rybka podpłynęła do góry, wysunęła pyszczek nad powierzchnię wody i nabrała powietrza. Robiły tak czasem, gdy potrzebowały więcej tlenu. Hans Peter zastanawiał się, czy są świadome zamknięcia. Na pewno widziały otoczenie przez wodę i szkło. Kiedy do akwarium zbliżała się Ariadne, wszystkie podpływały do góry, wiedząc, że je nakarmi; rozpoznawały ją.

– Jeśli pana żona spotyka się kimś, to może ma ku temu powody – zauważył ostrożnie.

- Jakie znowu powody?
- Nie wiem, ale widać nie jest całkiem zadowolona z waszego małżeństwa. Tak mi się przynajmniej wydaje.
- Życie nie może być chyba zawsze usłane różami?
- Jasne, że nie.
- A może jest takie w hotelu Tre Rosor, ha, ha?

Hans Peter też się roześmiał.

- A pan? Jest pan żonaty?
- Byłem.
- No to pan rozumie, jakie to cholernie proste.
- Owszem. – Hans Peter westchnął.
- Ona odeszła czy pan?
- Właściwie żadne nie odeszło. Po prostu... oddaliliśmy się od siebie.

- Ale my z Agnetą, my...
- Umiecie ze sobą rozmawiać? Bo dopóki tak jest...
- Rozmawiać jak rozmawiać.

Mężczyzna zamilkł. Wziął jedną z gazet i zaczął ją przeglądać, głównie po to, by zająć czymś ręce. Ktoś szedł korytarzem na pierwszym pię-

trze. A jeśli wśród gości naprawdę była Agneta Lind? Co będzie, jeśli to właśnie ona schodzi teraz na dół w asyście swojego kochanka? Hans Peter próbował odtworzyć w myślach, kto zameldował się wieczorem, jak ci ludzie wyglądali, czy była wśród nich rudowłosa kobieta. Nie przypominał sobie nikogo takiego.

– Wie pan, co – powiedział Björn, podnosząc się z trudem. Wydawał się teraz zupełnie trzeźwy. – Będę się zbierał. Wielkie dzięki. Nie wiem dokładnie za co, ale tak czy inaczej, dziękuję. Na pewno za kawę i kanapkę.

Hans Peter nie był już w stanie czytać, nic do niego nie docierało. Umył kubek i talerzyk, wyplukał dzbanek. Czuł, że ogarnia go chandra, choć nie bardzo rozumiał dlaczego. Chciał, by noc minęła szybko, chciał iść do domu i położyć się. Bolało go w stawach, czuł się, jakby miał się rozchorować.

9

Po długiej przerwie zaczęła znowu przychodzić w odwiedziny. Zmieniła się. Było w niej coś obcego, coś nowego w jej zachowaniu. Jakby ktoś nastawił jej na nowo kręgosłup, jakby weszła w głąb samej siebie i odszukała prawdziwą małą Justine, taką, jaka była kiedyś. Wchodząc do sali, trzymała ją przed sobą niczym tarczę.

Właśnie, chociażby to – już sam jej chód był inny – zarzuciła nawyk ostrożnego skradania się, jakiego nabierają krewni chorych. Otwierała śmiało drzwi i po prostu wchodziła. Przysuwała sobie z nieprzyjemnym zgrzytem krzesło do łóżka, a potem siedziała zupełnie nieruchomo, prosta jak świeca, emanująca chłodem. Z wytrzeszczonymi oczami, z tym samym chytrym spojrzeniem, jakie miała kiedyś, bardzo dawno temu.

Florę ogarniały złe przeczucia. Koc ciążył na klatce piersiowej. W takich momentach miała wrażenie, że znowu czuje swoje ciało każdą, najmniejszą nawet komórką, jak przed udarem. Przymykała oczy i udawała, że śpi, lecz musiała co chwilę unosić odrobinę powieki, by zobaczyć, czy Justine nadal tam siedzi, by sprawdzić, czy chociaż zmieniła pozycję. Stało się to niemal przymusem.

Czasem łapała się na tym, że leży i nasłuchuje kroków Justine, nawet nocami. Gdyby mogła dać tym cholernym białym fartuchom do zrozumienia, że już nie życzy sobie wizyt. Żadnych. Nawet najbliższych krewnych.

Na początku leżała nieprzytomna i nie była świadoma tego, czy ją ktoś odwiedza. Gdy z wolna zaczęła dochodzić do siebie, Justine stała przy jej łóżku. Słyszała jej wątły głos, ten błagalny ton.

– Flora, widzisz mnie? Słyszysz mnie?

Język sprawiał wrażenie kawałka zaschniętej kory.

W pokoju jasno, weszła pielęgniarka.

– Czy ona rozumie, co do niej mówię?

Spojrzenie pielęgniarki, zanim wyszły razem. Flora próbowała podnieść rękę, by odsunąć pościel. Chciała wstać, poszukać lustra, sprawdzić, co się stało. Musieli ją naszprycować lekami, nie pamiętała, jak się tu znalazła.

Nie udało się jej jednak podnieść ręki.

Nawet nią poruszyć.

Na samym początku wciąż robili jej jakieś badania i testy. Dzień w dzień wozili ją po szpitalu, do laboratorium i na prześwietlenia. Wbijali w jej dłoń igły, przeciągali jakimiś instrumentami po stopach i pytali: „Pani Dalvik, czy naprawdę nic pani nie czuje, nawet najdelikatniejszego dotknięcia?”.

Po jakimś czasie dali sobie spokój.

Przywiązali ją do noszy, na których wyniosło ją dwóch młodych sanitariuszy. Po raz pierwszy od dawna poczuła świeże powietrze i dopie-

ro wtedy uświadomiła sobie, że dla niej życie już się skończyło. Kiedy karetka opuszczała podjazd, mignął jej przed oczami oddział ratunkowy i przypomniawszy sobie wycie syren.

W ośrodku opieki nie było już takiego pośpiechu.

Czasami, w nocy, doznawała pewnego rodzaju poczucia bliskości, jakby znów był przy niej Sven. Młody i zdrowy, jak wtedy, gdy się poznali. Miała ochotę nakryć głowę kocem, nie wolno mu jej takiej oglądać, tak postarzałej i upokorzonej. Idź sobie, chciała krzyknąć. Wracaj do swojej francuskiej żony.

Tamta kobieta zmarła w kwiecie wieku. To ją sobie wybrał, to ona dała mu dziecko. Flora nie mogła być dla niego nigdy niczym innym, jak tylko surogatem, nawet jeśli zarzekał się, że tak nie jest.

Gdyby tylko zgodził się na sprzedaż domu. Byłby to ostateczny dowód, że mówił prawdę. Że chciał rozpocząć nowe życie. Jednak kategorycznie odmawiał. Mogła go skłonić do wielu rzeczy, ale nie do tego. Ten dom był dla niego święty. Wybrała go Francuzka i zostawiła w nim, niczym nieustanne przypomnienie, swoje niewydarzone dziecko.

A łono Flory było niepłodne.

Kolejny ranek. Odgłosy kroków i krzątania na korytarzu, światło, żaluzje. Spojrzała w stronę okna, czarnego i lśniącego, nadal paliły się lampy uliczne.

Świergotliwy głos białego fartucha:

– Dzień dobry, Floro. Dobrze spałaś?

Kto ci pozwolił używać mojego imienia?

Koc ściągnięty, czyjeś ręce na jej biodrach i miednicy. Tyle jeszcze mogła – oddawać mocz.

Nie musiała oglądać obwisłych ud. Ani kępki przeredzonych, posiwiałych włosów.

Biały fartuch nucił; dziewczyna z jasnymi lokami wyglądała jak dziecko.

– Flora, mamy wreszcie zimę. Cudownie, prawda? W nocy spadło mnóstwo śniegu. Zrobiło się zimno, prawie minus jedenaście. Mój chłopak podrzucił mnie do pracy. Nie mogliśmy wjechać pod górkę, bo ma jeszcze letnie opony, dość sfatygowane.

No tak, śnieg. Głuche odgłosy zgrzytania pługów, słyszała je cały rano.

– Zaraz przyjdę cię umyć. A potem zjemy pyszne śniadanko...

Ten szczebiotliwy, naiwny optymizm. Jakby jedzenie mogło nadal smakować ludziom w jej sytuacji.

Śnieg... Gdy po raz pierwszy zaprosił ją do siebie, było biało. Poślizgnęła się na pochyłości i omal nie upadła. Chwyił ją wtedy za rękaw płaszcza. Delikatnie, w jego ruchach nie było nic władczego.

W domu przyjęła ich gospoia. Przygotowała obiad i nakryła do stołu w pokoju, który Flora przerobiła potem na błękitny salon. Od drzwi wejściowych i od piwnicy ciągnęło chłodem. Piec nie działał jak trzeba, choć był zupełnie nowy. Sven był tak rozbijającym niepraktyczny.

Florze marzły stopy, bo nie wzięła ze sobą żadnych butów na zmianę. Sven dał jej parę grubych skarpet, ale były o wiele za duże i nadal marzła, dopóki nie wypila kieliszka wina. Wtedy zrobiło jej się gorąco i nabrała ochoty do śmiechu.

Gospoia przyprowadziła dziewczynkę. Była podobna do ojca – jasna cera, ten sam podbródek.

– To moja córeczka Justine – powiedział Sven i wziął ją na rękę. Objęła go mocno za szyję i nie chciała się przywitać. Flora musiała cofnąć wyciągniętą rękę, czuła się upokorzona.

Zjedli obiad i usiedli przy mniejszym stoliku, by napić się kawy. Dziewczynka trzymała się kurczowo ojca, nawet nie podniosła wzroku. Sven zabrał ją w końcu z pokoju.

– Bądź dla niej wyrozumiała – poprosił, kiedy wrócił. – Wiesz przecież, co się stało. Poza tym ona jest w trudnym wieku.

Kilka tygodni później zaprosiła go do siebie. Niedawno przeprowadziła się do dwupokojowego mieszkania od strony podwórza w kamienicy przy Odenplan, w pobliżu kościoła Gustawa Wazy. Pojechała do domu zaraz po lunchu. Do tej pory pamiętała, co podała wtedy na obiad: polędwicę wołową w cieście i smażone na maśle kurki, a na deser świeże truskawki. Rodzice pomogli jej zdobyć owoce i grzyby. Na Svenie obiad zrobił spore wrażenie.

Tego wieczoru przespali się ze sobą. Od tak dawna był sam, więc poszło bardzo szybko. Leżeli nadal w łóżku. Obejmowała rękami jego szczupłe pośladki i czuła wzbierającą falę tkliwości.

– Sven – wyszeptwała.

Tak, szeptała jego imię, a on nie był już jej szefem, tylko mężczyzną, z którym się kochała. Wzięła jego dłoń i przesunęła ją pomiędzy swoje uda. Wówczas on znowu nabrzmiał i stwardniał, a ona położyła się na nim i wprowadziła go w siebie w sposób, w jaki do tej pory nie robiła tego z żadnym innym mężczyzną.

Lubił ją, o tak, prawie kochał. Wracał do niej co wieczór. Leżała w jego objęciach, opowiadała mu o Hässelby i o swojej rodzinie.

– Masz takie piękne imię – powiedział. – Jest takie... kwieciste.

– Nieprzypadkowo jestem córką ogrodnika.

Roześmiał się i popieścił ją językiem wokół pępka. Przesunęła się niżej, jej usta znalazły się na wysokości jego kolan. Leżąc w tej pozycji, opowiadała dalej:

– Moi rodzice zajmują się ogrodnictwem od trzydziestu lat. Przejęli je po dziadku ze strony ojca. Zapewne myśleli, że firma zostanie nadal w rodzinie, ale... Ech, chyba nic z tego. Mam jeszcze trzy siostry, wszystkie mają imiona utworzone od nazw kwiatów, lecz żadna z nas

nie ma ochoty poświęcić się uprawie. Jestem najmłodsza. Najstarsza jest Rosa, potem Viola i Reseda.

- Reseda?
- Tak ma na imię.
- A gdyby mieli synów?
- Wtedy nie leżelibyśmy tutaj.

Przesunęła się wyżej i wodziła palcem wskazującym u nasady jego włosów. Okulary leżały na stole, jego brwi były jasne, niemal niewidoczne.

- Chodzi mi o to, jakie dostaliby imiona.
- Nie wiem. Może Rot i Stam*? Korzeń i pień Jessego... Rodzice tak naprawdę marzyli o synach. Żadna z nas nie chce przejąć ogrodnictwa, bo mamy już dosyć.

- Pomagałyście rodzicom w dzieciństwie?
- Pomagałyśmy, jak pomagałyśmy. Byłyśmy do tego zmuszane.

Gdy były nieposłuszne, ojciec bił je podpórkami do kwiatów. Flory nie bił prawie nigdy, ale często karał Rosę, jej najstarszą siostrę. Tę, która jego zdaniem powinna rozumieć najwięcej. Rosie nie wystarczyło cierpliwości. Nienawidziła zniszczonych, popękanych rąk, nienawidziła ziemi i jej zapachu. Wymykała się często podczas pielienia chwastów i szła popływać. Chociaż powinna była wiedzieć, co ją czeka po powrocie. Za każdym razem jakby o tym zapomniała.

Flora nadal pamiętała jej płacz, gdy ojciec zaciągał ją do szopy na narzędzia. Rosa miała potem opuchnięte plecy, całe pokryte pręgami. Siostry wachlowały ją liśćmi rabarbaru i przemywały rany wodą.

Wszystkim im ułożyło się w życiu. Rosa wyszła za męża za pewnego armatora i przeniosła się do Göteborga. Viola dostała pracę w ekskluzywnym domu towarowym NK, a Reseda została dyrektorką szkoły dla dziewcząt.

Żadna z nich już nie żyła. Oprócz niej, Flory.

* Szw. *rot* – korzeń, *stam* – pień.

Kleik. A co innego mogliby jej dawać? Kto miałby czas siedzieć i czekać, aż połknie coś, co trzeba rozgryźć? Śluzowaty, słony smak wywoływał mdłości. Choć było jej niedobrze, przezwyciężała odrazę i przełykała.

Biały fartuch rozmawiał ze starszą koleżanką.

– Moglibyśmy pozakładać im nieprzemakalne ubrania i powsadzać ich na deski snowboardowe albo na sanki. Obwieźlibyśmy pensjonariuszy po całej Räcksta, na pewno by im się spodobało, nie sądzisz?

– Ale nam by się nie podobało.

– Ech, Ing-Marie, nie bądź taka sztywna. Trzeba zostawić w sobie coś z dziecka.

– Otóż to! Trzymaj swoje w środku i nie pokazuj go innym!

Młodsza wytarła Florze podbródek.

– Byłoby świetnie, prawda, Flora? Jeździłaś chyba w dzieciństwie na sankach? Pamiętasz jeszcze, jak było fajnie? Wiesz co, Ing-Marie, naprawdę można rozruszać pacjentów, przypominając im rzeczy z przeszłości. Czytałam, że to pomaga.

Wolałaby teraz zakaszleć, chciała, by kleik dostał się do krtani, tak żeby śluz i kaszel zakończyły to śniadanie na trawie. Nie zrobiła tego jednak, przełknęła ładnie i grzecznie.

Dzień przed sobótką Sven zapytał, czy byłaby skłonna przeprowadzić się z powrotem do Hässelby, do jego domu, by zostać matką jego dziecka i jego żoną. Powiedział to właśnie w tej kolejności: zostań matką mojego dziecka i moją żoną.

Wieczór był ciepły i piękny. Zjedli kolację w restauracji, a teraz szli S:t Eriksgatan. Czują łagodne powiewy wiatru na szyi i rękach. Ogarnęła ją taka radość, stanęła pośrodku chodnika i zarzuciła Svenowi ręce na szyję.

Potem pomyślała o jego córce.

– Przyzwyczaj się – powiedział Sven. – W jej życiu zapanuje wreszcie ład. Daj jej tylko trochę czasu, pokocha cię tak samo jak ja.

Wkrótce potem wzięli ślub. Flora zawsze marzyła o uroczystym ślubie kościelnym, lecz uświadomiła sobie, że mogłoby to wydać się niestosowne – minęło przecież tak niewiele czasu od śmierci francuskiej żony Svena. Ślub musiał być więc skromny. Udało jej się natomiast przeforsować podróż poślubną do Londynu. Zawsze chciała tam pojechać.

Zatrzymali się w hotelu przy małej uliczce w pobliżu Oxford Street, nie pamiętała już jej nazwy. Sven zabrał ją do teatru, bywał często w Londynie, gdyż mieściła się tam jedna z filii koncernu Sandy. Odwiedzili ją razem, oprowadzono ich po całym supernowoczesnym kompleksie. Flora mogła wypróbować swoją znajomość angielskiego – pamiętała wszystko, słowa tkwiły nadal w jej umyśle, czekając na odpowiednią okazję. Zauważyła, że zrobiło to na nim wrażenie.

Przygotowywała się do wyjścia, mieli pójść do Royal Albert Hall. Chciała zobaczyć wszystko, zaznać wszystkiego, o czym słyszała i czytała.

Było późne popołudnie, trzeci dzień ich pobytu w Londynie. Ktoś zapukał do drzwi.

Stanął w nich jakiś mężczyzna. Nadszedł telegram od rodziców Svena, pilny. Chodziło o córkę, była chora.

Wrócili następnego ranka. Sven chciał wracać jeszcze tego samego wieczoru, lecz nie udało się już dostać biletów lotniczych. Podczas całej podróży był milczący i rozkojarzony, widziała, że cierpi, że wini się za zostawienie córeczki, że znowu przeżywa stratę jej matki.

Oczywiście Justine nie dolegało nic poważnego. Miała tylko atak gorączki. Temperatura wzrosła do ponad czterdziestu stopni, więc matka Svena uznała, że najlepiej będzie go powiadomić.

Skoki temperatury u dzieci to chyba normalna rzecz? I po co było całe to zamieszanie?

Zrezygnowała z pracy w firmie. Nocami leżała w łóżku obok Svena. Leżała i nasłuchiwała jego pochrapywania, próbując zapomnieć o dziecku po drugiej stronie ściany. Będzie miała własne dziecko, które rozwinie się w jej łonie i uczyni z niej prawdziwą matkę.

Nigdy nie będzie żałował, że się z nią związał. Będzie jego piękną, reprezentacyjną żoną, gotującą wystawne kolacje dla jego partnerów biznesowych. Będzie z nimi konwersować po angielsku, a oni będą okazywać zdumienie: *What a beautiful and talented young wife you have got, Mr Dalvik**.

Ona i dziewczynka. Były w domu same. Sven pojechał do pracy. Justine odeszła od stołu, nie tknąwszy nawet kawałka chleba.

– Powinna przecież jeść – szeptala Flora do Svena podczas śniadania. – Chyba widzisz, że jest chuda i niedożywiona. Dzieci w okresie dorastania muszą dostawać odpowiednie składniki odżywcze.

– Wszystko się ułoży. Daj jej tylko trochę czasu, okaż trochę cierpliwości.

Stała w oknie kuchennym i patrzyła, jak Sven wsiada do samochodu. Podniósł rękę i pomachał nią, przesłał jej całusa. Wieczny, klasyczny obrazek.

Ogarnęła ją ochota, by go zawołać, zatrzymać; zabierz mnie ze sobą, chcę jechać z tobą. Chcę być z tobą, a nie z twoim dzieckiem.

Została w domu. Pozmywała naczynia po śniadaniu, po czym poszła na piętro, by pościelić. Dziewczynka leżała w łóżku Svena. Owinęła się jego kołdrą, wtuliła głowę w poduszkę.

Flora usiadła obok niej.

– Justine – powiedziała powoli. – Powinniśmy się zaprzyjaźnić, ty i ja. Chcę zostać twoją przyjaciółką, czy zostaniesz moją?

* Jaką ma pan śliczną i utalentowaną młodą żonę, panie Dalvik (ang.).

Dziecko nie odpowiedziało. Uświadomiła sobie, że dziewczynka w ogóle rzadko się odzywa.

Położyła rękę na koldrze. Wątle ciało podskoczyło.

– Zamieszkałam w tym domu, by być twoją mamą – dodała, podnosząc głos. – Musisz przestać mnie ignorować. Proszę cię grzecznie, byśmy się zaprzyjaźniły. Spójrz mi w oczy i odpowiedz.

Dziewczynka zerwała się z pościeli, zsunęła się z łóżka niczym śliski, jadowity wąż i przemknęła obok Flory. Stała w drzwiach; twarz ściągnięta grymasem wściekłości.

– Nie jesteś moją mamą, jesteś tylko pieprzoną kurwą!

Nie była na nią zła. Poszła do łazienki i zamknęła się na klucz. Stała przed lustrem i płakała. Zmusiło ją do płaczu dziecko, dziecko Svena. Postanowiła, że on nigdy się o tym nie dowie.

– Proszę się obudzić, już dzień, nie można tyle spać. Posadzimy cię w fotelu, chyba tak będzie lepiej?

Białe fartuchy. Siedząc w pomarańczowym fotelu, widziała, jak ścięła jej łóżko i wycierają pod nim podłogę mopem. Zbierały się tam kłaczki kurzu.

Spojrzała potem na sąsiednie łóżko i zobaczyła, że jest puste. Kobieta zmarła. Czy stało się to ostatniej nocy, czy wcześniej? Ludzie zawsze umierają nocą.

Ubrali ją w różowy fartuch z dużymi białymi guzikami. W różowym zawsze było jej do twarzy. Malowała swoje długie rzęsy, a różowa sukienka wieczorowa szeleściła, gdy wkładała ją przez głowę. Syk bąbelków szampana, dźwięczne tony muzyki, mój mąż tańczy jak młody bóg. Flora wiruje w tańcu przez lustrzane sale, mknie w dół po schodach szerokich jak bulwary.

– To Märta, będziecie mieszkać razem.

Pomarszczona stara twarz, podejrzliwa.

– Mamy nadzieję, że będzie wam razem dobrze.

– Skoro jedna nie może mówić, nie będzie dochodzić do kłótni!

Siedziały teraz po obu stronach stołu.

Ilu nowym współlokatorom ją przedstawiono? Czy przeżyje je wszystkie? To niesprawiedliwe!

Kupiła dla dziewczynki lalkę. Bardzo ładną, sama pragnęła takiej jako dziecko. Lalka miała prawdziwe włosy z kokardą i poruszała oczami. W sklepie zapakowano ją do pudełka.

Następnego ranka, gdy Sven pojechał do pracy, poszła do pokoju małej i położyła pudełko na łóżku. Justine siedziała skulona w niszy okiennej, miała nieumyte włosy, zaciśnięte usta.

– Nie powinnaś siedzieć w oknie, możesz wypaść!

Justine odwróciła głowę.

– Idź się teraz umyć, potem zdecydujemy, w co się ubierzesz. Jak się wyszykujesz, wolno ci będzie otworzyć paczkę.

Dziewczynka wyszła na sztywnych nogach. Kiedy znalazła się w łazience, zamknęła się na klucz i nie chciała stamtąd wyjść.

Flora udała, że wychodzi z domu. Skuliła się za komodą i czekała w zupełnej ciszy.

To była wojna, prawdziwa wojna pozycyjna. Dzieciak siedział w środku, ładował armaty, a ona kryła się w okopach.

Co nastąpiło potem?

Gorąca skóra dziewczynki, ręce walące na oślep, nagie ciało skulone w kącie.

– Masz robić, co ci każę, bachorze jeden, jesteś człowiekiem czy zwierzęciem, zatłukę cię, jeśli nie będziesz mnie słuchać, jeśli nadal będziesz mnie lekceważyć i ignorować; słuchaj, nie odwracaj się, od teraz obowiązują nowe reguły. Odechciało mi się być twoją matką.

– Co z nią zrobiłaś? – zapytał potem Sven. Z jego tonu nie przebijała nagana, lecz lekkie zdziwienie.

Pomiędzy nimi dziecko – z czystymi włosami, wyszorowane, zaróżowione.

10

Curt Lúding zwołał zebranie na dziewiątą rano w poniedziałek. Posłał Jenny, swoją asystentkę, by kupiła ciasto. Stało teraz na stole, klajstrowate, pokrojone w zbyt duże kawałki.

– Bardzo proszę, częstujcie się – zachęcał Curt.

Długie, zadbane palce obracały nerwowo długopis z nadrukiem „Norrbottnenskuriren”, jak zauważyła Berit. No tak, szef pochodzi przecież z północy.

Nikt nie sięgnął po ciasto, sam Curt Lúding też nie.

Siedział przy krótszym boku stołu. Co chwilę podnosił do ust plastikowy kubek z kawą, pijąc ostrożnymi, drobnymi łyżkami. Nie zapytał, jak minął weekend, tego ranka darował sobie wyświechtane frazesy. Miał na sobie ciemny garnitur, ten, który zaczął nosić zimą. Wcześniej chodził przeważnie w swetrach i sztruksowych spodniach. Zaszła w nim jakaś zmiana, pomyślała Berit. Stawał się taki... nienaganny.

Czekali. Annie wpatrywała się w swoją filiżankę z kawą. Lotta pochrząkiwała i pokastywała, jakby właśnie łąpała przeziębienie. Lilian nuciła sobie coś pod nosem, jak zawsze, gdy była zaniepokojona lub zła – zamiast coś powiedzieć, chodziła sobie i nuciła.

Usłyszeli karetkę mknącą na ostrym sygnale.

Zadzwoił telefon.

– Czy automatyczna sekretarka jest włączona? – zapytał Curt Lúding.

– Tak – odparła Jenny.

– Dobrze, to w takim razie zaczynamy. Tak... zapewne się domyślacie, że jest konkretny powód, dla którego was dziś zwołałem. Jak wiecie, byłem jednym z założycieli tego wydawnictwa, a potem, kiedy inni się wycofali, przejąłem je i wpompowałem w nie swój kapitał. Znacie przecież dobrze tę historię. Lata mijały i – nie ma co owijać w bawełnę – czasami bywało ciężko. Odwaliliście kawał dobrej roboty, bez was nic by się nie udało. Wielu z was pracuje tu od bardzo dawna, na przykład ty, Berit, czy Margit... Wyobrażam sobie, że wszyscy czujecie się tak samo związani z tym wydawnictwem jak ja.

Zamilkł i spojrzał w stronę okna.

Śnieg nadal się utrzymywał. Termometr pokazywał pięć–sześć stopni poniżej zera, a Berit po raz pierwszy tej zimy mogła włożyć futro.

Do rzeczy, poganiała go w myślach, do rzeczy, ty cholerny obłudniku!

Miała ochotę zapalić. Próbowała rzucić i od wielu tygodni na przemian paliła papierosy i żuła gumę nikotynową.

Nie był to raczej dobry okres na rzucanie palenia.

– Jak wiecie – kontynuował jej szef – urodziłem się i wychowałem w Norrbotten. W małej wiosce, która nazywa się Sangis. Mój ojciec pracował w lesie, matka była pielęgniarką okręgową. Wzrastałem wśród tamtejszych lasów. Znacie mnie od dawna i wiecie, że jak tylko się zapomnę, zwłaszcza podczas naszych wspólnych imprez, zaczynam się posługiwać dzikim narzeczem z moich rodzinnych stron.

Owszem, pamiętali. Jeszcze kilka lat wcześniej uwielbiał imprezy firmowe, był ich inicjatorem. Zapraszał wszystkich do siebie na wieś, uczył jeść kwaszonego śledzia z „ziemniakami migdałowymi”^{*} i śpiewał im

^{*} *Szw. surströmming* – śledź w zalewie solnej, poddawany przez wiele tygodni procesowi kontrolowanej fermentacji; tradycyjny, kontrowersyjny (ze względu na specyficzny smak i zapach) przysmak pochodzący z północnej Szwecji; w trzeci czwartek sierpnia odbywa się w Szwecji inauguracja sezonu na kwaszonego śledzia. „Ziemniaki migdałowe” (odmiana ziemniaka uprawiana w Szwecji, głównie północnej) – nieodłączny dodatek do kwaszonego śledzia.

melancholijne pieśni z północy. W spotkaniach uczestniczyła też wtedy jego żona Maud, radosna kobieta, zażywna i jowialna, również pochodząca z Norrlandii.

Wszystko się zmieniło, gdy się rozwiedli. Maud zakochała się w kimś innym, zostawiła Curta i wyjechała z nowym facetem za granicę, do Maastricht, gdzie tamten pracował na rzecz Parlamentu Europejskiego. Curt Lúding nie mógł się pozbierać po tym ciosie.

– A teraz, moi przyjaciele, powiem wam, o co w tym wszystkim chodzi. Trzymajcie się, bo czekają nas przełomowe zmiany: zamierzam przenieść wydawnictwo do Luleå!

Zamilkł i przyglądał się wszystkim po kolei. Zauważyli drzenie kącika jego oka.

– Jesteście zaskoczeni? Wyobrażam sobie!

Gdzieś z głębi budynku doleciały ich odgłosy wiercenia. Wciąż trwały jakieś prace remontowo-budowlane. Niemal co miesiąc dostawali komunikaty od administratora:

„Prosimy o wyrozumiałość, w dniach takich a takich...”

– Zapewne zastanawiacie się, dlaczego akurat Luleå. Powiem wam. W tej chwili prowadzenie działalności wydawniczej w tamtym regionie wydaje się niezwykle opłacalne. Samorząd terytorialny obiecuje solidne dotacje, marzy im się dobre, renomowane wydawnictwo. Cały obszar koła podbiegunowego ze swoją wspaniałą literaturą czeka na nas z otwartymi ramionami.

Łyknął kawy, błyszczały mu oczy. Uśmiechnął się lekko, zdążył się już rozluźnić.

Zwariował, pomyślała Berit. Ugryzła się w język, nawet tego nie czując. Obszar koła podbiegunowego!

– A co z nami? – zapytał ktoś. Wstała Annie, włosy opadały jej na twarz. – Pomyślałeś, co będzie z nami?

Curt Lúding odłożył długopis na stół. Trącił go jeszcze palcem, długopis zaczął się toczyć, aż spadł z grzechotem na podłogę.

– Ująłbym to tak – odparł, nadal z uśmiechem na twarzy. – Każdą firmę trzeba od czasu do czasu podrasować, by osiągnąć optymalną efektywność. Tego rodzaju działania mogą być jednak bolesne, jestem tego świadom.

– Curt, to nie jest odpowiedź na moje pytanie! – stwierdziła ostrym tonem Annie. Na jej szyi pojawiły się czerwone wykwitry.

– Zgadzam się! – zawołała Berit. – Co będzie z nami?

– Ależ... mam nadzieję, że będziecie mi towarzyszyć. Wszyscy. Planuję uporać się z przeprowadzką do końca lata. A potem, w sierpniu, ruszylibyśmy pełną parą. Moi drodzy, zapewniam was, że Luleå jest niezwykle przyjemnym miastem.

– Odbiło mu, najzwyczajniej w świecie zwariował!

Berit i Annie siedziały w japońskiej restauracji na Upplandsgatan. Sushi smakowało tego dnia trochę inaczej, jakby nie było całkiem świeże. Jeśli tak, to najpóźniej pod wieczór dostaną rozstroju żołądka. Ale kto by się teraz tym przejmował?

– Koło podbiegunowe, jasna cholera! Kogo obchodzi koło podbiegunowe?!

– No nie – powiedziała Annie – to o wiele gorsze, niż można było się spodziewać. Bo na przenosiny do Bonniersa mogłabym się zgodzić. Ale przeprowadzić się na północ? Do pieprzonego lapońskiego piekła? Ten skurwiel knuł to na pewno już od dłuższego czasu. I nic nie powiedział, nie pisnął ani słówka.

– Coś mu się w głowie poprzesztawiało. Jasny gwint, przecież on przeszedł jakąś totalną przemianę osobowości. Że też Maud musiała go rzucić, ona nigdy by do tego nie dopuściła. Po jaką cholereę wzięła sobie tego unijnego fagasa?!

– Co zamierzasz zrobić, Berit? Przeprowadzisz się?

– Przecież nie jestem sama, w tym problem. Tor za nic nie opuściłby Sztokholmu.

– A jeśli dotyczyłoby to wyłącznie ciebie?

– Nie ruszę się stąd! Tu jest mój dom, tu się urodziłam, tu mam swoje korzenie.

– Do kurwy nędzy, przecież tam zima trwa przez cały rok. Podobno śnieg zaczyna padać na początku września i utrzymuje się aż do sobótki. To nie do zniesienia. I te ciemności! Nie mówiąc już o komarach!

– Założę się, że ten skurczybyk liczy na to, że się nie zdecydujemy na przeprowadzkę. Tam nie ma szans na utrzymanie tylu pracowników. Kilka osób może się przenieść, na przykład Jenny i Ann-Sofi. Chyba też pochodzi z północy, wydaje mi się, że łona też tak dziwnie godo.

– Ale jaki mamy wybór?

– Słuchaj, Annie, ty na pewno otrzymasz inne oferty pracy. Jesteś dobra, w branży wiedzą, że jesteś redaktorką tej jędry Karlberg – już samo to wystarczy!

– Fúj! Może dzięki temu uda mi się jej pozbyć. Choć tyle będzie z tego pożytku...

Dziwny był ten ostatni weekend. Gdzieś na dnie czał się w niej niepokój – niepokój, co też zamierzał im zakomunikować Curt Lúding. Udało jej się go przytłumić i zagłuszyć dzięki wizycie w Hässelby.

Justine miała rację, twierdząc, że Berit ciągnęło do domu byłej koleżanki. Chciała sprawdzić, czy coś się zmieniło, czy ta biedna dziewczyna jakoś ułożyła sobie życie. Dla Berit była to swoista pielgrzymka do Canossy. Choć bardzo obawiała się spotkania z Justine, gdzieś w głębi duszy miała nadzieję, że ujrzy ją na schodach domu, że zobaczy starszą o trzydzieści lat silną kobietę. Że Justine będzie stała tam w tych swoich kwiecistych, szerokich spodniach i że zaprosi ją do środka.

I tak się stało!

Berit wyparła z pamięci tamte zdarzenia, przez całe dorosłe życie spychała je gdzieś do najgłębszych zakamarków świadomości. Jednak

gdy zbliżała się do domu Justine, zalała ją tak bolesna fala wspomnień, że miała ochotę rzucić się na śnieg i krzyknąć: Wybacz mi, Justine, byliśmy wtedy tylko dziećmi, wybacz!

Siedziały potem w salonie na piętrze i rwały się grzańcem. Obserwowały, jak zmienia się kolor nieba – zrobiło się czerwone i roziskrzone, jakby po drugiej stronie jeziora coś płonęło. Był zimny, nastrojowy dzień. Być może opowiedziała zbyt dużo o sobie, może odsłoniła się bardziej, niż powinna. Nie była przyzwyczajona do tego rodzaju wynurzeń.

Justine. Znała ją właściwie od zawsze.

Żadna z nich nie wspomniała nawet słowem o zdarzeniach z dzieciństwa.

Ten wielki ptak tak ją przeraził, że zupełnie straciła głowę. Berit właściwie nie bała się ptaków, jej synowie trzymali w domu papugi, a ona je lubiła, mimo że tak strasznie brudziły. Ale ten olbrzym, który pojawił się znikąd... Zaskoczył ją, wczepił się w jej włosy, zaplątał się w nie pazurami...

– Spokojnie, spokojnie – upominała Justine. – Po prostu usiądź i nie ruszaj się.

Berit dostała lekkiej hysterii.

Justine musiała przytrzymać ją za ramiona i posadzić na krześle.

– Słuchaj, on się boi twojego krzyku i szamotaniny.

Powolutku uwolniła ostre, czarne pazury z jej włosów. Berit drżała z obrzydzenia, a gdy spojrzała na mocny dziób, wybuchnęła płaczem.

Berit Assarsson nie była osobą, która płacze z byle powodu.

– On jest po prostu ciekawy...

– Tak się przestraszyłam! Po co trzymasz coś takiego w domu?

Opanowała się po chwili, wyszła na balkon i zapaliła. Kiedy wróciła, ptak siedział na szczycie regału.

– Bawisz się w boginię Asa* czy co? To ma być Hugin czy Munin**?

– W boginię Asa? Aaa, już wiem. To przecież nie jest kruk.

– Wygląda podobnie.

– Kruki są o wiele większe.

Justine podgrzała trunek, dolała do jej kubka.

– Co z ubraniem, pobrudził je?

– Nic nie szkodzi – wyszeptwała.

Zupełnie się zbłąźniałam, ale mam to gdzieś, pomyślała.

Musiała zejść na dół, do łazienki, i usunąć najgorsze plamy. Justine napaliła w tym czasie w kominku.

– Powinnaś wyschnąć, zanim pójdziesz, zrobiło się zimno, jest silny mróz.

Pogładziła ją po policzku, pomogła jej usadowić się w fotelu, otuliła ją pledem i dolała więcej grzańca.

– Justine, na miłość boską, zaleję się w trupa!

– Eeee tam...

– A choćby nawet. *Shit the same****.

Siedziały tak dość długo, rozgrzało ją ciepło od kominka i pomyślała, że już dawno nie czuła się tak odprężona – i to mimo zapowiedzianego na sam początek tygodnia zebrania. Poczuła, że ogarnia ją senność i zateśniła za masażem stóp. W tym samym momencie Justine klęka na podłodze i ściąga jej skarpetki.

Jej ręce były szybkie i ciepłe, gładziły, uciskały i ugniatały; Justine, jesteś niesamowita, masz do tego talent, gdzie ty się tego nauczyłaś?

– Nie wiem, w zasadzie się nie uczyłam...

– Robisz to świetnie... Ooo, Jezus, jak cudownie...

* Asowie – w mitologii nordyckiej: jeden z dwóch rodów bogów, obok Wanów.

** Hugin i Munin – w mitologii nordyckiej: kruki towarzyszące najważniejszemu bogowi, Odynowi, przynoszące wieści ze świata.

*** Mam to gdzieś (ang.)

Ręce Justine powędrowały w górę łydki, masowały i rozciągały.

– Berit, dlaczego jesteś taka spięta, coś jest nie tak?

– Oj, nie, jest świetnie, robisz to bosko...

– Nie chodzi mi o to, jak się czujesz teraz, tylko w ogóle. O twoje życie.

Twarz Berit ściągnęła się, powstrzymywała płacz, pociągnęła nosem.

– Czasem wydaje mi się, że wszystko już się skończyło – powiedziała zachrypłym głosem. – Czy ty też miewasz takie momenty?

Ręce nadal gładziły i uciskały.

– Berit, masz tutaj takie zgrubienie, na samej poduszce stopy.

– Wiem. Wydaje mi się, że bez przerwy daję z siebie tak wiele, ale jakbym nigdy... nie dostawała nic w zamian. Chłopcy... właściwie są już dorośli, nie są już przecież dziećmi, tylko młodymi mężczyznami, są tacy przystojni, cholernie przystojni, widzę to, choć jestem ich matką. Niedawno byli w wojsku i przyjeżdżali na przepustki w mundurach. Gdy patrzę na nich, przy tych nielicznych okazjach, kiedy się spotykamy... jakoś nie mogę uwierzyć, że kiedyś nosiłam ich pod sercem, że rozwijali się we mnie, że rodziłam ich w bólach, że ssali moje piersi, że zmieniałam im pieluchy, że widziałam, jak dorastają... Nie umiemy już ze sobą rozmawiać, Justine. Może byłoby inaczej, gdybyśmy mieli choć trochę więcej czasu, gdybym została z nimi na bezludnej wyspie, na której nie byłoby innych, pociągających rzeczy, o wiele atrakcyjniejszych niż ich stara matka.

– A twój mąż?...

– Widzę, że... No... że od czasu, jak zostaliśmy znowu sami... Jest ciężko. Gdybyś miała dzieci i byłabyś mężatką, zrozumiałabyś, o co mi chodzi. Bo przez wiele, wiele lat wszystko się kręci tylko wokół dzieci, człowiek wychodzi ze skóry, żeby uchronić je przed niebezpieczeństwami i różnymi pokusami, całe twoje życie polega na byciu dobrym rodzicem, nie ma czasu dla partnera... nie ma siły... pracuje się całymi dniami... no i któregoś dnia tego wszystkiego już nie ma. Dzieciaki

wyfrunęły z gniazda, a mąż z żoną gapią się na siebie w zdumieniu i nie mają pojęcia, co ze sobą zrobić.

– Nie możecie pojechać gdzieś razem, zrobić czegoś fajnego?

– Podróżowaliśmy razem. Tor zafundował mi w zeszłym roku podróż dookoła świata.

– No i?...

– Nie wiem, to już nie ten sam chłopak, z którym się kiedyś zaręczyłam, który mnie poządał i chciał się pieprzyć kilka razy dziennie.

– No ale... czego ty właściwie oczekujesz?

– Na pewno nie tego poczucia wyobcowania. Jestem przerażona, robię w portki ze strachu.

Pótleżała na krześle, osunęła się niemal na podłogę. Bolały ją oczy od grzańca i od płaczu.

– Nie czujesz się nigdy wyalienowana, Justine, jesteś zadowolona ze swojego życia?

– Zaczynam być zadowolona.

– Zaczynasz... jak to... zaczynasz? Właściwie nie pisnęłaś ani słowa o sobie, tylko ja bez przerwy paplę i się wywnętrzam.

– Nie mam o czym opowiadać.

– Chyba każdy ma o czym opowiadać?

– Może i tak. Powiedz, gdzie pracujesz.

– W branży wydawniczej. Albo raczej: pracowałam. Mogę się założyć, że szef nas wyleje.

– Takie buty!

– No wiesz, ciężkie czasy. Człowiek już nie jest nic wart na rynku pracy, bo jest za stary.

– E tam!

– Justine, mam czterdzieści pięć lat, ty zresztą też. Jedyne rzecz, na której się znam, to redagowanie tekstów. Co ze sobą pocznę, jak stracę tę robotę?

– Nie mogłabyś założyć własnego wydawnictwa? Książki zawsze będą potrzebne.

– Nie wiesz, co mówisz, masz pojęcie, jakie to trudne?

– No a twój mąż?

– Myślisz, że chcę być na jego utrzymaniu? O nie, Justine. Nie ma nic ważniejszego od poczucia osobistej wolności. Na pewno rozumiesz, o co mi chodzi, może właśnie dlatego nie wyszłaś za mąż.

– Nie trzeba wychodzić za mąż, żeby nie czuć się wolnym.

– No tak, masz rację...

Ptaka zaskrzeczał z regału, po czym sfrunął niczym czarny całun. Wyłądował na podłodze i podreptał w kierunku Justine. Berit krzyknęła i podciągnęła stopy.

– Uwielbia dziobać paluchy moich dawnych koleżanek z klasy – zażartowała Justine.

Podrapała go po grzbiecie, nastroszył się i napęczniał.

– Przepraszam... ale czy one nie są trochę... odrażające?

– Gusta są różne.

– Zastępuje ci dziecko czy...

– W pewnym sensie... Jestem do niego bardzo przywiązana.

– Podobno ludzie lubią zwierzęta, bo te nigdy ich nie zawodzą.

Uważasz, że to prawda, zgadza się?

– Zależy, czego się od nich oczekuje.

– Pamiętam, jak kiedyś... nasi synowie... są prawie rówieśnikami. Nazywają się Jörgen i Jens. Był telefon z policji... Musieliśmy jechać po nich do kliniki Maria. Wypili tyle, że nie byli w stanie wrócić do domu. Zatrucie alkoholowe, od czegoś takiego można umrzeć. Jens zniósł to o wiele gorzej, był jeszcze taki mały, gdy przyjechałam, leżał w pozycji embrionalnej. Justine, chciało mi się wyc – moje maleństwo! Dlaczego nie można zatrzymać ich na zawsze?

11

Kupiła sobie samochód, volvo. Zupełnie nowy, nieużywany, a jednak niepozobawiony charakteru. Czerwony, elegancki, stał w oknie wystawowym salonu firmowego. Justine weszła do sklepu. Gdy otworzyła przednie drzwiczki, uderzył ją zapach nowości. Samochód był wygodny, ciepły, miał automatyczną skrzynię biegów. Mogłaby zapewne utargować lepszą cenę, ale nawet nie przyszło jej to do głowy.

Wybrała pieniądze i wróciła następnego dnia. Sprzedawca zapewniał:

– To fantastyczny wóz, ma niesamowity *power*. Nie będzie pani żałować.

– Wiem.

– Jest diabelnie szybki. Na autostradach w dawnych Niemczech Zachodnich nawet porszaki nie będą miały z panią szans.

– Nie wybieram się w tamte strony – odparła. – Ale dziękuję za informację.

Padał śnieg. Delikatne, lekkie płatki wirowały na wietrze, ograniczając widoczność. Zimowe opony leżały w bagażniku. Sprzedawca zaproponował, że je założy, ale wtedy mogłaby odebrać samochód dopiero następnego dnia.

– Może pani czuć się bezpiecznie z tymi, które są. To stabilne, całoroczne opony, produkowane z myślą o skandynawskim klimacie.

Na rondzie w Vällingby wpadła w poślizg, lecz opanowała go bez trudu.

Przyszło jej na myśl obce, zabawne określenie.

Rumak powietrzny. Dlaczegoż by nie?

Flora siedziała w fotelu przy oknie. Podparto ją poduszkami i przywiązano do oparcia taśmą.

Justine wbiegła po schodach. Na podłodze topiły się wniesione na jej butach grudki śniegu.

– Dobrze, że nie śpisz. Chcę cię zabrać na wycieczkę.

Usta starej kobiety drgnęły, pocięła z nich cienka strużka śliny.

Drzwi się otworzyły, weszła pielęgniarka, pchając przed sobą wózek z jakąś obcą kobietą. Długie, żylaste ręce staruszki skubały coś na kolanach.

Pielęgniarka zwróciła się do Flory:

– O, odwiedziny. Miło, że córka przyszła, prawda?

– Kupiłam nowy samochód – oznajmiła Justine.

Słychać było włączone radio, ktoś płakał na korytarzu.

– O samochodzie to ja mogę sobie tylko pomarzyć – odparła pielęgniarka.

– Dlaczego?

– Hm... Myśli pani, że stać mnie na samochód? Wie pani, ile zarabiają siostry w szpitalu?

– Niech pani weźmie moje stare auto. Jest całkiem w porządku – przynajmniej zazwyczaj. Jak coś nie gra, wystarczy psiknąć sprayem 5-56, wtedy chodzi jak zegarek. Nie jest mi już potrzebne. To opel rekord, może go pani potraktować jako długoletnią pożyczkę i używać, dopóki go pani nie zajeździ.

Pielęgniarka poczerwieniała na twarzy.

– Ależ nie, nie o to mi chodziło...

– Ja i tak nie będę z niego korzystała, wystarczy mi w zupełności jeden samochód. Stare auto stoi u mnie w domu, może pani po nie przyjechać. I tak mi tylko zawadza.

– Ale tak chyba nie można?

– W przeciwnym razie zawiozę wóz na złom.

- Ale on jest przecież na chodzie.
- Oczywiście.
- Chyba nie rozumiem... To po co kupiła pani nowy samochód?
- Bo człowiek ma tylko jedno życie. Trzeba korzystać z każdej okazji.

- No tak, można również spojrzeć na to w ten sposób.
- Chodzi też o to, jak człowiek postrzega samego siebie.
- Proszę?
- Eee, nic takiego.

Justine pokazała gestem Florę.

- Jak ona się czuje?
- Całkiem nieźle.
- Zamierzam ją zabrać na próbną przejażdżkę.
- Ale chyba nie ma odpowiedniej pogody.
- To raczej bez znaczenia.
- No tak... właściwie, dlaczego nie? Trzeba korzystać z każdej okazji. Tak pani mówiła?

- Właśnie.

– Chodzi tylko o to, że... Może ją pani sama ubrać? Brakuje nam personelu. Muszę się teraz zająć Märtą, to zresztą nowa współlokalka Flory.

Macocha była cieniutka jak laleczka wycięta z papieru, ręce i nogi bezwładne. Gdyby pomachać nimi parę razy w przód i w tył, wypadłyby z zawiasów.

Justine przeniosła ją na łóżko, Flora była lekka jak piórko. Założyła jej skarpetki, flanelowe spodnie, sweterek i kurtkę. Na stopy wciągnęła parę kraciastych kapci, głowę owinęła chustką.

Zawołała pielęgniarkę.

- Czy to wystarczy?
- Oczywiście. Ale łatwiej ubierać ich na siedząco.

Justine wzięła macochę w objęcia. Czuła przez ubranie, że wychudzone ciało drży. Poczowała niesmak w ustach.

- Niech ją pani posadzi na wózku! – poradziła pielęgniarka.
- Dam sobie radę. Nie waży więcej niż list z podwójnym znaczkami.
- Z wózkiem byłoby łatwiej.

Pielęgniarka pociągnęła leciutko za węzeł chustki Flory.

– Flora – roześmiała się – wyglądasz jak prawdziwa wielkanocna czarownica*.

Zawiozła ją do windy na wózku.

Razem z nimi wsiadły dwie kobiety w białych ubraniach.

– O, wybiera się pani na spacer, miło będzie wyjść na chwilę, prawda?

– Ona nie może mówić – wyjaśniła Justine.

Z krtani Flory wydobyły się jakieś gardłowe dźwięki.

Kobiety zaczęły już rozmawiać o czymś innym. Wychodząc z windy, jedna z nich pomogła wyprowadzić wózek.

Justine postawiła go przy wejściu i poszła po samochód, po czym podjechała pod same szklane drzwi. Podłożyła ręce pod ciało Flory, przeniosła ją na fotel i zapięła pas bezpieczeństwa. Oczy Flory były niespokojne, rozbiegane, chustka zjechała na czoło.

– Dawno już nie wychodziłaś, prawda? Wychodziłaś w ogóle, odkąd?...

Dodała gazu i od razu wpadła w poślizg.

– O cholercia, to może być ryzykowne. Dokąd chciałybyś pojechać? Chyba nie do domu, przecież spędziłaś tam tyle czasu. Nie, zrobimy sobie przejażdżkę po autostradzie. Muszę sprawdzić osiągi mojego nowego auta.

* W Szwecji istnieje wielkanocna tradycja przebierania się za czarownice – przebrane dzieci odwiedzają domy w sąsiedztwie i składają życzenia; gospodarze rewanżują się upominkami, zwykle słodyczkami i drobnymi datkami.

Na zakręcie prowadzącym do E 18, zaraz za Ikeą, wpadła w tak mocny poślizg, że samochód się obrócił i stanął pod prąd. Od strony Flory dobiegło ją zdyszane, urywane sapanie. Ręce staruszki spoczywały na kolanach jak zwiędnięte liście. Justine dotknęła ich, były lodowato zimne. Nacisnęła kilka przełączników, uruchomiła ogrzewanie. Potem zawróciła i skręciła na autostradę.

Włączyła radio, ten sam kanał co w szpitalu – Megapol. Rozpoznała melodię, coś, co skojarzyło jej się z Nathanem i przeszło ją bólem w okolicy przepony. Podkręciła dźwięk, czuła teraz jego obecność, siedział z tyłu, pochylał się w jej stronę, chwycił od tyłu dłońmi jej pierś. I było tak, jak przed wejściem do samolotu, gdy był dla niej jeszcze dobry i miły.

Nie, przecież jest z Florą... Wcisnęła się na lewy pas i wrzasnęła, jakby musiała przekrzykiwać silnik. Jakby osłabiały ją śnieg i wiatr.

– Jadę nim tak naprawdę pierwszy raz. Chciałam, żebyś mi towarzyszyła.

Docisnąć jeszcze pedał gazu, te opieszale małe autka, była teraz na Autobahnii, dlaczegoż by nie? Użyła klaksonu, lecz samochody nie ustępowały z drogi. Zjechała gwałtownie na prawo, wyprzedziła je po drugiej stronie. Docisnęła pedał jeszcze mocniej, poczuła, że samochód przejmuję kontrolę.

– Mój powietrzny rumak! – zawołała.

Sprzedawca wyjaśnił jej, że samochód ma turbodoładowanie. Przybrał specyficzny ton głosu, zarezerwowany specjalnie dla kobiet. Zauważyła, że jest żonaty, wyobraziła sobie, jak tarza się z żoną po małżeńskim łóżu i wtyka jej swoje turbo.

– Ale *power!* – powiedział, podnosząc maskę. Wszystko w środku było nowiuteńkie i czyste. Pogłaskał silnik gładkimi różowymi dłońmi.

Gdy przekazywał jej kluczyki, chwycił ją za przegub ręki i przytrzymał.

– Dam pani swoją wizytówkę – oznajmił. – Jeśli tylko będzie pani czegoś potrzebowała, proszę dzwonić.

Stara kobieta na siedzeniu obok miała spuszczoną głowę, jakby spała. Z jej porów wydobywała się słaba woń, mieszająca się z samochodowym zapachem nowości.

– Jak myślisz, jaką możemy osiągnąć prędkość?! – krzyknęła Justine.

Wskazówka prędkościomierza skakała zygzakiem w okolicach stu osiemdziesięciu kilometrów. Było przedpołudnie, spory ruch. Oznakowanie zjazdów z autostrady, nasypy. Jechała nadal lewym pasem, przed nią było pusto. Ale za to z tyłu... Policja? Nie, biały mercedes, a w nim samotny kierowca. Uczepił się jej, siedział na ogonie. Dodała jeszcze gazu, widziała w lusterku wstecznym jego otwarte usta.

Nie odpuszczał. Przesunął się w prawo, szykując się do wyprzedzania. Nic z tego. Byle kto nie wyprzedzi powietrznego rumaka.

Przyspieszyła, pogroził jej palcem. Potem zobaczyła, jak zarzuciło jego samochodem i jak zjechał z drogi, prosto w siatkę chroniącą przed zwierzyną.

Rozluźniła uścisk na kierownicy.

Zjechała na prawy pas i została na nim aż do Enköping. Tam skręciła na stację benzynową OK i zaparkowała. Usłyszała za sobą jasny śmiech Nathana: skarbie, zachowujesz się jak prawdziwa amazonka.

Dla ciebie mogłabym sobie odciąć pierś, wiesz?

Podniosła Florze głowę i otarła rękawem jej policzek. Płytkie oczodoły zalane powodzią łez.

– Nie ma się czego bać – powiedziała zachrypniętym głosem – to tylko opór wiatru.

Gdy zwolniła uchwyt, głowa opadła z powrotem na kurtkę.

– Kupić ci coś? Kawę albo coś innego? Jesteśmy przecież na wycieczce. Zastanów się, Flora. Ja skoczę tymczasem do toalety.

Kiedy tylko weszła do budynku, ugięły się pod nią nogi.

Nie! Nathan nigdy tego nie zobaczy!

Znalazła toaletę, weszła i zamknęła się na klucz. Ktoś pobazgrał ściany wyrazami przepełnionymi agresją.

Zażyła tabletkę od bólu głowy, popiła wodą z kranu. Stała chwilę przy umywalce, próbując ochłonać.

Zobaczyła w lustrze swoje oczy; twarz sztywna i napięta. Była podobna do siebie, ale nie do końca.

– *You bastard!** – powiedziała i zobaczyła, że kobieta w lustrze zaczyna się śmiać.

12

Berit naląła wody do wanny i wzięła długą, ciepłą kąpiel. Wydawało jej się, że marznie od środka. Leżała w wannie i miała wrażenie, że nawet najmniejsze kosteczki jej ciała są całkowicie zlodowaciałe.

Zjedli razem z Torem obiad, gotową pizzę ze sklepu. Berit nie była głodna, skubnęła tylko kawałek ze środka. Tor spojrzał wymownie na jej talerz, gdy sprzątała ze stołu, ale powstrzymał się od komentarza.

– Może powinniśmy sprawić sobie psa, nie uważasz? – zapytała.

Wzruszył tylko ramionami.

Potem zaszył się w pokoiku na piętrze, który nazywał gabinetem. Kiedyś bawili się tam chłopcy. Od ściany do ściany biegł tor samochodowy, a oni siedzieli z kolegami i budowali z lego. Złożyli z nich całe miasto. Teraz wszystko było popakowane w kartony i upchnięte gdzieś w piwnicy albo w garażu, nawet już nie pamiętała gdzie. Może te rzeczy jeszcze kiedyś się przydadzą, gdy będą mieć wnuki.

* Niezła z ciebie suka! (ang.).

Tor przerobił pokój na swoją modłę, a ona nie miała nic przeciwko temu. Zawsze musiał pogrzebać w jakichś papierach albo podzwonić. Pojechali do Ikei, kupili biurko Kavaljer, obrotowy fotel Kristofer i stolik pod komputer Jerker. Spędzili święta wielkanocne, malując ściany na biało i mocując na suficie płyty gipsowe. Berit dostała resztkę materiału, która wystarczyła w sam raz na zasłonkę. Małe domowe biuro było gotowe.

Tor zaszywał się tam zawsze po obiedzie, wymigując się w ten sposób od rozmów. Po tylu spędzonych razem latach wiedziała, że nie potrafił stawić czoła żadnym problemom. Wszystko musiało iść jak po maśle, bo w przeciwnym razie od razu się krzywił i oświadczał, że ma atak migreny.

Matka Berit twierdziła, że dostrzegła u niego tę cechę, zanim jeszcze dobrze go poznała.

– Nie chcę ci, dziecko, psuć humoru, powinnaś się jednak przygotować na to, że to ty będziesz mocną stroną w tym małżeństwie.

– Ależ, mammo... jak możesz tak mówić?

– Matka wyczuwa takie rzeczy – odpowiadała nieco zagadkowo.

Matka wyczuwa takie rzeczy... Berit też była matką, ale czy zdołała dostrzec, jaki jest układ sił w związkach jej synów? Kto był w nich słabszą stroną?

Okazało się, że matka Berit miała sporo racji. Na przykład, gdy rodzila chłopców... Tor pojechał z nią wprawdzie do szpitala, ale nie był w stanie tam zostać i czekać. Jego błony śluzowe nie wytrzymały naporu szpitalnych woni, od których pobladł i dostał mdłości. Musiała przecierpieć samotnie długie, wyczerpujące godziny, a kiedy było już po wszystkim, położne nawet nie zastały go w domu.

Opowiadał jej potem, jak błąkał się całą noc po mieście, myśląc o niej, przywołując intensywnie obraz Berit, by w ten sposób dodać jej sił, przecież musiała to czuć?

A później, gdy synowie przechodzili odrę czy inne choroby wieku dziecięcego; Jörgenowi dokuczały nawracające infekcje uszu – kto

przyjmował wówczas najcięższe ciosy? Wprawdzie Berit była kilka lat na urlopie wychowawczym, ale mimo wszystko potrzebowała wsparcia. Nic z tego, wręcz przeciwnie. Tor bał się panicznie chorób i najchętniej przenosiłby się w takich sytuacjach do hotelu. Powstrzymywał się tylko dlatego, że źle by to wyglądało.

– Ot, i mężczyźni, którzy zajmują się rachunkami – zwykła mawiać ze szczególnym wyrazem twarzy jej mama.

Ojciec Berit uprawiał ogórki.

Wyszła z wanny i starannie się wytarła. Była dziewiąta. Równie dobrze mogła włożyć piżamę i pójść spać. Zrobiło jej się ciepłej, więc będzie najlepiej, jeśli od razu wskoczy pod kołdrę, zanim chłód powróci.

– Tor, kładę się już do łóżka! – zawołała. – Pewnie jeszcze posiedzisz?

– Wieczór dopiero się zaczął!

Stanął w drzwiach, speszona Berit owinęła się ręcznikiem kąpielowym.

– Źle się czujesz?

– Ani trochę – syknęła. – Jestem tylko zmęczona. Miałam zupełnie popieprzony dzień.

Wtedy zaskoczył ją, podszedł do niej i powoli, delikatnie ściągnął z niej ręcznik. Popatrzył na nią, zdjął okulary.

– O co ci chodzi? – rzuciła zaczepnie.

– Zmieniłem zdanie, też się chyba położył.

Zamierza teraz się z nią kochać? Nie miała na to siły. Uderzyła ją myśl, że nie pamięta, kiedy ostatnio uprawiali seks.

Czekała w łóżku, leżąc na plecach, a on chodził po domu i gasił światła. Usłyszała, że uruchomił zmywarę, no tak, była wypełniona po brzegi. Berit miała na sobie trykotową piżamę i grube, szare skarpety. Gdy Tor wszedł do sypialni, zamknęła oczy, udając, że śpi.

Położył się najpierw na swojej połowie, lecz po chwili odchylił kołdrę i przeniósł się do niej.

- Tor... ja nie chcę.
- Nie o to chodzi – odparł.

Sprawiał wrażenie urażonego, będzie musiała się trochę poprzyimi-
lać, żeby go udobruchać.

- Przepraszam – wyszeptała i odwróciła się do niego.

Po chwili zapytała:

- Mógłbyś sobie wyobrazić, że przeprowadzamy się do Luleå?

Zaśmiał się sucho.

- Mówię poważnie. Mógłbyś?

- Dlaczego akurat do Luleå? Nie, za żadne skarby.

– To przeprowadzę się sama. O ile nie dostanę wymówienia. Curt przynosi tam całe wydawnictwo.

Jego ręka wynurzyła się spod pościeli, wędrowała po omacku po ścianie, aż znalazła przełącznik lampki. Usiadł i wpatrywał się w nią, choć nie mógł widzieć wyraźnie, bo zostawił okulary na komodzie.

– Do Luleå? – upewnił się, a ona w tej chwili poczuła do niego tak głęboką niechęć, że musiała się pohamować, by nie zacząć krzyczeć.

– Tak, do Luleå! Dostanie masę cholernych dotacji, ma tam swoje pieprzone korzenie. W tym lapońskim piekle.

- Berit...

- Do kurwy nędzy, to prawda!

- Od kiedy o tym wiesz?

– Powiedział nam w poniedziałek. A ciebie nie było w domu. Nie miałam okazji powiedzieć ci wcześniej.

- Dostaniecie wszyscy wymówienie?

– Ależ skąd! To jest właśnie tak sprytnie wykalkulowane. Wie, że większość nas nie będzie chciała się przenieść. Nikt nie pojedzie tam przecież dobrowolnie.

- Czy to znaczy, że was nie potrzebuje?

– Potrzebuje! Akurat! Na pewno spróbuje ograniczyć działalność. Poza tym na miejscu będzie wystarczająco dużo chętnych, których będzie mógł zatrudnić, gdyby planował rozbudować wydawnictwo.

– Berit, musicie iść z tym do związków zawodowych. On nie może tego zrobić, nie stosując się do obowiązujących procedur, takie rzeczy są regulowane przepisami.

Prychnęła i opuszczała stopy na podłogę.

– Związki! Myślisz, że ktoś z nas należy do związków? W tej branży nie ma takich tradycji!

Tor zaproponował:

– Zejdźmy porozmawiać na dół. Strzelimy sobie po koniaku.

Napalił w kominku i owinął ją kocem, po czym podał jej kieliszek z koniakiem.

– Kurczę blade! – rzucił po chwili. – Lule! –

– Tor, pójdę na bezrobocie. W wieku czterdziestu pięciu lat, prawie czterdziestu sześciu.

– Zostaniesz znowu w domu.

– Nigdy w życiu!

– Przynajmniej nie będziemy musieli jeść kupnej pizzy...

– A co, coś było nie tak z pizzą?

– Nie powinnaś pytać o to mnie.

– Ja po prostu nie byłam głodna – odparła i pociągnęła łyk trunku.

– Chyba rozumiesz dlaczego.

– Berit – powiedział łagodnie. – Nie możesz tak od razu dać za wygraną. Jesteś jeszcze młoda. Musisz zacząć rozglądać się za nowym zajęciem. Zobaczysz, wszystko się ułoży.

– Wiesz, jak wysokie jest bezrobocie w tym kraju? Czy ty w ogóle nadążasz? Właśnie dzisiaj czytałam o dwudziestopięcioletnim chłopaku, który jest bezrobotny, odkąd ukończył politechnikę. Wykształcony, wykwalifikowany facet, który złożył ilś tam podań i ma całą teczkę peł-

ną odmownych odpowiedzi. Ponad czterdzieści odrzuconych CV z różnych miejsc pracy, a szukał po całym kraju, wyobraź sobie, że nawet w Luleå!

– Berit, robisz z igły widły, poczekaj, dopóki nie przekonasz się, że jest aż tak źle, jak się obawiasz.

Opróżnili kieliszki i wrócili do sypialni. Nie było nic więcej do powiedzenia.

Położył się na swojej stronie, pogładził ją przelotnie po policzku.

– Jest jeszcze jedna rzecz – wyszeptała. – Coś, co kompletnie mnie dobiło.

Chrząknął niewyraźnie, zdążył już ułożyć się do spania.

– Wiesz, jak byłam w sobotę w Hässelby, gdy tak późno wróciłam... Ta koleżanka z klasy, o której ci opowiadałam... Ta z francuskim imieniem...

Dlaczego w ogóle do tego doszło? Co było z nią nie tak? Co sprawiło, że została ofiarą?

I dlaczego ja taka byłam, skąd to okrucieństwo?

Dzieci chcą mieć poczucie, że są takie same, że są równe. A ona była inna, nie miała prawdziwej matki. Jej mama zmarła w tajemniczych okolicznościach w tamtym domu, kiedy Justine była malutka. Potem jej ojciec ożenił się z sekretarką, na pewno krążyły różne plotki, a my musieliśmy usłyszeć to wszystko od dorosłych, którzy spotykali się na kawie. To było w pierwszej klasie, chodziliśmy wtedy jeszcze do starej szkoły... Justine siedziała koło mnie, ja wołałam siedzieć obok Jill, zrobiło się jednak jakieś zamieszanie i wychowawczynie kazała nam zostać na swoich miejscach. Justine była brzydka i koścista jak ryba. Chociaż wtedy chyba wszystkie wyglądałyśmy podobnie?... Uczepiła się mnie, może myślała, że zostaniemy najlepszymi przyjaciółkami tylko dlatego, że przypadkiem siedziałyśmy w sąsiednich ławkach. Od razu dałam jej do zrozumienia, że nic z tego, ale ona była jakaś ociężała umysłowo, nie

załapała. Każdy dzieciak by pojął, ale nie ona. Na przerwach łąziła za mną i Jill; co będziemy robić, mogę pobawić się z wami? Musiałyśmy jej przyłożyć, żeby się odczepiła. Przynosiła do szkoły pieniądze, jej ojciec miał forsę jak lodu. Podczas przerwy śniadaniowej wymykała się do sklepu i kupowała słodycze, całe góry słodyczy. Chowiała je w różnych miejscach, a my myszkowaliśmy po całym budynku, szukając ich, pamiętam, że strasznie mnie to wkurzało. Pani Messer ją nakryła, był zakaz opuszczania szkoły, nie wolno było też przynosić słodyczy. Justine musiała chyba zostawać po lekcjach. Wydaje mi się, że to babsko nie odważyło się jej sprawić lania, tylko kazało za karę siedzieć w klasie, by najadła się wstydu.

Justine doprowadziła nas w końcu do szału, wyłącznie z własnej winy, bo przecież byliśmy tylko dziećmi, nie rozumieliśmy...

Próbowała mnie kupić. A ten, kto musi kupować, zawsze jest na straconej pozycji.

- Berit, chodź do mnie po lekcjach, mam cały karton pastylek Sandy.
- A Jill?
- No dobrze, Jill też.

To był tamten dom, położony nad jeziorem. Mieli własny pomost i dużą, piękną łódź. Jej ojciec był właścicielem całego koncernu Sandy.

- Flory nie ma w domu – oznajmiła.
- A Flora... to twoja mama?

Wzruszyła ramionami.

- Twoja mama nie żyje, prawda?
- Tak.
- Leży na cmentarzu?
- Tak.
- Była z zagranicy, co?
- Pochodziła z Francji. Jak dorosnę, przeprowadzę się tam.
- Twoja mama chyba nie umiała mówić po szwedzku?
- Umiała.

– A ty umiesz po francusku?

– Tata mnie nauczy. Jak będzie miał więcej czasu. Bo teraz jest bardzo zajęty swoimi fabrykami.

Gdy zbliżyliśmy się do domu, kazała nam się skradać.

– Na wszelki wypadek, może Flora jeszcze nie pojechała.

Rzeczywiście, Flora była w domu. Ukryliśmy się za dużym kamieniem i patrzyliśmy, jak schodzi po schodach. Nie przypominała naszych mam. Kiedy ją zobaczyłam, uświadomiłam sobie, że moja mama jest stara. Ona była prawie tak szczupła jak my. Wymalowana niczym gwiazda filmowa. Ledwo utrzymywała równowagę na tych swoich wysokich obcasach, które grzęzły w żwirze. Przy drodze czekał na nią samochód. Widzieliśmy, jak wsiadała do środka, jak szofer przytrzymał jej drzwi.

Nie zauważyła nas.

– Jedzie na zakupy – poinformowała Justine. – Uwielbia buszować po sklepach.

Miała klucz na wstążce na szyi. Musiała stanąć na palcach, żeby otworzyć. To skradanie się do jej domu było okropne, jakby robiło się coś zakazanego. Jakby nawet ona sama robiła coś zabronionego.

Jej pokój był na piętrze, przypominał mój. Łóżko, biurko, książki. Kilka lalek i maskotek. Uklękała na kolanach i wyciągnęła spod łóżka pudełko.

– Ta-dam! – zawołała, zrywając pokrywkę. Takim gestem, jakby czarowała.

Cały karton był wypełniony pudełeczkami z pastylkami.

– Bierzcie – zachęciła nas.

Wzięliśmy po cztery pudełeczka, nie uniosłybyśmy więcej.

– To co, idziemy? – ponaglała mnie Jill.

Justine zerwała się i stanęła w drzwiach.

– Chcecie zobaczyć, gdzie umarła moja mama?

Popatrzyliśmy po sobie.

– Tak – odparłam.

– No to chodźcie!

Pokazała nam duże okno na piętrze.

– Tu upadła i tu umarła.

– Ale dlaczego?

– Coś popsulo się jej w mózgu.

– Czy twoja mama była wariatką? – zapytała Jill, chichocząc.

– Nie...

– Ty jesteś wariatką, może masz to po niej – rzuciła Jill.

– Wcale nie jestem!

Wpatrywałam się w połyskującą brązową podłogę, próbując sobie wyobrazić, jak kobieta, która była prawdziwą matką Justine, leżała tam, wydając z siebie ostatnie tchnienie.

– Płakałaś? – drażyłam.

– Jak to płakałam?

– Gdy twoja mama leżała tu i umierała.

– Pewnie, że płakałam.

Zbiegła przed nami po schodach.

– Chcecie jeszcze coś zobaczyć?

– Nie.

– Dlaczego? Chodźcie, pokażę wam jeszcze coś.

– Co takiego?

– W piwnicy.

– Co jest akurat w piwnicy?

Otworzyła już drzwi i zaczęła schodzić po schodach.

Jill spojrzała na mnie.

– Dobra, chodźmy.

Nie było tam nic szczególnego. Duży piec olejowy, sznurki z suszącą się pościelą. Pod oknem magiel i stos kamieni, na których stały puste doniczki.

– To co nam chciałaś pokazać? – zapytałam.

Miała tajemniczy wyraz twarzy. Poluzowała jej się spinka, wisiała na kilku włoskach. Justine otworzyła drzwi do mniejszego pomieszczenia.

– To tutaj! – Pokazała palcem.

Stał tam kocioł, taki do gotowania bielizny. Nic więcej.

– No i co z tego? Moi dziadkowie też mają taki.

– Flora czasami mnie do niego wsadza.

– Co takiego?

– Jak jest na mnie zła.

– Wsadza cię do kotła?

– Tak.

– A po co to robi?

– Nalewa wody i mówi, że wygotuje ze mnie całą moją hardość.

Ciarki przeszły mi po plecach, ale nie czułam ani strachu, ani współczucia. Raczej coś w rodzaju satysfakcji.

Dużo o tym myślałam przez ostatnie dni. Dzieci są pozbawione zdolności do empatii. Ale czy wszystkie? Może to ze mną było coś nie tak... Albo z moim domem? Miałam przecież fajnych, miłych rodziców, którzy traktowali mnie dobrze. Może za bardzo mnie rozpieszczali, bo gdy się urodziłam, nie byli już najmłodszy. Byłam jedynaczką, nie miałam rodzeństwa, które by mnie utemperowało. To oczywiście, że takie dzieci bywają trochę rozpuszczone.

Ale czy dzieci nie mają prawa dobierać sobie towarzystwa? Justine mogła przecież uczeplić się kogoś innego, a nie akurat mnie i Jill. Nosiła w tornistrze pudełeczka z pastylkami, kazała nam wybierać pomiędzy miętowymi a miodowymi. Jeśli nie umiałyśmy się zdecydować, mogłyśmy wziąć oba rodzaje. Ohyda! Chciałyśmy się jej po prostu pozbyć.

To chyba ja zaproponowałam, żebyśmy poszły na cmentarz. Jeśli nie szło się na skróty bocznymi uliczkami, było dość daleko, należało przejść całą Sandviksvägen.

Przykleiła się do nas, nie odstępowała na krok. Ignorowałyśmy ją z Jill, ale ja wiedziałam, że ona nie odpuści, tak naprawdę liczyłam na to.

Musiał to być wrzesień lub październik, bo liście były jeszcze zielone, ale w powietrzu wyczuwało się już chłód. Miałyśmy na sobie kurtki i spodnie, no i tornistry, które ciągałyśmy ze sobą wszędzie. Nadal byliśmy z nich dumne, cieszyłyśmy się, że chodzimy do szkoły.

Cukierków wystarczyło na całą drogę.

- Co będziemy robić?
- Odwiedzimy twoją mamę.

Z pewnym trudem otworzyłyśmy ciężką żeliwną bramę, lecz nie umiałyśmy jej zamknąć, więc pozostała otwarta. Justine wiedziała dokładnie, gdzie jest grób, poprowadziła nas kawałek prosto, a potem w prawo. Nagrobek był wysoki i biały, nie pamiętam, co było na nim napisane.

– Ciekawe, jak ona teraz wygląda? – zastanawiałam się. – Zostały z niej pewnie tylko same kości. I mnóstwo włosów. Podobno zmarłym w trumnach rosną włosy. Włosy i paznokcie.

Oglądałyśmy przez chwilę nasze dłonie pod słońce i wydawało nam się, że dostrzegamy zarysy kości. Jill krzyknęła tak głośno, że aż podskoczyłyśmy. Bywała czasem narwana.

– Nie chcę być żadnym szkieletem! – wrzasnęła. – Nie chcę, żeby mi rosły paznokcie!

– Nikt tego nie chce – zauważyłam.

Justine dodała:

– Trzeba mieć w środku szkielet, bo inaczej wszystko by się rozpadło.

Poszłyśmy w stronę białego budynku, który stał kawałek dalej. Jakiś starszy mężczyzna grabił za nim ścieżkę.

– To jest dom umarłych – oznajmiłam. – Tam w środku leżą zwłoki. Ci, co mają być pochowani, leżą tam i czekają na swoją kolej.

Staruszek przestał grabić i zawołał coś do nas. Udawałyśmy, że nie słyszymy, schowałyśmy się za żywopłotem. Siedziałyśmy i obserwowałyśmy, jak nas wypatruje. Po dłuższej chwili odstawił grabie i poszedł. Zniknął za bramą, zamykając ją porządnie za sobą. Zostałyśmy na cmentarzu same.

Koło kaplicy stała beczka, taka do zbierania deszczówki. Było w niej sporo wody, zajrzałam do środka, brzegi były śliskie od alg.

– Pobawimy się w rybki – zaproponowałam, bo widziałam po minie Jill, że zaraz będzie chciała iść do domu.

– Jak to w rybki? – zdziwiła się Justine.

– W akwarium – odparłam. – Niech ta beczka będzie naszym akwarium.

– Tutaj chyba nie wolno się bawić – powiedziała Jill.

– Ten dziadek już sobie poszedł.

Było zupełnie cicho, wiatr poruszał liśćmi, ale nie było słyhać ptaków. Pewnie zdążyły już odlecieć do ciepłych krajów. Pamiętam to wszystko bardzo wyraźnie. To dziwne, miałam wtedy tylko siedem lat.

– Justine będzie rybką – oznajmiłam. Widziałam, że miała ochotę zaprotestować, zaraz jednak skuliła się, jakby musiała znaleźć w sobie odwagę, by się zgodzić.

– Czy muszę się rozebrać? – zapytała.

– Jak myślisz, Jill, powinna się rozebrać?

Jill zacisnęła zęby i przytaknęła. Potem zachichotała, miewała czasem takie niespodziewane ataki śmiechu. Ja też zachichotałam. Kazałyśmy Justine się rozebrać, a ona nas posłuchała. Mogła tego nie robić, każdy ma przecież wolną wolę. Może mimo wszystko ta zabawa jej się podobała? Może lubiła też, jak Flora wsadzała ją do kotła? No bo chyba nie opowiadałaby nam o tym z taką dumą?

Kiedy ściągnęła majtki, zauważyłam na nich plamy moczu. Dostała gęziej skórki. Nie umiała sama wejść do beczki, więc musiałyśmy jej pomóc. Gdy zsunęła się w dół, rozległ się plusk. Krzyknęła, woda była zimna.

– No to jesteś naszą rybką – stwierdziłam.

Zaczęła pluskać rękami, jakby bawiła się w pływanie.

– Musimy cię nakarmić. A co jedzą rybki?

– Chyba jedzą... robaki.

Zareagowała gwałtownie, wyprostowała się jak struna, oczy miała szeroko rozwarte.

– Żadnych robaków, obiecacie! Nie jestem rybą tego rodzaju, jem tylko liście.

– Zamknij się! – upomniałam ją. – Ryby nie umieją mówić.

Zerwałyśmy trochę listków z krzewów i wrzuciłyśmy do beczki. Uspokoili się. Miała mokre włosy i zaczęła szcząkać zębami.

Nie mam pojęcia, dlaczego tak się wtedy zachowywałam, nie wiem, co we mnie wstąpiło. Byłam tylko dzieckiem, miałam siedem lat. Kiedy zobaczyłam wiszący na ścianie wąż, rozwinęłam kawałek i odkręciłam kran.

– Dolejemy jeszcze trochę wody do akwarium – zakomunikowałam, a Justine zaczęła się rzucać i protestować.

Zastanawiałam się nad tym później. Wtedy rzeczywiście chciałam, by woda sięgnęła jej do podbródka, a nawet do samych ust i nosa. Byłam świadoma, że mogłaby się utopić, ale zachowywałam się, jakby mnie to wcale nie obchodziło. Albo jakbym po prostu uznała, że ciekawie będzie zobaczyć, jak coś takiego wygląda. Gdy ktoś się topi. Przełożyłam wąż przez brzeg beczki i zaczęłam lać wodę.

Z początku szamotała się i krzyczała trochę, potem ucichła i znieruchomiała. Nie mogłam powstrzymać się od lania wody na jej głowę. Spływała po twarzy do kącików ust Justine. Dopiero później uświadomiłam sobie, że musiała być bardzo zimna. Sięgała jej teraz do podbródka.

W końcu Jill powiedziała:

– Zakręć już ten kran!

Jednak do mnie nic nie docierało.

Powtórzyła jeszcze raz:

– Berit, zakręć wreszcie ten kran!

Ponieważ nie zareagowałam, zrobiła to sama. Justine dygotała z zimna.

Odeszłam kawałek, zastanawiając się, co dalej. Podniosłam kij, który leżał na ziemi.

Trzymałam go nad beczką.

– Patrzcie, łowią ryby!

Jill pobiegła gdzieś i też przyniosła sobie kij.

– Ciekawe, czy ryby będą brały! – krzyknęłam. – Zobaczymy, komu uda się złowić rybę!

Myślałam chyba, że Justine chwyci za kije, że ją wyciągniemy i pozwolimy jej się ubrać. Nie próbowała jednak się wydostać. Stała w tej beczce i stroiła fochy. Uderzyłam ją prosto w ucho. Jill spojrzała na mnie, po czym zrobiła to samo.

Gdyby Justine chociaż płakała...

Pamiętam, że potem usłyszaliśmy chrzęst kroków na żwirze, rzuciliśmy kije i uciekłyśmy. Boże kochany, zmykałyśmy, aż się kurzyło, najpierw z górki, tam gdzie dziś jest gaj pamięci, potem przez bramę i w prawo, do lasu. Rzuciliśmy się na mech. Nie przypominam sobie, żebyśmy się w ogóle zastanawiały, co stało się z Justine, czy zrobiłyśmy jej krzywdę. Martwiłyśmy się tylko tym, że może na nas naskarżyć i że będziemy przez to mieć kłopoty.

Berit nie mogła zasnąć. Zegar z podświetlanym cyferblatem pokazywał, że jest wpół do pierwszej. Tor leżał zwrócony twarzą w jej stronę, chrapał donośnie. Wstała z łóżka. W szafce w łazience powinno być coś na uspokojenie. Gdy przechodziła kiedyś załamanie nerwowe, dostała sobril, lecz nigdy nawet nie otworzyła opakowania. O, jest. Może lekarstwo było już przeterminowane, nie widziała daty bez okularów.

Włożyła kilka małych białych tabletek do ust i popiła wodą z kubka do mycia zębów.

13

Mieszkanie Hansa Petera mieściło się na Fyrspannsgatan. Z okien rozciągał się widok na okoliczny cmentarz. We Wszystkich Świętych Hans Peter zapalał zwykle dwie świece i przystawał na chwilę przed oknem salonu. W oddali świeciły swym przytłumionym blaskiem znicze. Tylko w ten jeden dzień w roku parking przed cmentarzem był przepełniony, samochody stały nawet wzdłuż Sandviksvägen.

W listopadzie, kiedy mrok przykrywał miasto niczym wielki kaptur, myślał często o swojej siostrze. Miałaby teraz trzydzieści osiem lat, byłaby zapewne zażywną, radosną matką dwojga dzieci, może przedszkolanką albo właścicielką sklepu ze zdrową żywnością. Tak ją sobie wyobrażał. Mogłaby mieszkać z mężem w willi w Stuvsta, w pobliżu rodziców. Ich matka nie posiadałaby się z radości.

Obudziło go tego ranka światło oraz hałas pługu śnieżnego, który jeździł tam i z powrotem, oczyszczając chodniki. Hans Peter czuł ciśnienie ucisk w skroniach, prawie ból. Gdy wrócił nad ranem, nie mógł zasnąć, leżał pogrążony w letargu, śniło mu się coś dziwnego, niezdrowego. Która była teraz godzina? Wpół do jedenastej. Równie dobrze może się ubrać.

Śnieg otulał cmentarz niczym gruba warstwa bitej śmietany. Hans Peter zaparzył kawę, przygotował kilka kromek chrupkiego chleba z szynką i pomidorem, który przyprawił solą i czarnym pieprzem. Usiadł przy stole i zaczął przeglądać „Dagens Nyheter”.

W gazecie było sporo informacji o kobiecie z Teksasu, która miała najbliższej nocy zostać stracona przez wstrzyknięcie trucizny. Nazywała

się Karla Faye Tucker i została skazana za morderstwo. Miała tyle lat, ile mogłaby mieć teraz jego siostra. Karla Faye Tucker o bujnych włosach i pięknych, spokojnych oczach. Dowiedział się z artykułu, że przeszła nawrócenie i znalazła drogę do Boga. Nawet papież zaapelował o ułaskawienie, ale to zapewne nic nie da. Prawdopodobnie o pierwszej w nocy, gdy on akurat będzie siedział w recepcji, przywiążą ją do pryczy w celi śmierci. Wykonujący wyrok podwinie jej rękaw, poszuka żyły, a potem wstrzyknie śmiertcionośny płyn.

Człowiek ma jedno życie i powinien zrobić z niego użytek, pomyślał. Karla Faye Tucker podjęła taką próbę, kiedy było już za późno.

Nadal czuł się przybity. Zdarzało mu się to kilka razy do roku, lecz nie była to chyba depresja; wyobrażał sobie, że depresja powinna być cięższa, głębsza, trudniejsza. Nie, czuł się raczej znużony. Prozą życia, monotonią dnia codziennego.

Może dłuższy spacer przywróci mu lepszy nastrój. Włożył ocieplane zimowe półbuty i anorak, który dostał kiedyś na urodziny od Liv. Zachował go, choć było to tak dawno. Anorak nie był zbyt ciepły, ale chronił przed wiatrem i jeśli włożyło się pod spód sweter, wcale się nie marzło. Po każdym praniu Hans Peter spryskiwał anorak impregnatem, łudząc się, że to pomaga.

Stał już prawie w drzwiach, gdy usłyszał sygnał telefonu.

Dzwoniła jego matka. Powiedział, że właśnie wychodzi; czy to coś ważnego, może oddzwoni do niej później?

- Hans Peter, tata ma dziś urodziny.
- O cholera! No jasne!
- Zapomniałeś?
- Miałem tyle roboty, tak, całkiem zapomniałem.
- Nie masz zbyt wielu bliskich krewnych, o których powinienesz pamiętać.

Poczuł przyływ palącego wstydu.

- Wiem, zapomniałem, to niewybaczalne.

- Wyszedł sprawdzić pocztę, kiedy tylko pojawił się listonosz.
- Przestań, mamgo!
- Odwiedzisz nas w weekend? Może zjemy razem urodzinową kolację? Oczywiście, jeśli będziesz miał czas.
- Jasne, wpadnę do was.

Mijał kolejne przystanki na Sandviksvägen, a potem skręcił w lewo obok żółtego kiosku. Śnieg utrudniał poruszanie się w niektórych miejscach. Samochody pełzły powoli, na ulicach było sporo pracujących pługiaskarek. Zobaczył młodego listonosza kiwającego się na obładowanym rowerze i przypomniał sobie, jak sam pracował kiedyś przy roznoszeniu poczty. Dobrze, że ma to już za sobą, był stanowczo za stary na coś takiego.

Niedługo będzie za stary na wszystko.

Minał wzniesienie i szedł w kierunku kąpieliska Allmänna badet, które tego dnia w żaden sposób nie przypominało kąpieliska. Śnieg spowijał i plażę, i pomosty, skrywał wszystko tak szczelnie, że nie było nawet widać, gdzie kończy się plaża. Nadal padało, choć niezbyt obficie, bez tych ostrych, drobnych ziarenek, które wpadają do oczu, sprawiają o ból głowy lub potęgują istniejący. Zsunął jeszcze niżej czapkę i podążył promenadą w kierunku zatoki Riddersvik.

Przyjemnie byłoby mieszkać tutaj, w jednym z tych domów szeregowych z fantastycznym widokiem na morze. Kosztowałyby to oczywiście majątek. A on w dodatku jest samotny. Czasem zastanawiał się, czy nie sprawić sobie mieszkania w centrum miasta, wołał jednak przebywać w otoczeniu przyrody. Tak naprawdę nie był mieszczuchem, więc obecna sytuacja bardzo mu odpowiadała.

Od kilku lat wzdłuż zbocza góry biegła drewniana ścieżka tarasowa, wznosząca się nad wodą niczym balkon. Tworzyła drogę na skróty w kierunku Riddersvik i Tempeludden. Czuło się tam bliskość przyrody, bliskość dużych przestrzeni. Gdy jezioro zamarzało, pojawiały się gromad-

ki narciarzy biegowych, przybywających z Enköping lub z jeszcze odleglejszych miejsc. Zastanawiał się, czy lód trzyma, nie dostrzegając jednak śladów butów, tylko lekkie odciski łap mniejszych zwierząt. Krzewy pozamarzały, zatopione w śniegu i lodzie przypominały sztywne korale. Wychylił się poza barierkę i przyglądał się im z podziwem. Szkoda, że nie wziął aparatu. Dlaczego nie pomyślał, że można też robić zdjęcia zimą?

Usłyszał jakieś odgłosy i zobaczył idącą mostem kobietę z dużym czarnym psem. Pies był silny, trudno było jej go utrzymać. Zmierzwione futerko na pysku pokrywały plamy śniegu. Zwierzę wyglądało tak zabawnie, że Hans Peter musiał się uśmiechnąć.

Kobieta przystanęła i schowała kilka kosmyków włosów pod kaptur. Była zarumieniona na twarzy, bez makijażu, miała na sobie krzykliwą żółtą kurtkę.

– Ładny pies – odezwał się, ale nie odważył się go pogłaskać.

– Tak, to pies mojej córki.

– Pani go wyprowadza czy on panią?

– Też się nad tym zastanawiam. – Kobieta się roześmiała.

Pociągnęła za smycz i powiedziała coś, co zabrzmiało jak „Freja”.

– Nazywa się Freja? Jak ten program w radiu?

– Nie, ma na imię Feja. I tak naprawdę wcale nie jest taka uparta. Tylko przy mnie pozwala sobie na więcej... Córka z chłopakiem trenują ją, chcą, by została psem ratowniczym.

– Naprawdę? A kogo miałyby ratować?

– No cóż... – zaczęła niepewnie. – Mogłaby szukać zaginionych osób, ludzi, którzy zostali zasypani walącymi się domami czy coś w tym rodzaju.

– Ciekawe.

– Ale jest jeszcze młoda, ma tylko trzy lata.

– To sznaucer, prawda?

– Tak, sznaucer olbrzymi. Ma akurat cieczkę, dlatego nie słucha. Ale teraz musimy już iść. Feja, do mnie!

Stał i patrzył, jak znikają za wzniesieniem.

Znowu pomyślał, że powinien sprawić sobie psa.

Gdyby był na spacerze z psem, oba kundle obwąchałyby się swoim zwyczajem pod ogonami, a po chwili ich właściciele ruszyliby dalej, tak jak teraz. Odnalazł wzrokiem Riddersviks gård i ogródki działkowe poniżej. Właśnie tutaj spuściłby Bellę ze smyczy, biegałaby jak szalona tam i z powrotem, w górę i w dół, tarzałaby się w śniegu. Może rzuciłby jej patyk, a ona by aportowała.

Wspiął się z mozołem na wzgórze, gdzie niczym świątynia wznosił się ze swoimi kolumnami dziwaczny pawilon rodem z *Baśni z tysiąca i jednej nocy*. Wejście było zagrodzone czarnymi żeliwnymi kratami. Gdy znad skutego lodem Mälaren nadciągały powiewy wiatru, dźwięczały niczym orkiestra. Piękne, nieco samotne brzmienie. Pośrodku dachu tkwił gruby hak. Czy ktoś się tam powiesił? Niemal widział przed sobą kołyszące się na wietrze ciało.

Zauważył ją poniżej wzgórza. Spoczywała w pozycji półleżącej za dużym, spróchniałym pniem. Później pomyślał, że gdyby miał ze sobą psa, ten z pewnością od razu by ją zwiertzył. A teraz niewiele brakowało, by wcale jej nie dostrzegł.

Leżała oparta o pień. Dopóki wystarczało jej sił, otrzepywała z siebie padający śnieg, lecz teraz ręce spoczywały na ziemi, a głowa była przechylona na bok.

Najpierw pomyślał, że nie żyje. Przykucnął koło niej i ostrożnie dotknął jej podbródka. Był zimny. Kobieta jednak oddychała. Położył ją na śniegu i podniósł jej nogi. Pamiętał, że należy tak robić, kiedy ktoś straci przytomność.

Po chwili wydała jakiś odgłos i otworzyła oczy. Jej twarz była równie biała jak śnieg.

– Bogu dzięki, żyje pani! – krzyknął i przyklęknął tuż obok niej.

Cmokała ustami, próbowała przełknąć ślinę.

– Musiała pani zemdleć, znalazłem panią opartą o ten pień.
 – Biegałam... – odparła ochryplym głosem, a wtedy zobaczył, że ma na sobie buty do biegania i dres.

– Co się stało? Musiała się pani przewrócić.

Próbowała się podnieść, wziął ją pod ramiona i pomógł jej usiąść.

– Powoli, żeby się pani znowu nie wykopyrtnęła.

Jęknęła i sięgnęła ręką do lewej stopy. Podnosiła się z trudem, cały czas trzymając się jego kurtki.

– Moja stopa... Już wiem, co się stało, wywinęła mi się.

– Może pani się na niej oprzeć?

– Nie, raczej nie.

– Mogła ją pani zwichnąć.

– Miałam kiedyś kontuzję i od tamtej pory ciągle są z nią problemy.

Powinnam była o tym pamiętać.

– Musi pani jechać do szpitala.

– Ależ skąd, wystarczy, jeśli dostanę się do domu.

Była w jego wieku, może nieco starsza. Jej głos był jasny i dziewczęcy. Pomyślał, że nie da rady jej unieść.

– Czy mogłabym się po prostu na panu oprzeć? – zapytała.

– Gdzie pani mieszka?

– Niedaleko, mój dom widać z mostu.

Objęła go ręką za szyję. Człapiąc i powłócząc nogami, ruszyli w stronę osiedla. Droga była uciążliwa dla obojga. Momentami, gdy kobieta niechcący opierała się mocniej na chorej stopie, ciężko dyszała.

– Jeśli jest złamana, trzeba założyć gips.

– Na pewno nie jest złamana.

– Skąd pani ma taką pewność?

– Po prostu wiem.

– Może się... przedstawię. Hans Peter Bergman. Mieszkam w Hässelby Strand, przyszedłem tu na spacer.

– Przeze mnie nie zaszedł pan zbyt daleko.

- Nic nie szkodzi.
- Ja nazywam się Justine Dalvik.
- Kristin?
- Nie, Justine.

Doszli do małego skupiska budynków i pastwiska z koźmi. Zwierzęta miały na sobie wilgotne derki, tarły kopytami o śnieg i wyglądały, jakby marzyły o schowaniu się do środka.

- Zapukamy do tego domu i poprosimy, by zadzwonili po pomoc?
- Nie, lepiej nie... Nie ma co dramatyzować.

W tym momencie pojawił się na schodach mężczyzna. Obrzucił ich obojętnym spojrzeniem, po czym podszedł do niechlujnie zaparkowanego przy bramie samochodu.

- Halo! – zawołał Hans Peter.

Mężczyzna się zatrzymał.

- Potrzebujemy pomocy...

Podszedł do nich i rozłożył ręce.

- Nie mówię dobrze po szwedzku – usprawiedliwił się.
- Nie szkodzi, byle mógł pan nas podwieźć.
- Mógł podwieźć. Was podwieźć?
- Będziemy bardzo wdzięczni. Ta pani zwichnęła nogę. To niedaleko, mieszkamy tylko kawałek stąd.

Weszli do domu.

- Bardzo panu dziękuję za pomoc.

Z jej głosu przebijał ton sugerujący, że wołałaby, żeby jeszcze został.

- Mogę obejrzyć pani stopę. Miałem trochę zajęć medycznych w wojsku.

- Dobrze, skoro ma pan czas... Chodźmy do kuchni.

Na blacie kuchennym siedział wielki ptak, pił wodę z miseczki.

- Mam nadzieję, że pan się nie przestraszy – powiedziała cicho.
- Co ma pani na myśli?

– Niektórzy się go boją.

– Jest tylko trochę... nietypowy. Należy do pani?

Skinęła głową na potwierdzenie. Zdjął jej buty i usadowił się na przeciwko, położył jej nogę na swoim kolanie.

– To chyba niezbyt mądre biegać, gdy jest tak ślisko?

Jej twarz odzyskała kolory.

– Najwyraźniej nie – odparła sucho.

Miała ciekawie uformowaną stopę z małymi, lekko zakrzywionymi paznokciami. Przypomniał sobie coś, o czym kiedyś czytał: podobno mężczyźni mają płaskie paznokcie, a kobiety zakrzywione. Zastanawiał się dlaczego.

Stopa była lekko spuchnięta przy samej kostce. Wziął ją w dłoń i zaczął lekko wyginać.

– Boli?

– Trochę.

– Raczej nie jest złamana. Jeśli pani chce, mogę zrobić opatrunek.

– Bardzo proszę. Na górze, w sypialni jest szafka z artykułami medycznymi. Powinien tam być bandaż elastyczny. Trafi pan? W tamtym pokoju jest tylko jedno łóżko.

Wyszedł do sieni i na strome schody. Na ścianie wisiały dwa oprawione w ramy i szkło plakaty, reklamy pastylek na gardło z lat czterdziestych. Na górze korytarz przechodził w otwartą przestrzeń dużego salonu wypełnionego książkami. Zerknął na tytuły, nie chciał tu jednak zostać zbyt długo. Drzwi do jej pokoju były otwarte na oścież. Łóżko porządnie załane, ale na podłodze brudno, pełno piór i ziaren. Z podłogi zdawała się wyrastać wielka gałąź, po chwili zauważył, że jest osadzona w stojaku na choinkę. Najwyraźniej w tym samym pokoju, gdzie spała, przebywał też ptak.

– Jak idzie?! – zawołała z kuchni.

– Gdzie miała być ta szafka?

– Na lewo od okna, widzi pan?

O, jest. Przykucnął i otworzył drzwiczki. Mnóstwo buteleczek i tubek, w głębi rolka bandażu elastycznego. Kiedy po niego sięgał, poczuł za plecami obecność ptaka, który usiadł po chwili na swojej gałęzi, wydając gardłowy odgłos. Hans Peter nie odważył się poruszyć.

– Niech się pan nie boi! – krzyknęła z dołu. – Nie tknie pana.

Ptak przypatrywał mu się jednym okiem. Podciągnął pod siebie jedną nogę i zakłapał dziobem. Hans Peter poczuł się nieswojo. Czy ptak skoczy na niego, gdy się poruszy? Osłonił się ramieniem i wyszedł bokiem. Ptak załopotał skrzydłami, lecz pozostał na swoim miejscu.

– Dlaczego trzyma pani tego ptaka? – zapytał potem, kiedy już za-bandażował jej stopę i podgrzał mleko. Ostatni raz pił ciepłe mleko w dzieciństwie.

Przenieśli się na górę, do tego dużego pokoju z książkami. Co jakiś czas oznajmiał, że zaraz sobie pójdzie, powiedział to wiele razy.

– Między innymi dla towarzystwa.

– Czy takie duże ptaki nie czują się lepiej na wolności?

– Ten nie, przystosował się do życia wśród ludzi. Gdybym go wypuściła, inne ptaki by go zadziobały.

– Próbowła pani?

Pokiwała głową.

– Kiedyś usiadł na tym dębie przed domem. Natychmiast zleciała się cała chmara srok, kilka go zaatakowało. Na szczęście puścił gałąź i spadł prosto w moje objęcia. Od tamtej pory boi się, nawet gdy tylko otwieram okno.

– Mieszka tu pani sama?

Skinęła głową.

Na górze też wisiały oprawione plakaty z pastylkami Sandy. Pokazał na nie i zapytał dlaczego.

– Sven Dalvik był moim ojcem. Słyszał pan o koncernie Sandy?

Nie słyszał, a ona, nie wiedząc czemu, ucieszyła się.

Przechadzał się pomiędzy regałami i rozglądał.

– Lubi pan czytać? – zapytała.
– Tak, w następnym wcieleniu będę antykwariuszem.
– A co robi pan w obecnym wcieleniu?
– Ech, jestem nocnym portierem.
– Uważam, że powinien pan raczej być lekarzem. Uwinął się pan przecież błyskawicznie z opatrunkiem.

Spojrzał na nią z powagą.

– Siedziała pani w tym śniegu jak trup. Jakby ktoś panią zamordował.

– Zamordował! Dlaczego pan tak mówi?

– Tak to wyglądało. Takie rzeczy widuje się na filmach.

– Okropieństwo!

– Gdybym tamtędy nie przechodził...

– Ocknęłabym się po chwili. Zdarzało mi się to wcześniej. Stopa mi się wywija, boli jak cholera, mdleję z bólu.

– Ale dlaczego tak się dzieje?

– Złamałam ją dawno temu, od tej pory coś jest z nią nie tak. Próbuje się z tym uporać, biegając. Teraz muszę na jakiś czas zrezygnować z treningu.

– Zgadzam się!

Popatrzył na regały.

– Sama pani zgromadziła te książki?

Parsknęła śmiechem z lekką drwiną.

– Myśli pan, że nie byłabym do tego zdolna?

– Ależ skąd!

– Przepraszam. Owszem, należą do mnie. W tym domu nie było osób lubujących się w książkach. Oprócz mnie.

– Mieszka tu pani od dawna?

– Wychowałam się tutaj.

– Ach tak... Widzę, że ma pani Bernarda Malamuda, zna pani jego twórczość?

– Znam, jak znam. Czytałam go wiele lat temu i podobało mi się to, co pisze. Powinnam mieć kilka jego książek.

– Mnie też się podoba jego styl. Chociaż przeczytałem tylko jedną, *Pomocnika*. Ta książka poruszyła mnie do głębi.

– Może pan sobie coś pożyczyć.

Jej propozycja sprawiła mu nieoczekiwaną radość.

– Bardzo chętnie – odparł.

14

Światło:

które gwałtownie przedziera się przez czarny, spowijający wszystko mrok. Złowieszczy błysk, jakieś oko. Krzyk matki i sióstr: Flora, Flora! Albo daleki krzyk mew.

Czy mogła to pamiętać? Była malutkim dzieckiem i leżała w koszu pod drzewem.

Nie.

Słyszała, jak opowiadano o tym.

Najstarsza siostra pamiętała:

Jak tam leżałaś, jak mama się zerwała, jak krzyczała.

Dlaczego krzyczała?

Bo na klatce piersiowej dziewczynki siedział ptak.

Kujnął swym grubym, czarnym dziobem oko dziecka.

Tak, mimo wszystko to wspomnienie tkwiło gdzieś w jej wnętrzu. Zapach z otwartego dzioba, zapach podgardla: nornice, robaki, szlam. Na jej policzek prysnęła kropelka śliny i choć była zbyt mała, by odczuwać strach, przeraziła się. Jej krzyk zlał się z krzykiem matki. I z krzykiem ptaka zrywającego się do lotu – bo nadbiegły jej siostry, bo podnosiły z ziemi kamienie i rzucały. Ptak jeszcze długo potem krążył nad drzewem.

– Flora, czy to ty? Chyba mnie poznajesz?

Odwrociła głowę. Kolejny poranek.

Kobieta z drugiego łóżka musiała obserwować ją już jakiś czas. Jak długo?

– Wiem... że nie możesz mówić. Ale myślę, że mnie poznajesz, jestem Märta Bengtsson. Twój ojciec miał sklep ogrodniczy Klintgården, kupowaliśmy tam buraczki.

Sflaczała, poszarzała skóra pod podbródkiem, zamglone oczy, żyłsta ręka zwrócona w jej stronę.

– No proszę, że też znalazłyśmy się tutaj... w tej samej sali. Czarująca Flora Dalvik i ja.

O tak, dobrze ją pamiętała. Zdziorny, klejący się do wszystkich dzieciak, zawsze niedomyty. Jej siostra miała na imię...

– Chodziłyście z moją siostrą na tańce. Boże, jak ja wam zazdrościłam. Byłyście takie śliczne w tych waszych sukienkach... a ty zwykle miałaś na sobie coś różowego, tak, różowego... choć ty nazywałaś ten kolor morelowym. Morelowy! Wiadomo było, że to jakiś owoc, ale nic poza tym.

Märcie Bengtsson udało się sięgnąć do wyciągu nad łóżkiem, próbowała się podciągnąć. Pokryte plamami ręce wyprostowały się, lecz nie wystarczyło jej sił. Opadła z powrotem na poduszki, puszczając równocześnie donośnego bąka.

Bezzębny rechot.

– Kto by pomyślał, że tak skończymy! Kto by się spodziewał?

Flora przymknęła oczy. Siv, miała na imię Siv. Siv z długimi paluchami u stóp. Uczyły się tańczyć w jej pokoju, razem z siostrą Flory. Tylko z którą? Z roztańczoną Rosą?

Siv zaszła potem w ciążę. Wpadła. Choć skóra na brzuchu coraz bardziej się napinała, wcale nie umierała ze strachu, tylko się uśmiechała. Prześmiała całą ciążę, dopóki któregoś nocy dziecko po prostu nie wyskoczyło na świat.

Wstyd? A jakżeby inaczej? Ujawnienie czegoś takiego zawsze oznaczało wstyd. Bo kobieta uprawiała miłość z mężczyzną bez błogosławieństwa księdza. Flora uprawiała miłość ze Svenem Dalvikiem, mając wszelkie błogosławieństwa. A mimo to nic.

– Wiesz, że Siv nie żyje? Minęło już sporo lat, zmarła w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim. Leżała sobie i po prostu umarła. Dlaczego nam się to nie udało, Flora? Dlaczego nie mogliśmy, jak ona, położyć się i od razu umrzeć?

Białe fartuchy. Pluskanie i pryskanie z misek z wodą. Usuwanie wilgoci spomiędzy nóg. Zawsze marzła, gdy ściągali z niej pieluchę, po brzuchu i udach rozchodziła się fala gęszej skórki. Że też musi tu leżeć i parować jak świeżo wypatroszona ryba. Lustrowała ich młode twarze: czy uda im się opanować, czy uda im się zatrzymać w środku to, co naprawdę czują. Lepka, brązowa maź. Tak, żołądek dawał jej się we znaki; koszmary albo rzeczywistość. Słyszała w nocy kroki Justine, zbliżały się w tempie maszerujących żołnierzy. Flora wpatrywała się w drzwi, które jednak się nie otworzyły. Był środek nocy.

– Flora, zjadłaś coś niestrawnego? Dzisiaj poczęstujemy cię tylko herbatką, nie dostaniesz już kawy.

– Rany boskie, jak tu śmierdzi.

– Oczywiście, Märto, zaraz otworzymy okno.

Siedziała w pomarańczowym fotelu. Naprzeciw niej Märta Bengtsson. Jak para serdecznych przyjaciółek.

– Jednego nie mogę pojąć – co ty robisz na takim oddziale? Wiem, że to nie moja sprawa... ale są przecież prywatne domy opieki. Ten też jest niby prywatny, ale to przecież tylko ta Partena czy jak się to tam nazywa. Mam na myśli coś bardziej ekskluzywnego, z osobistymi pielęgniarkami. Ciebie chyba stać na to, co? Mielicie przecież fortunę. Chyba nie przepuściliście wszystkiego za życia? Boże, co ja gadam, oczywiście za życia Svena Dalvika. Na pewno żyłicie zupełnie inaczej.

Niż ja i... Oglądałam czasem wasze zdjęcia w gazecie, wyglądaliście jak prawdziwi celebryci. Ty, Floro, miałaś bogate życie. Muszę to powiedzieć jeszcze raz: kto by pomyślał, że tak skończymy...

Bogate życie? O, tak. Pod względem finansowym – owszem, bardzo bogate.

Gdy nauczyła dzieciaka moreesu, zrobiło się nieco lżej. Najpierw próbowała z sercem na dłoni, gotowa okazać zrozumienie i kochać. Okazało się, że nie tędy droga. Jedyłą skuteczną metodą było oblężenie. Trzeba było oblegać i zwyciężać.

Czasem brała Justine do piwnicy i sprawiała jej manto. Wsadzała ją do kotła i podgrzewała. Nigdy nie na tyle, by się poparzyła, co to, to nie.

Bo dziecko musi znać granice.

Uległość Svena wobec dziewczynki działała jej na nerwy. Spojrzenie jej oczu, kiedy brał ją w objęcia i obsypywał pocałunkami i pieszczotami. Justine nie spuszczała z niej wtedy wzroku ani na sekundę, jej oczy błyszczały triumfem.

Było w niej coś niezdrowego, jakieś szaleństwo.

Próbowała rozmawiać o tym ze Svenem. Zawsze gdy skończyli się kochać, tylko wtedy. W takich chwilach był otwarty i słuchał. Nawet jeśli się z nią nie zgadzał.

– Nie – upierał się. – Z Justine wszystko jest w porządku. Floro, musisz spróbować ją zrozumieć. Ona nadal opłakuje matkę.

– Sven, kochanie, ona w żadnym razie nie może pamiętać swojej matki.

– Chodzi o poczucie straty. Zżera ją od środka, wygryza z niej duszę. Nie możemy na to pozwolić, musimy dać jej całą naszą miłość.

Całą? – myślała. Całą naszą miłość?

Potem rozkładała ramiona i nogi, chodź, weź mnie jeszcze raz, mój kochany, zapłodnij mnie, spraw, bym wydała owoc.

– Ona raczej słyszy, prawda, siostrze?

– Tak do końca nie wiadomo, mimo wszystko lepiej uważać na to, co się mówi.

– Czy pani wie, że Flora przyjaźniła się z moją siostrą Siv?

O nie, nigdy nie byliśmy zbyt bliskimi przyjaciółkami. To była tylko powierzchowna przyjaźń, nie wiem, czy twój biedny, pokurczony mózg może to pojąć. Siv była prymitywna i niezdarna, tak samo jak ty, jak cała twoja rodzina. Pamiętam, jak wasz ojciec zataczał się w sobotnie popołudnia w drodze do domu; ten nierówny, chwiejny krok... i jak wszystkie uciekałyście z domu jak jakieś nędzne myszki. Od czasu do czasu sprawiał Siv lanie, wtedy przybiegała do nas i się wyplakiwała. Już samo opowiadanie o czymś takim... Jak się tym niemal chełpiła, pokazywała swoje siniaki. A jednak, gdy potem przytrafiło się nieszczęście, ta jej ciąża, zachował się całkiem przyzwoicie. Wziął udział w jakimś zebraniu religijnym, zmienił się nie do poznania, zaczął odgrywać rolę dobrego dziadunia.

Ale przedtem... żona i dzieci wypędzone z domu, na chłód; oto nadchodzi, wasz pan i władca. Moja matka nigdy, przenigdy nie dałaby się tak wypędzić. Z własnego domu. Gdyby ojciec napił się wódki tylko po to, żeby się uchlać... Pewnie zakopałaby go gdzieś w ogródku.

Twoja matka miała w sobie cygańską krew, dlatego nie potrafiła się przeciwstawić. Tkwiło w niej poczucie winy, była naznaczona cygańskim piętnem. Pewnego razu tak jej przywalił w usta, że zalały się krwią. Widzieliśmy to z Siv przez okno. „Cygańska dziwka!” – wrzeszczał na nią, była boso, na wpół naga. „Że też ona się na to godzi?” – powiedziałam później do Siv. Wtedy naprawdę się pokłóciliśmy.

– A potem wyszłaś za mąż za dystyngowanego dyrektora, wdowca Dalvika. Zgarnęłaś go, ot tak. Od tamtej pory ledwo nas zauważałaś. Moja córka Rosmarie była w tej samej klasie co jego córka. Widywaliśmy was na wywiadówkach. Tak wdzięcznie trzymałaś go pod rękę. Udawałaś, że mnie nie poznajesz. Ale ja tak bardzo się nie zmieniałam,

to ty, Floro, stałaś się kimś zupełnie innym. A mimo to poznałam cię bez trudu. Bo widzisz, człowiek i tak nie jest w stanie się ukryć, nawet jeśli owinie się w piękne materiały. Nie ma znaczenia, czy będzie to jedwab, aksamit, czy też gałgan lub szmata.

Przypominały swojego ojca, odziedziczyły po nim kręłą budowę ciała, miały tłustą, luszczącą się cerę. A Flora była tak delikatna.

– Jesteś drobna jak dziewczynka – mówił Sven, biorąc ją w objęcia. Jego córka wreszcie spała, wtedy poświęcał swój czas wyłącznie swojej kobiecie. Chwytał za jej wąskie biodra, czy pomieszczą dziecko? Różowe, drobne brodawki piersi, płaskich jak u młodzieńca. Miała wtedy krótko obcięte włosy, nazywał ją „swoim chłopcem”.

Nigdy nie miała całkowitej pewności, że dziewczynka śpi. W każdej chwili mogła się obudzić, stanąć w drzwiach i zacząć ją świdrować zupełnie przytomnym wzrokiem, spojrzeniem co-robisz-z-moim-ojcem.

Flora nie miała już orgazmów.

Wcale go to nie obeszło. Czy w ogóle zdawał sobie z tego sprawę?

– Nie umiem się rozluźnić, zamykam się, wszystko się we mnie zamyka.

– Nie myśl o tym tyle. Nie udaje się, bo wciąż o tym myślisz.

– Wyjedźmy gdzieś, przerwaliśmy przecież naszą podróż do Londynu. Spróbujmy jeszcze raz, wybierzmy się na przykład do Paryża.

Nie chciał zostawić córki samej. Nie tak szybko. Przecież i tak spędzał tyle czasu poza domem. Służbowo. Później, Floro, później.

Czas mijał i Justine poszła do szkoły.

– A kto się nią zajmie, jeśli oboje wyjedziemy? – perswadował jej. – Kto będzie ją ubierał i posyłał do szkoły?

– Poprzednim razem udało ci się to jakoś załatwić.

– Teraz jest inaczej. Nie mogę jej zawieść kolejny raz.

Wyjeżdżał więc sam. Wracał do domu z drogimi prezentami. Pierścionek z olbrzymim brylantem na zgodę. A dla dzieciaka coś, co przypominało trąbkę.

– Jeśli będziesz na tym grała w domu, wyprowadzę się.

Czy to w ogóle można było nazwać graniem?

Szła nad jezioro i dęła w instrument, skręcając się z wysiłku. Nadlatywały zwabione hałasem kaczki, przynajmniej one powinny mieć więcej rozumu. Justine ich obecność najwyraźniej cieszyła.

– Tato, gram dla ptaków.

– Moja kochana, dzielna córeczka. Kiedyś założysz orkiestrę.

Kaczki wdrapywały się na pomost i zanieczyszczały go swoimi odchodami. Co on sobie myślał? Kto to będzie czyścił? Myślisz, że związałam się z tobą, by ścierać ptasie gówna ze starych pomostów?

Nie.

Z tym człowiekiem nie dało się kłócić. Odgryzał się, a potem milczał. Dopóki Flora się nie pokajała.

Dzieciak. To wszystko przez nią, przez nadmiernie chronioną i rozpuszczoną Justine.

Zapadła się w fotelu, była bardzo zmęczona. Märta Bengtsson wgapiała się w nią ze swojego łóżka, pozbawiając ją wypoczynku.

– Sostro! Proszę tu przyjść! Pani Dalvik chyba zemdląca.

– Ależ skąd, to tylko tak wygląda, nic jej nie jest. Trzeba ją trochę podnieść, o tak.

– Może jest zmęczona i wolałaby wrócić do łóżka?

– Nie można cały czas leżeć, bo wtedy dni bardziej się dłużą.

Tak czy inaczej, Märta Bengtsson okazała jej troskę. Flora spojrzała w jej stronę i skinęła głową. Märta Bengtsson odwzajemniła się tym samym.

– Kto by pomyślał, że obie skończymy tutaj?

Czasem ogarniała ją paląca wściekłość. Nie na Märte, nie na personel, lecz na Svena. Miał siedemdziesiąt lat, wcale nie chorował, aż któregoś popołudnia chwycił się za serce i upadł na schodach. Stała w oknie

i wszystko widziała, natychmiast zadzwoniła na pogotowie. Leżał tak, że nie dało się otworzyć drzwi. Musiała pchnąć je z całej siły i odsunąć go delikatnie do tyłu. Tak by powstała szczelina, przez którą była w stanie się przecisnąć. Leżał na schodach, z kącika ust sączyła się piana.

Następnego ranka już nie żył.

Siedziała przy nim i trzymała go za rękę. Justine po drugiej stronie. Obie były przy nim, a mimo to, mimo wszystko je opuścił.

Jak to sobie wyobrażałeś, kto będzie siedział przy mnie?

Nie chcę umierać.

Chcę żyć.

15

Czasem dręczyła ją cała klasa. Dosłownie wszyscy. Brali się za ręce odziane w rękawiczki z wilgotnymi kciukami. Stawali w kółku. Nauczycielka widziała tylko, jak dzieci pływają, mając świeżo w pamięci taneczne korowody przy uroczystym rozbieraniu choinki*, jak wiatr szarpie ich szalikami; ich jasne głosy. Czy czuła wtedy wzbierające w sercu ciepło, czy wspominała własne zabawy? Gdy była w tym samym wieku, tak samo niewinna?

– Justine, beksa-lala, w gacie się zsikała. Justine, beksa-lala, w gacie się zsikała.

Bo Justine zawsze chciało się siusiu. Zapominała jednak o pójściu do toalety albo się z tym ociągała. Może raczej to drugie. Koleżanki nie pozwalały jej stamtąd wyjść i nabijały się z niej.

* Szw. *julgransplundring* (dosł. ograbianie choinki) – odbywa się 13 stycznia; szwedzkie rodziny schodzą się wówczas na wspólne zdejmowanie ozdób choinkowych; towarzyszą temu tańce, śpiewy, gry i zabawy.

Flora oczywiście wpadała w złość. Podtykała jej pod nos wilgotne majtki.

Justine ciągle chodziła zmoczona. Miała odparzenia i czerwone pręgi.

Leżała teraz na śniegu. Nikt jej nie przewrócił, położyła się z własnej woli. Korowód taneczny trwał; widziała ich zużyte trzewiki. Leżała tam jak baranek, jak baranek ofiarny.

Coś twardego przy jej boku; lepki śnieg, nie było zbyt zimno. Wznosili wokół niej śnieżny mur, budowali studnię, leżała na samym dnie.

Chropowate białe ścianki. Wysoko ponad nią światło, szare i zawodzące. Rozlega się dzwonek. Dzieci, do środka.

– Idziemy! – zawołała Berit. – Była ich ognistym aniołem, przewodylem. – Pospiesz się, bo dostaniesz burę od nauczycielki.

Mogła się stamtąd wydostać. Mogła naprzeć na ściankę ze śniegu i zburzyć ją, zapewne nie było to takie trudne.

Ale nie zdobyła się na to.

Nauczycielka, Flora i ona. Tykanie zegara na ścianie.

– Patrz na nas, gdy do ciebie mówimy!

– Mimo wszystko straciła matkę...

– Ale minęło już sporo lat, nie może przez całe życie rozpamiętywać przeszłości. Teraz ma nową mamę. Musimy jej pomóc, wyrwać ją z tego. W przeciwnym razie to dziecko będzie miało problemy.

Flora w swojej białej bluzce.

– Justine, przecież wiesz, że chcemy tylko twojego dobra.

Nauczycielka z dłońmi pobrudzonymi kredą.

– Jest całkiem zdolna, ale powinna się trochę bardziej przyłożyć, być aktywniejsza na lekcjach. Wiem, że stać ją na więcej. Ponosi odpowiedzialność za swoje życie, dotyczy to wszystkich, również dzieci w wieku szkolnym.

– Jeśli się nie poprawisz, będziemy musiały porozmawiać z tatą. A tego chyba nie chcesz?

Nie, trafiła w samo sedno. Tatę należało oszczędzać, nie musi wiedzieć, ma wystarczająco dużo zmartwień, przede wszystkim kobietę-zmórę, z którą dzieli łóżko i dom.

Justine, teraz myślimy o kimś, o kim wiemy tylko ty i ja.

Tak, o mamie.

Flora biła ją, lecz tylko wtedy, gdy ojciec był poza domem. Zamykała ją z podręcznikami w piwnicy, ale nie miała już siły wsadzać jej do kotła.

– Odpytam cię potem. Chociaż tak naprawdę nie ma to sensu, i tak jesteś już stracona.

Jak to stracona?

Czasem uciekała ze szkolnego podwórka, lecz potem, kiedy ją złapali, było tylko gorzej. Berit przytrzymywała ją, wskazywała po kolei palcem części jej ciała.

- Patrzcie na Justine, na jej francuski nos!
- Fúj, jaki brzydki, wstrętny nos!
- Patrzcie na Justine, na jej francuski podbródek!
- Fúj, jaki brzydki, wstrętny podbródek!
- Patrzcie na Justine, na jej francuską szyję!
- Fúj, jaka brzydka, wstrętna szyja!

Ręce, które ciągnęły za jej ubranie, za guziki, rozpinały zamek. Właśnie wtedy wyrwała się i pobiegła przed siebie. Zaskoczyła ich, przecież zawsze zgadzała się bez szemrania na rolę ofiary.

Ale teraz rzuciła się do ucieczki. Przed nimi.

Wykroty i zarośla. Przed oczami stanął jej Myśliwy. Gdy uciekała ze szkoły, często się tam spotykali. Nosił skórzaną kurtkę, pachniał listowiem i ziemią.

Myśliwy przykucnął, przyglądał się jej.

Jak nikt inny.

Wziął ją ze sobą do domu. Był tam kot z białymi wąsami i żelazny piecyk. Na pagórku obok Myśliwy rąbał drewno, którym rozpałał w piecu. Kuchnia buzowała ciepłem.

Nie powiedział jej, żeby się nimi nie przejmowała, w ogóle nic nie powiedział.

Pogłodził ją jednak delikatnie po plecach.

Siedzieli przy stole i układali pasjansa. Miał malutkie talie kart z japońskimi kwiatami na koszulkach. Ścigali się, kto szybciej ułoży swojego pasjansa. Kot przechadzał się po stole miękkimi, różowymi kroczkami. Gdy się kładł, Myśliwy drapał poduszczeni jego łap paznokciem. Kot drżał na całym ciełe.

– Stina, ty też masz takie łaskotki?

Nazywał ją Stiną, nigdy francuskim imieniem Justine.

Jak miał na imię Myśliwy?

Nie zamierzała nikomu o nim opowiadać. W jej domu była kobieta-zmora. Jej wzrok mógł paść na Myśliwego, a na to spojrzenie nie podziałyby nawet błagania o litość.

Ojciec chciał czasem z nią porozmawiać. O poważnych sprawach. Widziała to po jego sposobie unoszenia ramion, przeczuwała już przy obiedzie i od razu traciła apetyt.

Wieczorem przyszedł do jej pokoju.

Zapytała szybko:

– Znowu wyjeżdżasz?

– Nie, dlaczego tak myślisz?

– Zabierzesz mnie ze sobą, gdy będziesz wyjeżdżał?

– Kochanie, nigdzie się nie wybieram.

– Ale gdybyś...

– Kiedyś na pewno zabiorę cię ze sobą.

– Dokąd pojedziemy?

– Może do Francji.

Wodziła palcem po podkładce do pisania. Porysowała ją kwiatami i śpiącymi zwierzętami. Chciała, by mówił dalej, żeby zaczął ustalać szczegóły; czego potrzebujemy na wyjazd, no tak – paszportów, walizek, no i chyba kupimy ci na podróż coś nowego, jakiś ciuch.

Ojciec odkaszlnął, jakby był przeziębiony.

– Odrobiłaś porządnie lekcje?

– Tak, tato.

– Chyba lubisz szkołę?

– Tak.

– Przrzeknij, że mi powiesz, gdyby coś było nie tak.

– Tak.

– Czas nauki jest tak krótki i tak ważny. Trzeba go dobrze spożytkować. Mam nadzieję, że rozumiesz, o co mi chodzi.

Nie za bardzo rozumiała, ale pokiwała głową.

– Trzeba też korzystać w pełni z dzieciństwa. Niestety, człowiek nie uświadamia sobie tego, dopóki ono nie minie. Problemy, które się ma jako dziecko... są błahsze w porównaniu z tymi, z którymi muszą się mierzyć dorośli. Rozumiesz, Justine?

Znowu pokiwała głową.

Gdy tylko wyszedł, rozplakała się. Dopóki był w pokoju, przepełniała ją głęboka nadzieja, że może jakoś wejrzy w jej duszę, że poderwie ją szybkim ruchem z krzesła i uniesie prosto ku światłu.

Wszystko stawało się znowu tak beznadziejne i odrażające.

Leżała w łóżku na brzuchu, poduszka była ciepła i wilgotna od łez.

Justine biegła do lasu, do wykrotu. Rojowisko połyskujących nitek. Śnieg stopniał; brunatna, wilgotna trawa. Stukanie dzięcioła o pień.

W pokoju Myśliwego stała nadal choinka z jasnozielonymi miękkimi igłami.

Zwracając się do Justine, nazywał ją Stina.

Miał kiedyś żonę, na imię jej było Dora. Coś się z nią stało, czasem o tym wspominał, a w takich chwilach jego twarz w gnieniu oka się starzała. Nie był wtedy już tylko Myśliwym, przeszkadzało jej to, a mimo wszystko czuła się zmuszona tego słuchać. Raz za razem.

Miał kiedyś niewielką firmę, która sprzedawała artykuły ogrodnicze. Prowadził ją wraz ze swym najlepszym przyjacielem, który miał na imię Jack. Dora zajmowała się rachunkami, miała głowę do liczb.

– Nie mieliście dzieci?

Zadawała pytania, by to opóźnić.

Na jego twarzy pojawił się grymas zagubienia.

– Nie, nie zdążyliśmy.

Zbliżało się to najtrudniejsze, lecz nieuniknione.

– Którego dnia, gdy wszedłem do szopy...

Widziała wszystko, opowiadał jej to tyle razy, że miała cały ten obraz przed oczami: szczegóły, barwy; czuła nawet liliowy zapach talku Dory, tego, który codziennie rano po myciu wcierała sobie pod pachami.

Widziała drugiego mężczyznę, przyjaciela Myśliwego, jak pochylał się nad kobietą, widziała to jak w książce, jak na ilustracji z *Biblioteczki serc*. Ścięte na pazia włosy kobiety, czarne i gładkie, rozrzucone, opadające z ławy. Bluza mężczyzny z jeleniej skóry, rozchylona pod szyją. Widziała ich zbliżające się usta, drżące pożądaniem; czuła chłód w swoich palcach, robiło jej się duszno.

– Co było dalej? – wyszeptwała, a kot zeskoczył na podłogę i poszedł na rozcapierzonych łapach w stronę drzwi.

– Nie wiem – wybełkotał. – Nie mam pojęcia, co się z nimi stało.

Wtedy podeszła do Myśliwego i dotknęła jego policzka. W kuchni było ciepło, piec zaczął już buzować.

– Zapomnisz o mnie, gdy dorośniesz – powiedział, a karty zniknęły w jego wielkich dłoniach.

– Nigdy! – zawołała, a potem wybuchnęła płaczem, bo zaczynała rosnąć, bo była już w drodze ku dorosłości.

– Czasem staję na wzgórzu i krzyczę – zwierzył się Myśliwy. – To zwykle pomaga. Inni myślą wtedy, że człowiek zwariował i wsadzają go do psychiatryka. Ale wykrzyczenie się pomaga.

Wyszła na zewnątrz. Świeciło się w oknie kuchennym, ale nie patrzył za nią, siedział przy stole nakrytym ceratą w kwiaty i układał pasjansa za pasjanssem. Wspięła się na górę, stanęła na samym szczycie. Wiatr w oczach, wiatr w ustach, gdy otwierała je tak szeroko jak u dentysty.

Nie wydobyla jednak z siebie krzyku.

– A co twoi rodzice na to, że tu przychodzisz? – zapytał, pochylając nieco głowę, tak by popatrzeć na nią znad okularów.

Mało nie powiedziała mu o kobiecie-zmorze. Była już jednak starsza, a to określenie jakby przybladło.

– Samotny mężczyzna nie może mieć czystych intencji – mruknął.

– Wszedł mi, widzisz, wygrałam!

– Nie o tym teraz mówię.

Nie. Dobrze wiedziała, że nie. Przez jego umysł przepływał wzburzony strumień dorosłych myśli, grożąc wystąpieniem z brzegów.

Wzięła kurtkę i wyszła.

Goniły ją zboczem góry przy kąpielisku Allmänna badet. Była już blisko domu, lecz nie czuła się bezpiecznie. Ognisty anioł Berit z rozwianymi lokami, za nią Ewy i Gerd, dziewczynka z miasta, która trafiła do rodziny zastępczej. Jej rodzice rozwiedli się, rozproszyli niczym plewy na wietrze. Justine słyszała, jak Flora mówiła tak do ojca.

Plewy na wietrze.

Gerd była wysoka i chuda, umiała pyskować. Już pierwszego dnia wchłonął ją blask bijący od Berit. Szybko nauczyła się wierszyków i wylizanelek.

Nie zdołały jeszcze zrobić najgorszego. Obnażyć jej, pokazać w świetle i opluć tego, co zobaczą. Wiedziała, że któregoś dnia im się to uda i dawało jej to siłę do ucieczki.

Gerd z długimi, silnymi nogami. Coraz bliżej, dogoniła ją i przewróciła. Justine krzyczała, opierała się, poczuła coś śliskiego, lepkiego pod paznokciami.

– Zobacz, jak cię podrapała! – krzyknęła Berit. – Krew spływa ci aż na szyję.

Gerd siedziała jej na brzuchu, ręce unieruchomione pod plecami. Biła ją po policzkach, raz, dwa, raz, dwa. Zarzuciła jej na głowę kurtkę, zawiązała rękawy. Szarpała ją za spodnie. Justine poczuła coś szorstkiego i dotkliwie zimnego.

Wówczas obudziła się w niej niemal zwierzęca siła i rzuciła się gwałtownie w bok. Gdy zbierała się do biegu, doprowadzając równocześnie do porządku ubranie, wywinęła jej się stopa. Upadła, widziała w zapadającej ciemności ich oczy, jak białeły i odpływały.

Przyszła po nią Flora.

Do ich domu zadzwoniły dwie dziewczynki. Justine przewróciła się na wzgórzu. Flora chwyciła za płaszcz i wyszła.

– Wzięłam płaszcz i natychmiast przybiegłam. Dlaczego biegacie tutaj na górze?

Justine się ocknęła. Leżała nadal na ziemi, wpatrując się w mgłę przed oczami, nie mogła wstać.

Co ktoś taki jak Flora mógł na to wszystko poradzić?

– Dziewczynki, pomóżcie mi ją zabrać do domu. Chwyćcie za nogi, a ja ją wezmę pod ramiona.

Kiedy znowu poczuła ich dotyk, zaczęła marznąć.

Gerd i Berit mówiły jedna przez drugą.

– Bawiliśmy się tutaj i Justine nagle się poślizgnęła, bardzo się przestraszyliśmy, bo stało się z nią coś dziwnego, w ogóle nie kontaktowa-

ła, a wtedy pomyślałyśmy, że najlepiej będzie przyprowadzić jej mamę. Pobieglyśmy na wszelki wypadek razem, a Ewy miała z nią zostać.

– Ciebie nie znam – powiedziała Flora, przypatrując się z ciekawością Gerd.

– Nie, jestem w rodzinie zastępczej, mieszkam u Östmanów.

– Aha, u nich. A co z twoimi rodzicami?

– Rozwiedli się, nie mieli siły się mną zająć.

– Naprawdę? – Flora sprawiała wrażenie rozbawionej.

Wniosły ją do środka, położyły na niebieskim dywanie. Nawet nie spojrzały w jej stronę, powiedziały, że muszą lecieć do domu, że czas na obiad.

– No to biegnijcie – odparła Flora.

Gdy ojciec wrócił z pracy, zapakował ją do samochodu i zabrał do szpitala. Leżała na tylnym siedzeniu, a Flora siedziała zwrócona w jej stronę i trzymała ją za rękę.

– Bawią się, szaleją jak cielaki na pastwisku – rzuciła. – Nie uważasz, że są już na to trochę za duże?

Ojciec milczał, jechał jak wariat przez most Tranebergsbron. Przed szpitalem wziął ją na ręce i niósł całą drogę.

Kostka była złamana. Założyli jej gips aż po kolano. Czowała się ciężka, lecz zadowolona.

– Nie powinna się w zasadzie ruszać przez te sześć tygodni.

Ojciec oznajmił:

– Załatwię jej prywatnego nauczyciela. Niedługo koniec roku.

Flora:

– Przecież ja mogę ją uczyć.

Ojciec:

– Nie wątpię. Ale znam pewnego młodego człowieka, który ma teraz czas. Mark, syn mojego kuzyna Percy’ego. Dam mu zarobić trochę grosza, jeśli będzie przychodził do nas na kilka godzin dziennie.

Rodzice Marka byli dyplomatami. Mieszkali przez wiele lat w Waszyngtonie i właśnie niedawno wrócili do Sztokholmu. Nie było wiadomo, dokąd teraz zostaną wysłani.

Mark pojawił się już następnego dnia z bukietem żółtych tulipanów.

– Dla cierpiącej – oznajmił, wchodząc ostrożnie do pokoju. Był szczupły, niskiego wzrostu, ręce zimne od potu. Oczy brązowe jak orzechy.

– Czego chciałabyś się nauczyć, daleka kuzynko? – zapytał głosem dorosłego mężczyzny.

– Daleka kuzynko? – Siedziała na łóżku, oparta o ścianę, noga wyprostowana, nieruchoma.

– Jesteśmy dziećmi osób, które są kuzynami. Twojego i mojego ojca. Jesteśmy więc dalekimi kuzynami.

Nie podobało jej się to określenie. Zignorował to.

– No to jak? Czego chciałabyś się nauczyć?

Poczuła przypływ zuchwałości.

– Niczego, umiem już wszystko.

– *Really?**

– No nie... żartowałam...

Mark wyciągnął z kieszeni marynarki książkę. Przekartkował ją, rozłożył. Litery były małe, ściśnięte, wszystko się zlewało.

– Przeczytaj może ten fragment po angielsku. Potem odpytam cię ze słówek.

Zaczerwieniła się, nie była w stanie wymawiać słów ani po angielsku, ani po szwedzku.

Uśmiechnął się pogardliwie.

– To, co mówią o szwedzkiej szkole, to chyba prawda. Prawdziwy *shit*.

– Boli mnie stopa – szepnęła.

– Wcale ci nie wierzę.

* Naprawdę? (ang.).

- Ale tak jest!
- Gdzie cię dokładnie boli?

Pokazała na gips. Odwinął wtedy jej spódniczkę i objął dłońmi nogę, tuż nad kolaniem.

Gdy poszedł, zrobiła to jeszcze raz. Przyłożyła swoją dłoń do tego samego miejsca i przesuwając ją powoli w górę, aż pomiędzy udami rozszedł się bolesny, gorący skurcz. Pulsujący ból, który promieniował do samego mózgu.

16

Berit wybrała się jeszcze raz do Hässelby już w następną sobotę. Kupiła butelkę Gran Feudo i doniczkę wątlých krokusów. Nie uprzedziła o swojej wizycie, po prostu pojechała.

Dzień był mglisty. Zamiast wsiąść w autobus na końcowej stacji metra, zrobiła sobie spacer drogą wzdłuż plaży. Czuła narastającą panikę, lecz nie mogła się już dłużej przed tym bronić, musiała znowu stanąć twarzą w twarz z Justine.

W nocy miała sen; Tor potrząsał nią, krzyżąc, żeby się obudziła.

– Dopadły cię zmyry? – zapytał. – Czy może twój szef?

Jakaś impreza w wydawnictwie. Byli tam wszyscy, o dziwo nawet Justine. Berit miała na sobie przesadnie elegancką suknię, z głębokim dekoltem i z przodu, i z tyłu. Wszystko było nie tak. Krążyła wśród zebranych, próbując ich zagadywać, lecz zachowywali się, jakby jej nie dostrzegali.

Może to przez te tabletki sobrilu, nadal je zażywała, ciężko jej było bez nich zasnąć. A może przez wspomnienia z przeszłości, z dzieciństwa.

Tor zaproponował, by pojechała z nim na Vätö, zamierzał zostać tam na noc, uważał, że morskie powietrze dobrze jej zrobi.

– Mógłbym przyrządzić bliny. Mamy przecież w zamrażarce ikrę z sielawy, prawda?

– Nie chcę – odparła. – Nie mogę teraz, nie chcę.

Na lodzie utrzymywała się cienka warstewka wody. Nadleciało kilka kaczek, lądowały na zamrożonej tafli jeziora i ślizgały się, dopóki się samoistnie nie zatrzymały. Stary kuter przycumowany do mola, gdzie woda nigdy nie zamarzała z powodu ścieków z elektrowni. Kilku ubranych na ciemno mężczyzn na nabrzeżu. Dojrzała jak przez mgłę nazwę statku: „Sir William Archibald” ze Sztokholmu.

Naraz: odległy, przybierający na sile dźwięk. Terkotliwy huk helikoptera. Mgła zrobiła się zbyt gęsta, by dało się go dojrzeć, ale słychać było, że się zbliża.

Odgłos helikoptera przywodził jej zawsze na myśl przedstawienie *Miss Saigon*, które obejrzała razem z przyjaciółkami w Londynie. Dostały świetne miejsca, ale przeraził je zaskakująco głośny huk silnika helikoptera w prologu. Pamiętała też zakończenie, opadającą kurtynę, mocne światło bijące prosto w twarz. Wiele osób płakało, okej – było sentymentalnie, lecz przede wszystkim niesamowicie smutno.

Po przedstawieniu poszły do pubu, gdzie Berit konwersowała z przystojnym bezrobotnym młodzieńcem, który upierał się, by zwracać się do niej *Mum*. Świetnie się bawiła, dała się wciągnąć w rozmowę, zdumiewał ją własny zasób słów. Następnego ranka miała już tylko ochotę jechać do domu.

Hałas był coraz bliżej, a światła reflektorów omiały ziemię z wysokości kilkunastu metrów. Poczowała pulsującą panikę – a jeśli jej nie zauważą, jeśli zamierzają wylądować akurat tutaj? Odsunęła się gwałtownie, wchodząc w śnieżny nasyp.

Ogromna maszyna minęła ją tak blisko, że strącone przez nią krople wody z drzew zmoczyły jej twarz. Helikopter należał do marynarki. Przelatywał tam i z powrotem, węszył tuż przy brzegu, widziała skuloną sylwetkę pilota. Czyżby szukali kogoś, pod kim załamał się lód? Kogoś, kto właśnie teraz tkwił w lodowatej wodzie Mälaren, walcząc o życie?

Może Justine nawet nie było w domu. Przyszło jej to do głowy, gdy stała już na schodach, naciskając dzwonek. Nikt nie otworzył. Odczekała chwilę i zadzwoniła ponownie. Usłyszała w środku odgłosy lekkiego szurania i cofnęła się o jeden stopień.

Justine była jednak w domu, jej ubranie wyglądało, jakby w nim spała, całe pomięte. Na jednej stopie miała grubą skarpetę.

– Berit? – zdziwiła się.

– Tak, ja... Mogę wejść na chwilę? A może jesteś zajęta?

Justine odsunęła się od drzwi.

– Ależ nie, wejdź.

– Mam dla ciebie kwiaty, no i... tę butelkę wina. Wypiłam ci w sobotę całego grzańca... Myślałam, że... Przepraszam, że tak się narzucam.

– Przestań! Rozbierz się!

Gdy szły w stronę kuchni, Berit zauważyła, że Justine kuleje. Przystanęła z opuszczonymi rękami.

– Co ci się stało?

– Nic takiego, poślizgnęłam się podczas biegania. Bez sensu jest biegać zimą, dopiero teraz to do mnie dotarło. Ale ból wkrótce ustąpi, już jest lepiej.

– Nic sobie nie złamałaś?

– Nie, ta stopa jest osłabiona, od dawna. Łatwo ją zwichnąć, przytrafia mi się to dość regularnie.

– Naprawdę?

– Jak przyjdiesz następnym razem, wszystko będzie w porządku, może wybierzemy się na spacer. Odwiedzimy stare kąty. Szkołę i...

– Dobrze... A co robiłaś, zanim przysłałam? Przerwałam ci coś ważnego?

– Skąd!

– Nie masz nic przeciwko temu, żebym posiedziała trochę u ciebie?

– Wręcz przeciwnie. Ale chyba nie otworzymy od razu wina czy tak? Która godzina? – Justine zachichotała. – Stary Luter zawsze zagląda człowiekowi przez ramię.

– Wino to prezent dla ciebie, nie zamierzałam ci go wyduldać.

– Bądź tak miła i otwórz tę butelkę! Korkociąg jest w najwyższej szufladzie w kuchni. Usiądziemy sobie w bibliotece, tam gdzie siedzieliśmy ostatnio. To najprzytulniejsze miejsce w domu.

Weszły po schodach. Berit zobaczyła plakaty z fabryki cukierków ojca Justine, wisiały tam, gdzie zawsze; od razu wróciły wspomnienia.

– Pamiętasz pastylki Sandy, które dostawaliśmy od ciebie? – zapytała ostrożnie.

– Może i tak.

– W twoim tornistrze zawsze była masa pudełeczek z cukierkami.

– Ojciec wciąż znosił je do domu, w końcu miałam ich powyższej uszu. Wolałam wreszcie poczuć w gębie inny smak niż pastylki Sandy.

– Ale i tak ci zazdrościliśmy... Ojciec posiadający fabryki słodczy!

– Tja...

Gdy znalazły się w bibliotece, ptak siedział w niszy okiennej. Zwrócił głowę w ich stronę i wrzasnął. Berit zadrżała, mało co nie upuściła butelki.

– Ojej, przestraszył cię?

– Wrzasnął tak...

– On tylko daje do zrozumienia...

– Jak to daje do zrozumienia?

- Że nie wolno o nim zapominać.
- To mu raczej nie grozi! Nigdy cię nie zaatakował?
- Zaatakował? Nie. Dlaczego miałby to robić?
- Nie wiem. Ja tam bym się nie odważyła zaufać takiemu dzikiemu zwierzęciu.

Justine wzięła od niej butelkę i nalała wina. Wzniosły toast, pociągnęły kilka łyków.

– Mm – zamruczała Berit. – Całkiem niegłupie. Tak naprawdę to chyba popijam trochę za dużo wina. Ale to takie dobre, rozgrzewa człowiekowi duszę.

Znowu usłyszała helikopter, jakby wisiał nad samym domem. Ptak zatrzepotał wielkimi skrzydłami, potrząsał głową.

- Pod kimś załamał się lód – objaśniła Justine.
- Skąd wiesz?
- Słyszałam w lokalnym radiu.
- Coś strasznego.

Justine pokiwała głową.

- Zdarza się to co roku. Mieszkam tutaj, więc się orientuję.
- Czy ten lód nie jest zbyt słaby, żeby po nim chodzić?
- W niektórych miejscach trzyma całkiem dobrze, a w niektórych pęka. Ludzie powinni rzeczywiście bardziej uważać. Ale idiotów nie brakuje...

Justine roześmiała się i znowu uniosła kieliszek.

- Za ich zdrowie! – wzniosła toast. – Zdrowie idiotów!

Po chwili zapytała, co z pracą Berit.

- Dostałaś wymówienie? Jak poszło?
- Wydawnictwo ma się przenieść do Luleå. Szef mówi, że pracownicy też. Tylko kto miałby ochotę przeprowadzić się do Luleå?
- Masz jakiś wybór?
- Nie wiem... Ja już nic nie wiem... Nie mogę spać po nocach... Nagle wezbrał w niej płacz, osłabiający, obnażający.

- Przyjeżdżam tu do ciebie i tylko... się mażę.
- Bo nosisz w sobie rozpacz. Podobnie jak wszyscy inni...

Justine wyciągnęła rękę i wydała z siebie gruchający odgłos. Ptak podreptał trochę po parapecie, a potem podfrunął do niej z niezdartymi uderzeniami skrzydeł.

– Nawet ptak – dodała. – Potrzebuje samicy. Właściwie nie zdaje sobie z tego sprawy, ale budzi się w nim coś, co pozbawia go sił. Niedługo zrobi się jaśniej, nadejdzie wiosna. Wtedy ta tęsknota przerodzi się w smutek, jak u wszystkich żywych stworzeń.

- Justine... gdy byliśmy małe...

Placz był obezwładniający, słowa grzęzły w gardle.

Justine rzuciła szybko:

- Opowiedz mi o swoich chłopcach.
- O moich... chłopcach?
- Tak. Jak im się ułożyło w życiu? Ci młodzi ludzie, którzy mają jeszcze wszystko przed sobą, czy oni też odczuwają smutek?

Berit wyciągnęła z torebki chusteczki. Wytarła nos, łomotało jej w głowie.

- Smutek? Nie, nie sądzę.
- Pracują?
- Obaj... obaj się jeszcze uczą. Ale nie wiedzą, co będą robić w przyszłości. Na pewno nic w branży wydawniczej, wybiłam im to z głowy.
- Mają dziewczyny?

Pokiwała głową.

– Ale one należą do zupełnie innego świata. Młode, zgrabne, piękne. Gdy je widzę, czuję bardziej niż kiedykolwiek, że ja już jestem *passé*.

Justine posadziła ptaka pomiędzy nimi na stole. Zwrócił dziób ku Berit i syknął.

– Rany, Justine... nie mogłabyś...

– Boisz się go i on to od razu wyczuł. Spróbuj zachowywać się naturalnie, rozluźnij się.

Berit upiła wina, po czym wyciągnęła wyczekującą rękę. Ptak otworzył dziób, miał wielką, czerwoną gardziel.

– On mnie przejrzał – szepnęła. – Nie lubi mnie.

– No co ty. Po prostu nie zwracaj na niego uwagi. Poza tym mogę go stąd zabrać.

Wstała i podeszła, kulejąc, do regału. Ptak ruszył za nią, usiadł na jej ręce. Podniosła go na wysokość ostatniej półki, a on rozsiadł się na niej jak przyczajone prehistoryczne zwierzę.

Skąły, okrągłe wzniesienie. Ciało Justine. Kurtka zarzucona na głowę. Zaczął jej rosnać biust, piersi były już spore. Ta dziewczynka z rodziny zastępczej; jak siedziała okrakiem na Justine i zaczęła ściągać z niej spodnie. Jak potem wszystko się zmieniło, bo Justine się wyrwała i pobiegła, ale poślizgnęła się i upadła jak długa na skalnej płycie.

Jak potem biegły, biegły.

– Zabiłyśmy ją.

– Uciekajmy!

– Głupia jesteś, musimy kogoś sprowadzić, jej matkę.

– Nie, nie, uciekajmy.

– Nie możemy, musimy sprowadzić pomoc.

– Kurwa, sama będziesz sobie winna, jak wpadniemy przez nią.

Nazywała się Gerd, niespodziewanie przypomniała sobie jej imię. To Gerd sprawiła, że pobiegły do domu Justine.

– Powiemy, że się potknęła, że się bawiłyśmy, że po prostu upadła.

Dzwoniły do drzwi, mocno i uporczywie. Po chwili stanęła w nich mama Justine, z głową całą w papilotach. Popatrzyła na nie nieufnie, powiedziała, że jest zajęta.

Musiały poczekać, aż zrobi porządek z włosami, stały w przedpokoju; zapach szamponu i dymu. Kobieta chwyciła swój płaszcz, zerknęła przez ramię na łydkę.

– Pończocha! Jasna cholera!

– Niech pani już idzie... – Gerd chwyciła za płaszcz, że też się odważyła.

– Gdzie to się stało?

– Tam przy skałach.

– Mówiłam, żebyście byli ostrożne. Ona nigdy nie słucha, a wy... wy jesteście równie nieposłuszne.

Właśnie to słowo: nieposłuszne. Nie przestając ich strofować, parla naprzód w płaszczu i gumiakach. Justine wyciągnięta na płycie skalnej. Była już porządnie ubrana, tylko kurtka leżała obok z zawiązanymi rękawami. Patrzyła na nie wzrokiem ofiary.

– Widzisz, obaliliśmy flaszkę w błyskawicznym tempie – stwierdziła Berit. – Miała być dla ciebie, przyniosłam ci ją w prezencie.

– Zauważyłaś, że teraz w butelkach jest o wiele mniej trunków niż kiedyś?

Berit zmięła chusteczkę i włożyła ją z powrotem do torebki.

– Zauważyłam – odparła.

– Mam więcej wina w piwnicy.

– Tak?...

– Ty musisz po nie pójść, bo ja nie dam rady zejść na sam dół.

– Jesteś pewna? Będziemy dalej...

– Drzwi na lewo... w tym samym pomieszczeniu, gdzie jest stary kocioł do gotowania bielizny. Sama zobaczysz.

Podniosła się sztywno, w obawie, że jej ruchy sprowokują atak ptaka. Justine roześmiała się, a w jej głosie pobrzmiwał ton, jakiego Berit nigdy wcześniej u niej słyszała.

– Ruszasz się jak jakiś pokurcz. Ale masz pietra! Do cholery, to przecież tylko ptak!

Nie chodziło tylko o ptaka. Znowu znalazła się w przeszłości – te same schody, ona i Jill, ich zespolone siły, zmowa przeciwko Justine, woń uległości i upokorzenia. Pamiętała też, co mała Justine mówiła wtedy o kotle. Flora. Tak nazywała się kobieta z wymalowanymi oczami, kobieta laleczka, grająca rolę matki.

Butelki zobaczyła od razu. Leżały ułożone w stosy na półce, jak mówiła Justine. W piwnicy było ciemno, nie znalazła kontaktu. Wpatrywała się z lękiem w kocioł, oglądała go oczami małej dziewczynki. Przegroda na drewno; czy Flora wsadzała dziecko do kotła wypełnionego wodą i podpalała? Siedzieć w czymś takim i czekać, aż woda zrobi się gorąca. Aż zrobi się wrzątek.

Przycisnęła butelkę do piersi i pobiegła na górę.

– Justine... jest sporo spraw, które musimy sobie wyjaśnić.

Justine pokręciła głową.

– Ależ tak! Tak! Musisz mnie wysłuchać, to mnie zadręcza, nie daje mi spokoju.

Oczy Justine przybrały jakiś dziwny wyraz.

– Chcesz mnie prosić, bym puściła w niepamięć wszystko, co się kiedyś zdarzyło, prawda?

– Tak...

– Nigdy nie rozpaczaj – kochaj, milcz, przebaczaj.

– Owszem, coś w tym rodzaju, chodzi mi o przebaczenie albo o... pojednanie...

Justine patrzyła na nią w milczeniu. Przeciągnęła dłonią po sterczących włosach, po czym wybuchnęła gwałtownym, chrapliwym śmiechem.

– Kobieto, odkorkujże wreszcie to cholerne wino!

17

Mark przychodził codziennie i uczył ją. Dotykał jej, lecz niezbyt często. W jego oczach była tylko dzieckiem.

Jego postawa prowokowała ją. Brodawki jej piersi zaczęły się zmieniać, skóra wokół nich była wrażliwa i obolała. Zrezygnowała z noszenia spinki we włosach, schowała ją i postanowiła jej więcej nie wyjmować.

– Opowiedz mi o Ameryce – poprosiła.

Zaczął wtedy mówić po angielsku, tak szybko, że nie miała najmniejszej szansy nadążyć. Rzuciła w niego poduszką, prosto w jego szyderczą twarz.

Położył się na niej, przytrzymał ją za ramiona.

– Ale z ciebie gówienko.

Rozwścieczona machnęła zdrową nogą, kopnęła go kolanem w kroczę. Zbladł i padł na podłogę przy łóżku.

Miał dziewczynę w Waszyngtonie.

– Jak wyglądała?

– Jak wygląda – poprawił ją.

– No to jak ona wygląda?

– Piwne oczy, duże cycki.

Brzmiało to okropnie.

– Ma na imię Cindy. Pisze do mnie co tydzień.

– Kochasz ją?

Uśmiechnął się pogardliwie.

– No, odpowiedz, kochasz ją?

Stanął wtedy przy oknie i zaczął naśladować ręką ruchy kopulacji przy swoim rozporku.

– Weź się wreszcie do czytania. Nie płacą mi za wygadywanie bzdur.

– To jest dla mnie za trudne. Nie dam rady.

- Czytaj!
- *The new man stands looking a minute, to get the set-up of the day room**.
- Njuuuu, a nie neu. Njuuuu.
- The njuuu man...
- To cholernie dobra książka, Justine, ale ty jesteś za mała. Niestety. Jesteś o wiele za mała, tyle rzeczy cię omija.
- Wyprowadził ją całkiem z równowagi.
- To co mam zrobić?
- Nie da się nic zrobić. Tak po prostu jest!
- Jaki ty jesteś głupi!
- A jak twoja stopa? Czy wreszcie kiedyś się zagoi?
- No pewnie.
- A co ci się właściwie stało?
- Przewróciłam się. Na skałkach.
- Musisz nauczyć się chodzić jak ludzie.
- Chodziłam jak ludzie. Ale się poślizgnęłam!

Nie, wcale nie była za mała. Leżała wieczorami zwrócona w stronę ściany i fantazjowała, jak mogłoby być. Ona i Mark razem, w zupełnie inny sposób. Dotykała swoich piersi; gdyby tylko jeszcze urosły. Jej ręka przesuwała się w stronę tego grzesznego miejsca, którego było tak rozkosznie dotykać. Ogarnęło ją jakieś zniecierpliwienie, chciała się wyrwać, znaleźć się daleko. Gips był jednak jak kajdany, choć chronił ją przed tym, co na zewnątrz, równocześnie przemieniał ją w więźnia.

W końcu, gdy zima całkiem ustąpiła, zdjęto go, piłując i rozcinając. Obnażona noga była skurczona i osłabiona, bił od niej dziwny, kwaśny zapach.

* Nowy stoi przez chwilę i rozgląda się po świetlicy, żeby zorientować się w sytuacji (ang.). (Cytat z *Lotu nad kukulczym gniazdem* Kena Keseya, tłum. T. Mirkowicz).

Była już całkiem zdrowa. Szkoła się skończyła, boisko wypełniło się uczniami w kolorowych ubraniach i nauczycielkami ze świeżymi fryzurami, wciągnięto flagę na maszt.

Uniknęła tego wszystkiego.

Wyobrażała sobie, że będzie miała problemy z tą scherlącą nogą, lecz okazało się, że niepotrzebnie się martwiła. Zdarzało się, że puchła trochę w kostce i poboлеваła wieczorami, nie była jednak słabsza niż kiedyś. Justine mogła nadal chodzić i biegać, tak samo jak zawsze.

Stała osłonięta ścianami wykrotu. Na ziemi leżały papierki od cukierków.

Była sama.

Podążała leśnymi drogami i ścieżkami.

Myśliwy siedział na schodach i rzeźbił w kawałku drewna.

Weszła z lękiem na podwórko.

Zobaczył ją, ale milczał.

Usiadła obok niego; napięte mięśnie jego pleców; ręce, które wciąż strugały.

Siedziała koło niego i położyła dłoń na jego ręce. Skóra brązowa, stara.

Nie.

Nie była stara.

Weszła do wypucowanej kuchni. Umyta cerata, błyszczący zlewozmywak. Podłoga biała, zamieciona.

Wstał wtedy i wszedł za nią do domu.

– Po co tu przyszłaś?

– Przepraszam – wyszeptała. – To nie moja wina.

– Chcę, żebyś sobie poszła.

– Nie...

– Zabieraj się stąd, ale już!

Stała pod ścianą. Podeszła do niego, jej biodra dotykały jego dzinsów.

- Stina!
- Obejmij mnie, czułam się taka samotna.

Zamknęła drzwi na klucz. Położyła się na kocu. Był szary i ciepły, wcześniej siedział na nim kot. Podciągnęła pod siebie kolana, skuliła się.

Jego sylwetka na tle okna.

– Złamałam nogę – szepnęła, choć wcale nie zamierzała mu powiedzieć.

- Stina...
- Chodź, połóż się koło mnie, ogrzej mnie.

Zrobił to, o co prosiła.

- Mówiłem ci, że masz sobie iść.
- Cicho! – nakazała.

Podbródek przy jego piersi, drobne kręcone włoski. Smak powietrza, soli.

Jego ręce były teraz tak silne, była młoda, a on stary. Jego podbrzusze, odsłonięte i wrażliwe. Zanurzyła w nim język i wargi.

Potem.

Mężczyzna.

Płakał przez nią, przeraziła się. Gdy ujrzał jej strach, odzyskał siły. Trzymał ją na wysokości pasa, tak że obejmowała go nogami.

- Stina – wyszeptał. – Czy wiesz, że to jest zakazane?
- A kto o tym decyduje?

Pochyliła się nad nim i zrobili to jeszcze raz. Poruszał się w niej, a ona się wiała, lecz pozwoliła mu tam zostać.

Za każdym razem odczuwał potem skrucę.

Musiała go wtedy głaskać, szukać odpowiednich słów, płakać, próbować go otworzyć.

- Wrócę do ciebie, nigdy cię nie opuszczę.

Dzień w dzień: wykrot, dom.

Zdarzało się, że wychodził, drzwi były zamknięte na klucz. Czekwała na podwórzu. Później nauczyła się odsuwać blokadę okna. Leżała w jego pościeli; jego zapach wokół jej łędźwi.

Powiew chłodu. Stał w promieniach światła, w ręce odchylony koc. Odwrócił od niej twarz.

Huknął pięścią w stół: nie!

– Nie możesz – szeptała; bolały ją usta i szczęki. – Nie możesz mnie wyrzucić.

Naga na jego kolanach; szwy dżinsów. Delikatny szmer deszczu.

– Słyszysz kosa w lesie? – zapytała.

– Zamierzasz rozmawiać o kosach?

– Słyszysz jego pieśń?

– Dlaczego pozbawiasz mnie sił, dlaczego mi to robisz?...

Materiał jego spodni wyrzusał się przy jej udach.

– Słaby... czyżby?

Muśnięcie śmiechu, radości. Jak podniósł ją niczym delikatnego, trzepoczącego motyla. Nosił ją po całym pokoju. Otwierał jej zwinięte liście.

Za każdym razem była zdumiona, była wiotka jak trzcina, a on...

– Wydaje mi się, że mnie przepołowisz...

W tej jasnej chwili nie był już w stanie słuchać, był jak trzepocząca w powietrzu ryba; lśnienie na jej brzuchu.

Potem wstał i skurczył się.

Któregoś dnia musiała mu powiedzieć o wyspie.

– Jutro jedziemy na szkiery. Zostaniemy tam jakiś czas. W starym domu, który należał do moich dziadków. Stoi na wyspie. Musimy popłynąć łodzią, inaczej nie da się tam dotrzeć.

Jeśli sądziła, że nie powie nic, myliła się.

Chciał wiedzieć wszystko.

– Tata wziął wolne, zostaniemy tam przez jakiś czas. Na wyspie nie ma zbyt wielu domów, najwyżej kilka, żywność przywozi statek wycieczkowy. A mimo to są ludzie, którzy mieszkają tam przez cały rok, może łowią ryby, jak oni sobie właściwie radzą? Będę mogła urządzić sobie pokój, będzie tylko mój, pomogę w malowaniu. Tata przyniósł do domu próbki tapet, już wybrałam.

Patrzył na nią z powagą.

– Chcę, żebyś teraz mnie posłuchała. Kiedy wrócisz, mnie tu nie będzie. W pewien sposób ty mnie do tego zmusiłaś, ale nie winię cię za to. Nie ma w tym absolutnie twojej winy.

Była zbyt przepełniona przyszłością, by słuchać. Siedziała w jego objęciach, gładziła jego miękkie uszy.

– Gdy zerwiemy dojrzałe jabłka, zapiekę cię w jabłeczniku, a potem wytnę kawałek z tobą w całości. I zjem cię, z lodami i z sosem waniliowym. Ale teraz muszę już iść do domu.

18

Rodzice Svena zawsze zdumiewali Florę. Było w nich coś wulgarnego, coś, co kłóciło się z ich pozycją i statusem społecznym. Oboje byli postawni, hałaśliwi, do tego teść miał mocno przytępiony słuch, więc teściowa musiała podnosić głos, by ją usłyszał. Używali wulgarnych słów i wyrażeń, najwyraźniej po to, by szokować. Obserwowali otoczenie z dziecięcą fascynacją, wyczekując reakcji.

Sven próbował ją na to przygotować.

– Muszę cię uprzedzić, że zachowują się nieco specyficznie.

Gdy pracowała jeszcze jako sekretarka, Ivar Dalvik pojawiał się niekiedy w biurze i zostali sobie przedstawieni. Ucisnął jej mocno dłoń i zapytał dwa razy, jak się nazywa.

– Ach, Flora... A można panienkę zerwać? – zażartował. – Gdyby człowiek chciał się dowiedzieć czegoś na temat wewnętrznej natury kwiatu?

Nigdy nie bawiło ją tego rodzaju poczucie humoru.

Teściową poznała dopiero wtedy, gdy została narzeczoną Svena.

Nigdy nie zyskała poczucia, że ją w pełni zaakceptowali. Czasem rozmawiała o tym ze Svenem. Nie rozumiał, o co jej chodzi. Uważał, że za bardzo bierze sobie wszystko do serca.

– Uważają, że jestem zbyt prostacka dla ich wytwornego syna, o to właśnie chodzi.

– Nie, Floro, nic z tych rzeczy. Tak naprawdę mają gdzieś, z kim się związałem. Może brzmi to dziwnie, ale faktycznie tak jest. Są, jacy są, to tylko dwoje egocentrycznych starsuszków, po co zawracasz sobie nimi głowę. My żyjemy naszym życiem, a oni swoim.

Nie pomogło. I tak czuła się, jakby nie była wystarczająco dobra. Jakby oczekiwano od niej, by była bardziej hałaśliwa, by mocniej gestykulowała, podobnie jak robili to oni.

Właściwie nie utrzymywali zbyt ożywionych kontaktów, co wzbudzało w niej ambiwalentne odczucia. Z jednej strony pogardzała nimi, z drugiej wolałaby, by mieli sposobność lepiej ją poznać i docenić jej zalety – była przecież energiczną, dzielną kobietą.

Zachwycali się Justine i przesyłali dla niej drobne prezenty, lecz kiedy spotykali wnuczkę osobiście, zasypywali ją pytaniami, nie mając wystarczająco cierpliwości, by wysłuchać odpowiedzi. Postrzegali ją w nieco staroświecki sposób: dziewczynki są takie słodkie. Nie należało jednak inwestować w ich przyszłość. Nigdy nie padła na przykład propozycja, by zacząć przyzuczać Justine do przejęcia rodzinnego przedsiębiorstwa. Lepiej było ściągnąć kogoś z zewnątrz – oczywiście mężczącnę.

Gdy przekroczyli siedemdziesiątkę, stracili zresztą zupełnie zainteresowanie sprawami koncernu Sandy. Przekazali go w ręce jedyne

syna. Teraz prowadzenie dalszej działalności i zapewnienie zysków należało do niego. Nie interesowało ich już, jak to zrobi.

Zmarli niemal równocześnie, najpierw teść. Flora ze Svenem podróżowali właśnie po Włoszech. Kiedy wrócili do domu, żył jeszcze, ale kilka dni potem umarł w szpitalu Karolinska.

Flora pamiętała to dokładnie: rozmowa telefoniczna, odebrał Sven, jego reakcja, jakby stanął na baczność. Odłożywszy słuchawkę, odwrócił się do niej i powiedział zupełnie normalnym tonem:

– Nadszedł jego czas, powinniśmy wracać do domu.

Jego matka czekała na nich w holu szpitala ubrana w jasnoniebieską bluzkę bez rękawów odsłaniającą obwisłe ramiona. Stała przed wejściem i paliła. Gdy wchodziła przed nimi do windy, mało nie upadła, ledwo mogła mówić, głos jej się łamał, jakby został okaleczony.

Flora nie widziała nigdy umierającego człowieka. Nawet tego lata, kiedy pracowała w szpitalu psychiatrycznym. Tamtejsze pacjentki były harde i złośliwe, czasem wręcz życzyła im śmierci. Szydły z niej i wyzywały ją od kurew. Jako kobiety szczególnego pokroju nie robiły tego świadomie, były chore, miały nie po kolei w głowach. Choć tłumaczyła to sobie tyle razy, nie pomagało. Codziennie rano, gdy zbliżała się do budynków szpitalnych, ogarniał ją niesmak.

Kiedy tylko znalazła się w sali teścia, poczuła ten specyficzny zapach, zwiastujący, że kończy się czyjeś życie. Wiedziała to od razu. Nie umiałyby go opisać, po prostu się tam unosił.

Stary człowiek leżał na plecach, podłączony do kabli i aparatury szpitalnej. Nos wystawał z zapadniętej twarzy niczym haczyk. Uniósł na kilka sekund powieki, ale nie spojrzął w ich stronę, wzrok powędrował w kierunku sufitu. Jego ręce błędziły, szukały po omacku, próbując uchwycić się czegoś, co utrzymałoby go przy życiu.

Teściowa się załamała.

– Ivar! – krzyknęła. – Do cholery, nie możesz mnie tak zostawić, zabraniam ci...

Coś drgnęło w jego ciele, podbródek wysunął się w przód i opadł na klatkę piersiową. Widząc to, teściowa zaczęła szarpać za pościel, łapać się kurczowo szczytu łóżka, wyć.

Jej zachowanie było niestosowne. Została wyprowadzona przez dwie pielęgniarki, które nafaszerowały ją lekami na uspokojenie. Jej mąż leżał martwy i opuszczony.

– Przygotujemy go i zapalimy świece – zaproponowała jedna z pielęgniarek. – Proszę na razie poczekać na zewnątrz i zająć się jego żoną.

Sven był wyraźnie wstrząśnięty.

– Nie, nie trzeba świec, my już... się pożegnaliśmy...

Chciał natychmiast stamtąd uciec.

Tydzień później nadeszła kolej na teściową. Przez kraj przetaczała się wówczas epidemia ciężkiej grypy. Choroba zatopiła w niej swe pazury, a ponieważ kobieta była złamana żałobą i szokiem, organizm nie zdołał zmobilizować sił obronnych.

Podwójny pogrzeb był orgią muzyki i kwiatów. Tak sobie bowiem życzycy, tak było napisane w pozostawionych przez nich papierach. Jakby się spodziewali, że umrą w tym samym czasie.

Zostawili po sobie kilka nieruchomości, które Sven od razu kazał sprzedać. Sześciopokojowe mieszkanie na Karlavägen, willa na riwierze hiszpańskiej i domek myśliwski w górach Åre. Do tego żółta willa z werandami i wykuszami, położona na jednym ze szkierów archipelagu sztokholmskiego.

Flora i Sven bywali w domu na wyspie. Odczuwała tam pewnego rodzaju radość, zadowolenie, poprosiła więc Svena, by zatrzymał ten dom. Ogarnęła ją ochota, by go przerobić na własną modłę, by nadać mu swój osobisty charakter. Sven miał podobne odczucia. Przez kilka przyjemnych, intensywnych tygodni snuli razem fantazje, robili plany.

Przewieźli tam całe tony rzeczy, które mogły się przydać. Drewno,

szpachle, skrobaczki i farby. Pewien człowiek z wyspy, jeden z niewielu stałych mieszkańców, obiecał pomóc. Bo Sven w sprawach praktycznych był, jaki był.

Salę szpitalną ogarnął zimowy mrok. Zapach smażonej ryby. Brzdęk talerzy na korytarzu, znowu czas na obiad.

– Ciekawe, co dzisiaj zaserwują – mruknęła Märta Bengtsson. Przerwy na jedzenie były dla współlokatorki Flory najważniejszymi wydarzeniami dnia. Miała zgoła groteskowy apetyt. Było w niej coś, co przypominało Florze teściową.

Märta siedziała na wózku z zawiązaną na szyi serwetką i próbowała jeść drżącymi, trzęsącymi się rękami, wydając przy tym głośne odgłosy. Mlaskała, chlapała i pryskała.

Jeden z białych fartuchów przysunął krzesło do łóżka Flory i zaczął ją karmić. Dziewczynie się spieszyło, widać to było po sposobie, w jaki wpychała łyżkę do ust Flory, zsuwając na jej język purée ziemniaczane. Była bardzo młoda – czy Flora też kiedyś taka była? Dziewczyna miała kolczyk w nosie, po przedramieniu pełzało wytatuowane zwierzątko.

Buzia jej się nie zamykała, jakby naczytała się w poradnikach metodycznych, że należy traktować pacjentów podmiotowo, mówić do nich, a nie o nich.

Märta Bengtsson próbowała odpowiadać, ale miała kłopoty z koordynacją, z jednoczesnym jedzeniem i mówieniem. Co chwilę coś stawało jej w gardle, biały fartuch musiał się zrywać, by jej pomóc.

– Dzisiaj jest chyba sobota – wydyszała Märta pomiędzy kęsami. – Pójdzie siostra się zabawić?

Biały fartuch nie był pielęgniarką. Nietrudno było dostrzec, że jest tylko asystentką o nader skąpym wykształceniu.

Dziewczyna zachichotała.

– Zabawić się, no tak, można tak powiedzieć.

– Może jest nawet jakiś Romeo, który smali do siostry cholewki?

– Jaki Romeo? Jakie znowu cholewki?

Kolejny atak kaszlu, Flora odwróciła głowę z obrzydzeniem. Popatrzyła w sufit, w błyszczące, oślepiające światło.

To tam, na wyspie, Flora zorientowała się, że z Justine jest coś nie tak. Zaczęło się już w czasie podróży. Dziewczyna nie była w stanie wysiedzieć w kabinie, wybiegała na pokład i przewieszala się przez reling, tak że aż bryzgała na nią piana. Wiało dość mocno, na grzbietach fal tworzyły się białe grzywy.

Flora rzuciła spojrzenie Svenowi.

– Ma chorobę morską – stwierdził rozdrażniony i wyszedł, by z nią usiąść. – Zawsze czuła się źle na wodzie.

Dom czekał na nich. Był chłodny, pochmurny dzień, w powietrzu wisiał deszcz. Na podwórzu leżały stopy drewna okryte płachtami brezentu, na których zebrały się maleńkie kałuże deszczówki.

Sven wyciągnął klucz.

– Moje panie – oznajmił, przybierając niefrasobliwy ton. – Znaleźliśmy się w naszym własnym letnim rajku.

Justine wybrała sobie pokój z oknami na wschód, wąski i wysoki, lecz niezbyt duży. Babcia nazywała go swoim gabinetem. Miała korespondencyjnych przyjaciół rozrzuconych po całym świecie, lecz nigdy nie wystarczyło jej cierpliwości, by zostać na wyspie na tyle długo, by zmobilizować się do pisania listów.

Jej białe biurko stało nadal w pokoju. Flora przejrzała szuflady w napięciu, jakby się spodziewała, że znajdzie jakieś notatki, coś, co dotyczyłoby jej samej lub Svena. Był tam jednak tylko jasnoróżowy papier listowy z szarym monogramem teściowej.

– Pamiętaj, Justine, że babcia chciała, byś dostała to biurko – powiedział Sven. Jakby mógł to wiedzieć. Jakby kiedykolwiek rozmawiał ze swoją matką o takich sprawach.

Po obiedzie włączano zawsze telewizor. Córki Märty Bengtsson kupiły jej odbiornik telewizyjny, który zamontowano przy łóżku. Nadawano teraz program o sportach zimowych, chyba jakieś zawody. Głośna muzyka, młodzi, silni ludzie śmigający po trasach biegów zjazdowych i po lodzie. Oglądanie ich sprawiało przykrość. Przymknęła oczy, bolały ją, jakby miała się rozchorować.

Nagle zapanowała cisza. Wszedł biały fartuch i namówił Märte do założenia słuchawek. Pozostała tylko migocząca poświata od ekranu, bez dźwięku.

Byłoby dobrze, gdyby się rozchorowała, gdyby dostała gorączki. Odizolowaliby ją od innych, wstrzymali odwiedziny Justine, przynajmniej nie mogłaby jej zabrać poza szpital. Strach podczas przejazdu samochodem tkwił w niej nadal. Jak zawroty głowy, jak powoli narastające przecucie.

Chcę umrzeć w sposób, jaki sama wybiorę.

W ogóle nie chcę umierać... Chcę żyć.

Na wyspie z Justine działo się coś dziwnego. Siedziała na krześle w kuchni i w następnej sekundzie zasypiała, z głową na blacie, posapując.

– Co ci jest? Jak można tak ni stąd, ni zowąd zasnąć? – zapytała Flora.

Justine spojrzała na nią, a jej źrenice zaczęły poruszać się tak gwałtownie, jakby odłączyły się od reszty oka.

Florze przyszły na myśl narkotyki. Podeszła do zgarbionej postaci, lecz nie poczuła żadnego zapachu, tylko jakby odpychanie, silne pole magnetyczne.

Justine cieszyła się, że może uczestniczyć w tapetowaniu pokoju, lecz nagle zabrakło jej sił. W samym środku dnia musiała się położyć. Leżała na plecach i chrapała jak dorosły lub bardzo stary człowiek. Jej cera zrobiła się blada i nalana, na ramionach i szyi pojawiły się wypryski. Swędziało, rozdrapała wszystko paznokciami do krwi.

– Nie widzę nic dziwnego w tym, że jest zmęczona – oznajmił Sven, wprawiając Florę w zdumienie, bo zwykle przy najmniejszym kichnięciu Justine dzwonił po lekarza.

– Dlaczego miałyby być bardziej zmęczona niż my?

– No przecież wiesz, to przez hormony. Jest w trudnym wieku.

W oczach Svena Justine zawsze przechodziła trudny, delikatny okres.

Któregoś ranka Flora usłyszała odgłosy dobiegające z łazienki. Były same z Justine, Sven popłynął gdzieś łodzią. Stała w przedpokoju; drzwi do łazienki otwarte na oścież, dziewczynka w środku w kucki, przewieszona przez sedes.

Gdy wyszła, miała nabrzmiałą twarz i była bardzo blada. Szła do swojego pokoju, kiedy Flora chwyciła ją za rękę.

– Popatrz na mnie! Chcę zobaczyć twoje oczy.

Justine odwróciła się w jej stronę jak lunatyczka. W głębi mieniących się zielenią tęczówek Flora ujrzała szokującą odpowiedź. Tak jak przeczuwała – nastoletnia Justine była w ciąży.

Flora bombardowała ją pytaniami, nie dawała spokoju. Kto jej to zrobił, kto wziął ją gwałtem?

– Nikt – łkała – nikt nie wziął mnie gwałtem.

– Pieprzone dziewczuszyko, sama jesteś jeszcze dzieckiem!

Sven stał pomiędzy puszkami farb, wysoki, lecz przygarbiony.

– Zostaw ją wreszcie! – krzyknął. – Daj jej spokój!

– Czy ty nic nie rozumiesz? Musimy ją zabrać do szpitala, trzeba się tego pozbyć!

Już dawno przestał prosić. Podniesiony głos przeszedł w rytmiczny wrzask:

– Każę-ci-zostawić-moją córkę-w spokoju!

On też zaczął zachowywać się dziwnie podczas pobytu na wyspie.

Wypuściła wszystko z rąk i popłynęła najbliższym statkiem do miasta.

Zadzwoiła do swojej siostry Violi, która pracowała w perfumerii w NK. Powiedziała jej, że przechodzą ze Svenem kryzys i że musi odebrać się od wszystkiego. Że potrzebuje czasu, by przemyśleć swoje sprawy.

Zamieszkała u niej, w trzypokojowym mieszkaniu na Östermalmsgatan. Poranne godziny spędzała sama, a wieczorami, po powrocie Violi, wychodziły razem do restauracji.

Miała wrażenie, że znalazła się pod szklanym kloszem.

Dni były rozżarzone słońcem, asfalt w mieście parował od gorąca. Nie musiała się o nic martwić. Wystarczyło siedzieć i słuchać siostrzanych anegdot ze świata perfum.

– Rozjaśnię ci włosy – oznajmiła Viola, po czym zaaplikowała jej masę różnych kuracji. – Zawsze dobrze wyglądałaś, ale chyba rozumiesz, nie można się zaniedbywać tylko dlatego, że już się wyszło za mąż. Myślisz, że znalazł sobie inną? Sprawdziłaś, jaką ma teraz sekretarkę? Musisz być dla niego miła, trochę go pokokietować. Ten facet to prawdziwa kopalnia złota. Do tego taki uprzejmy!

Pod koniec sierpnia wróciła na wyspę. Sven czekał na pomoście, był opalony i wyglądał zdrowo. Zachowywał się, jakby nic się nie stało. Objął ją w pasie, pocałował delikatnie w wyszminekowane usta.

– Floro, pięknie wyglądasz, brakowało mi ciebie, moja lalczko. Pokaż się, kupiłaś sobie nową sukienkę? Bardzo ci w niej do twarzy.

Prace w domu zostały wstrzymane, pokoje nie były jeszcze gotowe. Justine spała w hamaku.

Gdy wstała, było już widać.

Sven nadal nie chciał o tym rozmawiać.

W połowie września wrócili do domu.

– A szkoła? – zapytała. – Jak to sobie wyobrażasz?

– Skontaktowałem się ze szkołą.

– Co powiedziałaś?

– A jakie znaczenie ma to, co powiedziałem? Dostała zwolnienie z zajęć.

Justine przestała się nawet ubierać, łąziła po domu w zmechaconym szlafroku. I tak zaczynało brakować ubrań, które zasłoniłyby rosnący brzuch. Kupienie ubrań ciężowych oznaczałoby kapitulację.

Nie miało to większego znaczenia, bo i tak nigdzie nie wychodziła, nikomu się nie pokazywała.

Miało się to wydarzyć na przełomie zimy i wiosny.

Kim był ojciec? Czy to Mark?

Justine konsekwentnie milczała.

Cisza i przygnębienie wypełniły cały dom, od piwnicy po dopiero co zagospodarowany strych.

Gdy spadł śnieg, Justine zaczęła robić na drutach. Spruła stary sweter i wykorzystała kłębek pomarszczonej szarobiałej włóczki. Nie używała żadnych wzorów, tylko robiła poszarzałe, nierówne płachetki.

Na samym początku adwentu Sven udał się w służbową podróż do Barcelony. Flora pamiętała to doskonale. Nie chciał jechać, lecz było to absolutnie konieczne. Paradował po domu, a taksówka czekała tak długo, że omal nie spóźnił się na samolot.

Po jego wyjeździe Flora nie odstępowała Justine, chcąc ponownie nawiązać z nią jakiś kontakt.

– Jak się czujesz? Tyle możesz mi chyba powiedzieć?

Jasne brwi się ściągnęły.

– Śnieg pada na jezioro, widziałas, przypomina piórka...

- Nie o to cię pytałam.
- Miałam kiedyś zwierzątko, nawet o nim nie wiedziałaś.
- Co ty bredzisz? Zwierzęta i pióra. Chyba ci się to wszystko rzuciło na mózg.
- Mózg... Flora. Rozumiesz, jakim sposobem róże mogą żyć bez mózgu?

Flora chwyciła ją za ramiona, postawiła przed sobą. Ta woń potu i brudu. Włosy jak jeden wielki kołtun, ptasie gniazdo na karku. Chwyciła ją za przegub dłoni, zaprowadziła pod prysznic.

Spodziewała się wybuchu rozpacz. Nic takiego nie nastąpiło. Błyszczący wzgórek brzucha, wystający pępek. Piersi niczym pękate, zbyt mocno napompowane piłki. Nabrała mydła na rękę, zaczęła myć nieruchome, bladoszare ciało. Polewała, płukała, wcierała szampon w jej włosy.

Justine jako ciężarny posąg. Widziała teraz wyraźnie, jak płód porusza się w środku okrężnymi, miękkimi ruchami. Przycisnęła dłoń do brzucha; dziewczynka zadrżała. Flora czuła, że dziecko jest tam w środku.

Nowa koszula nocna; jak zaczęła opadać na brzuch i utknęła. Flora musiała wziąć nożyczki i rozpruć ją na jednym z bocznych szwów. Justine siedziała spokojnie z zastygłym uśmiechem, z pogardliwie zasznurowanymi ustami.

Potem grzebień, włosy skołtunione, znowu musiała użyć nożyczek.

Obcięła włosy krótko, nie w odwecie, lecz z powodów praktycznych. Twarz Justine okrągła i napuchnięta.

- No i po co becysz?

Poruszyła sztywno głową.

- Oszczędzaj łzy, jeszcze ci się przydadzą.

Którejś nocy nadeszła pora. Dlaczego porody zawsze zaczynają się w środku nocy?

To miałam być ja, to ja wtulałam się w niego, otwierałam się w rozpaczliwych spazmach.

Justine siedziała na łóżku w pomiętej koszuli. Otwarte usta, język pogryziony do krwi. Wołała nas, zbudził nas jej krzyk.

Sven powiedział, a właściwie wrzasnął na mnie:

– Grzej wodę i biegnij po ręczniki, pospiesz się!

Nie tak miało być.

Było za późno, by myśleć o szpitalu.

– A jeśli nie damy sobie rady?

Moje pytanie go rozwścieczyło.

– Takie młode dziewczyny... ich miednice...

Wtedy zaciągnął mnie do kuchni, jego twarz przypominała maskę.

Walczyła aż do świtu, krzyczała, rzucała się.

Flora słyszała, jak Sven modli się do Boga.

Przestała już dawno mu się sprzeciwiać, ale przecież widziała biodra Justine – tak wąskie, nierozwinięte.

Jeśli płód utknie, to będzie nasza wina. Jeśli umrze z dzieckiem w łonie, to my zostaniemy ukarani.

Nie umarła, przetrwała to.

Dziecko leżało na prześcieradle, maleńki chłopczyk.

Sven wziął do ręki nożyczki, ciął wśród strzępów błon, we krwi. Podał Florze nieforemną bryłkę, która była nowo narodzonym dzieckiem.

Czułam ciepło drżącego ciała; chłopczyk łapał z trudem oddech, wreszcie zaczął krzyczeć, podbródek się trząsał, nos szeroki i płaski. Zanurzyłam go w umywalce, woda spływała krwią. Umyłam mu rączki, miał zacisnięte piąstki, musiałam je ostrożnie odchylić, w zagłębieniu zobaczyłam głębokie, mocne linie. Można duża i opuchnięta, członek

niczym macka ośmiornicy. Włosy były czarne, oczy zamglone. Oczyściłam go z jej krwi i wydzielin, owinęłam w kawałek materiału. Przestał płakać, jego twarzyczka miała kształt serca. Małe, pięknie wyrzeźbione usta; jak wysuwały się ku czubkowi mojego palca. Usiadłam, podciągnęłam bluzkę; twarde, zachłanne podniebienie.

Sven stanął w drzwiach. Popatrzył na mnie, odwrócił się i wyszedł.

Wyciągnęła ramiona w moją stronę, chciała go wziąć.

– Przecież jesteś taka zmęczona, możesz zasnąć na nim i go udusić. Spójrz na niego, chcesz zasnąć na tej ślicznej chłopięcej buźce? – perswadowałam.

Była wycieńczona, mocno krwawiła.

Przystawiłam go do jej piersi, lecz krzyczał i machał tymi drobnymi, wątlými rączkami. Był głodny, dobry znak. Jednak ona była zbyt młoda, nie miała pokarmu. Sven musiał kupić butelkę ze smoczkiem i mleko w proszku. Chłopczyk był ciężki, trzymałam go na kolanach, to ja nauczyłam go ssać. Za każdym razem, gdy dotykała go Justine, krzyczał. Była zbyt młoda, sama była jeszcze dzieckiem.

Stało się coś strasznego, chłopczyk przestał jeść. Co można zrobić z dzieckiem, które nie chce jeść? Siedziała z łyżeczką, rozchyłała jego usteczka, to, co wlała, ściekało z powrotem za jego ucho. Dała go Justine. Ogrzej go, jeśli możesz. Jednak dziewczyna leżała pogrążona w letargu, bez kontaktu ze światem.

Dziecko przeżyło tylko cztery dni. Nie mogli już nic zrobić.

Owinięła je w lniany obrusik. Sven przyniósł pudełko po butach.

Dziecko było zbyt małe, urodziło się zbyt wcześnie.

Nigdy jej nie powiedział, co zrobił z pudełkiem.

19

Gdy zbliżał się do domu, rodzice stali w oknie. Mignęli mu za zasłonami, widział, jak się cofają, by ich nie zauważył. Poczul irytację, nic na to nie poradzi.

Kupił w metrze tulipany i pudełko markowych czekoladek pomarańczowych. Co można dać w prezencie tak staremu człowiekowi? Książki nigdy go nie interesowały.

Matka wzięła od niego kurtkę.

– Idź do taty i usiądź z nim, jedzenie będzie gotowe za chwilę.

W całym domu unosił się przyjemny zapach. Przyrządziła roladki, wiedziała, że to jego ulubione danie. Do tego duże gotowane ziemniaki, groszek i galaretką.

Ojciec nałożył sobie porcję.

– Co u ciebie? – zapytał. – Dużo roboty w hotelu?

– Ostatnio byłem zabiegany.

– Nadal pracujesz tylko na nocną zmianę?

– Owszem, ale noce bywają ciężkie.

– Nie rozumiem. Czy goście nie powinni wtedy spać?

– Ależ Kjell, jeśli się dobrze zastanowisz, to zrozumiesz! – włączyła się matka.

Odciął się:

– Za cholerę nie rozumiem!

Matka spojrzała na Hansa Petera, na jej twarzy pojawił się grymas zniecierpliwienia.

– Jeśli przyjeżdża dużo gości... na przykład z zagranicy – zaczął Hans Peter – trzeba się między innymi zająć paszportami, udzielać różnych informacji. Czasem dzwonić po taksówkę, bo nie zawsze wiedzą, jak dotrzeć do różnych miejsc.

– Aha. No tak.

- Weź więcej roladek, Hans Peter!
- Chętnie, mamó, bardzo pyszne, dobrze wiesz, co najbardziej lubię.

Uśmiechnęła się krzywo.

Po kolacji pomógł jej przy zmywaniu naczyń. Ojciec zasiadł przed telewizorem, oglądał jakiś program sportowy.

– Zrobił się taki drażliwy i opryskliwy – mruknęła matka, płucząc talerz.

- Tak?
- Z niczego nie jest zadowolony, choć tak bardzo się staram.
- Na pewno jest zdrowy?
- Zdrowy? Myślę, że tak, nie zauważyłam nic niepokojącego.
- A ty, mamó?
- Co masz na myśli?
- Czy ty jesteś zdrowa?
- Pewnie, jestem zdrowa jak ryba. Choć nie wiem, dlaczego akurat ryby miałyby być szczególnie zdrowe, no ale tak się mówi. Cóż... Czasem mam lekkie zawroty głowy, choć to chyba normalne w moim wieku.

Podeszła do szafki i wyjęła puszkę z kawą.

- Zrobiłam dla niego tort. Taki jak lubi, z czekoladą.
- Rozpieszczasz go.

Nagle zakryła twarz dłońmi i wybuchnęła płaczem.

- Mamó, co ci jest?

Próbował objąć ją ramieniem, lecz się odsunęła.

- Mamó... chodzi o Margaretę?
- Tak – wykrztusiła.

Był do tego przyzwyczajony. Wspomnienia raniły najdotkliwiej w urodziny i święta. Omijała ten temat, lecz tama nagle pękała i wszystko zaczynało się z niej wylewać.

Nie wiedział, co powiedzieć.

Matka stała chwilę zwrócona w stronę drzwi spiżarni.

– Chcesz, żebym przygotował kawę? – zapytał.

Wtedy się otrząsnęła i odkręciła kran.

Czuł, że rozsadza go niecierpliwość. Napił się kawy i wziął dwa kawałki tortu. Jak zawsze, gdy odwiedzał rodziców, pakował w siebie zdecydowanie zbyt wiele jedzenia.

– Nie będzie nic do kawy? – mruknął ojciec.

– Kjell, przecież zrobiłam tort.

– Chodzi mi o coś innego, coś mocniejszego.

Posłał Hansowi Peterowi szelmowski uśmiešek.

– Co ty na to, synu? A może idziesz na noc do pracy?

– Owszem, idę – odparł pospiesznie. – Ale mogę sobie chyba pozwolić na kieliszek.

Ojciec przechowywał mocne trunki w starej szafce, którą kupił kiedyś na aukcji. Jej drzwiczki i boki ozdobiono motywami ludowymi kurbits*. Przyniósł butelkę whisky. Był ubrany w stary brązowy sweter ze skórzanymi łatami na łokciach. Od jak dawna go miał? Całe życie?

– Ja nie piję – oświadczyła matka.

– Może chcesz coś innego? Na przykład sherry?

– Nie, dziękuję.

– Gdzie masz kieliszki?

– Stoją tam, gdzie zawsze.

Hans Peter wstał.

– Przyniosę, wiem, gdzie są.

* Kurbits – sztuka zdobnicza regionu Dalarna (środkowa Szwecja), z charakterystycznymi motywami roślinnymi.

Chciał się stamtąd wyrwać; doznawał osobliwego uczucia, jakiejś nieokreślonej nadziei, tęsknoty. Dusił się w atmosferze tego domu, nie mógł usiedzieć spokojnie.

Po wypiciu połowy szklanki whisky ojcu zebrało się na gadanie. Zaczął perorować na temat swojego odwiecznego konika, umów gwarantujących wysokie odprawy ludziom na stanowiskach kierowniczych.

– W gazetach piszą ciągle o ważnych dyrektorach, którzy są zwalniani, bo źle wykonują swoją pracę. Najdziwniejsze jest to, że dostają nie tylko wypowiedzenie, lecz także niebotyczne wynagrodzenia, miliony koron na resztę życia. Czy to jest normalne? Ja przez tyle lat uczciwie pracowałem, zniszczyłem sobie kręgosłup – właśnie dlatego, że porządnie wykonywałem swoją pracę – i jakoś, do jasnej cholery, nie dostałem za to milionów. Cóż jest wart kręgosłup zwykłego robotnika? Ani złamanego grosza! Ale ważni dyrektorzy siedzą sobie w tych swoich eleganckich fotelach i rozbijają się luksusowymi autami służbowymi...

– Kjell, mówiłeś o tym już tyle razy, znamy tę śpiewkę.

– Jeśli się płaci składki związkowe, ale nawet związki...

Hans Peter wiedział, że w takiej sytuacji jedynym wyjściem jest przytakiwanie, więc to właśnie robił. Posiedział jeszcze z godzinę, po czym wstał i spojrział na zegarek.

– Jeśli mam zdążyć, to muszę już lecieć. Bardzo wam dziękuję. Miłego wieczoru urodzinowego!

Po czym uświadomił sobie, że urodziny były już jakiś czas temu.

Podał ojcu rękę, ten mocno ją uściśnął. Zrobił taką minę, jakby chciał coś powiedzieć. Potem odchrząknął i włożył ręce do obwisłych kieszeni swetra.

– Powodzenia, H. P., fajnie, że wpadłeś.

– Zwracaj się do niego pełnym imieniem – fuknęła matka. – To brzmi jak nazwa sosu!

– Racja, ha, ha – zarechotał ojciec.

Matka objęła lekko Hansa Petera na pożegnanie. Była o głowę niższa od niego. Przyjrzał się jej, zobaczył przerzedzone włosy i prześwity białej skóry. Przycisnął ją szybko do siebie.

Pojechał pociągiem podmiejskim do T-Centralen, stacji metra przy Dworcu Głównym, i przespacerował się stamtąd do hotelu. Przestało padać, chciał zaczerpnąć świeżego powietrza.

W holu hotelowym Ariadne krzątała się przy akwariu. Spóźniła się do pracy, bo jej córka zachorowała i musiała poczekać z wyjściem do powrotu męża. Stała pochylona nad akwariu, miała na sobie niebieskie, obcisłe dzinsy.

Hans Peter wziął do ręki książkę meldunkową i wertował ją z roz-targnieniem.

– Co dolega twojej córce? – zapytał.

– Myślę, że złapała grypę.

Jedną rękę miała włożoną do akwariu. Usuwała węzłem drobne, przypominające robaki odchody.

– Powiedziałałam Ulfowi, żeby kupił duże ryby – oznajmiła z irytacją.
– Mówi, że one się dobrze nie czuć, ale to nieprawda. One czuć się dobrze, ja wiem, powiedziałałam mu, że wiem. A on na to, że nie, że te duże nie czuć się dobrze.

Ni stąd, ni zowąd poczuł, że ma jej dosyć, wolał, by zostawiła go w spokoju. Zastanawiał się, czy posprzątała już wszystkie pokoje, pewnie tak, bo zwykle czyściła akwariu na końcu, tuż przed pójściem do domu.

– Wszystkie pokoje gotowe? – zapytał.

Odwróciła się w jego stronę. W jej piwnych oczach pojawiła się niepewność.

– Pokoje?

– Tak.

Pomyślał, że nie powinna nosić tak obcisłych spodni. Przemknęła mu przez głowę myśl, że nie wie, jaki jest jej mąż. Czy dobrze ją traktuje?

– Nic takiego – powiedział rozdrażniony. – Tylko głośno myślałem.

Wróciła do czyszczenia akwarium, rozłożyła gazety na podłodze, by jej nie zamoczyć. Hans Peter miał w torbie książkę, tę pożyczoną od Justine. Jak tylko Ariadne sobie pójdzie, wyjmie ją. Nie mógł się już doczekać. Ogarnęło go jakieś dziwne uczucie, jakiś uroczysty nastrój. Włożył wcześniej książkę do teczki z takim namaszczeniem, jakby była kruchym, łamliwym przedmiotem. Przeczytał ją w ciągu kilku dni i wyobrażał sobie, jak wraca do Justine, by ją oddać. Wolał przetrzymać ją trochę dłużej, by móc fantazjować, jak będzie, gdy się znowu spotkają.

Książka poruszyła go w szczególny sposób. Jej bohaterem był Dubin, mężczyzna w średnim wieku, który pisał biografie i któregoś dnia zaczął się przyglądać własnemu życiu. Hans Peter dostrzegł niepokojące podobieństwo pomiędzy Dubinem a samym sobą. Jakby nigdy nie żył naprawdę, jakby życie przeciekało mu między palcami, a on nie mógł nic zrobić, by to powstrzymać. Marzył o rozmowie z Justine na temat książki. Nie znał tej kobiety, ale dotykał jej nagiej stopy, trzymał ją na kolanach i rozgrzewał.

Ariadne przykryła akwarium szklaną pokrywą i związała grubą, zieloną wąż. Miała smutny wyraz twarzy.

– Mogę pozbierać za ciebie gazety – zaproponował Hans Peter.

Machnęła ręką w geście rezygnacji.

Przykucnął na podłodze i zaczął składać gazety. Były mokre, na jednej z nich leżała zgniła, oślizgła roślina wodna. Ariadne weszła do kanclapy, płukała coś energicznie pod kranem. Hans Peter poczuł, że narasta w nim poczucie winy. Przcisnął się obok niej i wyrzucił gazety do kosza.

– Czy twoja córka jest bardzo chora? – zapytał szorstkim tonem.

– Gorączka.

– Pozdrów ją ode mnie. Życz jej zdrowia.

Ariadne skinęła głową. Wziął ją delikatnie za ramiona.

– To miłego wieczoru – powiedział. – Do zobaczenia w poniedziałek.

Sprawdził jej numer w książce telefonicznej. Spodziewał się, że go tam nie znajdzie, że wołała go zastrzec, a jednak był w spisie. Powtórzył go mechanicznie kilka razy, aż zapadł mu w pamięć.

Przyjął kilku gości, wydał im klucze. Koło dziesiątej podniósł powoli słuchawkę i wystukał numer Justine. Przebrzmiało pięć sygnałów. O rany, a może ona śpi o tej porze? Miał już odłożyć słuchawkę, gdy usłyszał, że ktoś odebrał. Nikt się jednak nie odezwał.

– Halo! – rzucił wyczekująco.

Bez odpowiedzi.

Spróbował jeszcze raz.

– Halo, czy mógłbym rozmawiać z Justine Dalvik?

Usłyszał wtedy kliknięcie. Połączenie zostało przerwane.

Gdy obudził się następnego dnia przed południem, leżał jeszcze dłuższą chwilę w łóżku. Widział ją we śnie. Balansowała na rozrzuconych, ostrych kamieniach. Była bosa, chwiała się i osuwała. Krążył nad nią ptak, wciąż nurkujący w stronę jej czoła. Siebie samego też widział w tym śnie. Jak podbiega do niej, wymachując rękami, by przepędzić ptaka. Lecz Justine przestraszyła się tych odgłosów, upadła na ostrą krawędź kamienia i rozcięła sobie szyję. Patrzył, jak tam leży, głowa trzymała się na wąskim płacie skóry. Ogarnęła go głęboka rozpacz, którą odczuwał jeszcze po przebudzeniu.

Wstał z łóżka. Na zewnątrz łagodna temperatura; lśnienie deszczu

na szybach. Spędził kwadrans pod prysznicem. Potem znowu wykręcił jej numer.

Tym razem odpowiedziała. Kiedy usłyszał jej głos, poczuł pot pod pachami. Odebrało mu nagle mowę.

– Halo? – zapytał trochę bez sensu, wyczekująco.

Brzmiała, jakby była przeziębiona.

– Kto mówi?

– Oj, przepraszam, to ja, Hans Peter. Pewnie mnie nie pamiętasz?

– Oczywiście, że cię pamiętam.

– Jak twoja stopa?

– Lepiej, ale jeszcze nie całkiem w porządku.

– To dobrze. Dobrze, że jest lepiej.

Roześmiała się i zaraz zaczęła kaszleć.

– Oj, czyżybys złapała grypę? Córnka sprzątaczkki z pracy...

– Nie, nie mam grypy. Jestem tylko trochę zmęczona.

– Myślałem... Ta książka...

– No i? Przeczytałeś ją?

– Tak.

– I co o niej sądzisz?

– Chciałbym... porozmawiać o niej. Najlepiej z tobą... i że tak powiem... w cztery oczy.

Roześmiała się cicho. Wyobraził ją sobie: pucołowate policzki, piegowaty grzbiet nosa. Omal nie zapytał, co ma na sobie, co robiła, gdy zadzwonił, na co miałyby ochotę.

– To przyjedź tutaj – odparła. – Porozmawiamy sobie.

Była ubrana w czarne legginsy i sweter aż do kolan. A może była to gruba, robiona na drutach sukienka, nie umiał tego ocenić. Justine miała lodowate koniuszki palców.

– Ten dom jest bardzo zimny – stwierdziła. – Grzeję i grzeję, ale to nic nie daje.

– Nie czuję zimna.

– Naprawdę?

– Wręcz przeciwnie. Ale szedłem dość szybko, zdążyłem się rozgrzać.

– Czym mogę cię poczęstować? – zapytała.

Przeszli do kuchni. Zauważył na zlewie dwa kieliszki po czerwonym winie. Stracił trochę animuszu.

– Sama mam ochotę na gorącą, mocną kawę. Mogę zaparzyć, jeśli chcesz?

– Tak, poproszę.

Justine miała na chorej stopie skarpetę. Zauważył, że chodzenie nadal sprawia jej trudność. Stała teraz i odmierzała kawę do filtra Melitta. Oparła plecy o zlew i stęknęła.

– Muszę napić się kawy, by dojść do siebie – oznajmiła. – Siedziałam długo w nocy. Mam kaca.

Poczuł lekkie drżenie dłoni, wzrok powędrował ku kieliszkom.

– No co? Nie miałaś nigdy kaca, Hans Peter?

– Pewnie, że miałem. Ale dość dawno temu.

– Nie przepadam za tym, cały dzień idzie mniej lub bardziej na marne.

– Jeśli było wesoło poprzedniego wieczoru...

– Nawet to nie pomaga.

– Miałaś imprezę w domu?

– Nie do końca. Była u mnie koleżanka. Jeszcze z czasów szkolnych, chodziłyśmy do tej samej klasy.

Wypełniła go trzepocząca radość, odetchnął głębiej, twarz się odprężyła.

– Siadaj, do jasnej Anielki – nakazał jej. – Obejrzę twoją stopę.

Jej ręce nadal zwisały wzdłuż ciała.

- Nie chcesz?
- Jasne, że chcę.
- Nie wolno zaniedbywać zwichnięć.
- Moglibyśmy zrobić to na górze? Wziąłbyś tacę z kawą?
- A gdzie jest ptak?
- Pewnie gdzieś się zaszył.

W bibliotece był bałagan i kurz. Dostrzegł na blacie stołu ślady po kieliszkach. Na oknie stała mała doniczka z krokusami. Ptaka nadal nie było widać.

- Jak widzisz, jest tu trochę nieposprzątane – usprawiedliwiała się.
- Mnie to nie przeszkadza. Zobaczysz, jak jest u mnie w mieszkaniu.

Odstawił tacę i przesunął krzesła tak, żeby stały naprzeciwko siebie.

Pomalowała paznokcie u nóg na czerwono. Zobaczył je, gdy ściągnął jej skarpetę i zdejmował bandaż elastyczny. Stopa lekko drżała; Justine oznajmiła, że ma łaskotki.

Widział ślady bandaża na skórze. Wyglądały jak małe wałeczki, przeciągnął po nich koniuszkiem palca, stulił dłoń wokół jej pięty. Była miękka i gładka.

- Wydaje się nawet bardziej opuchnięta niż poprzednim razem – stwierdził.
- Chyba ją przeciążyłam. Trudno się powstrzymać.
- Może lepiej nie owijać jej tak ciasno?
- Może i tak.
- Justine, mogę cię o coś zapytać? Tak trochę ni w pięć, ni w dziewięć. Czy miałaś kiedykolwiek poczucie, że życie ci ucieka?
- Chyba... chyba tak.

– Gdy kiedyś odejdę... pies z kulawą nogą nie będzie o mnie pamiętał, nikt nie będzie nawet wiedział, kim byłam.

– Wydaje mi się, że ze mną będzie tak samo.

– Nie masz dzieci?

Pokręciła głową.

– Ludzie i tak zapamiętają cię jako wnuczkę założyciela imperium Sandy.

Uśmiechnęła się lekko, miała zmysłowo wykrojona górną wargę; dolna była spierzchnięta.

– No i?... *So what?**

– Nawet jak się ma dzieci, nie można mieć oczywiście pewności, że ktoś będzie o człowieku pamiętał. Ale przynajmniej jest się w jakimś sensie stwórcą. Część człowieka będzie jakby żyła nadal... przechodziła na następne pokolenia, rzecz jasna w coraz mniejszym stopniu.

– Można mieć dobre życie, nie będąc stwórcą.

– Masz rację.

– Dlaczego nie masz dzieci?

– Tak wyszło.

– Bo?...

– Byłem żonaty przez dłuższy czas, ale cóż, nie mieliśmy dzieci. Ona wyszła ponownie za mąż i urodziła całą gromadkę. Może ze mną jest coś nie tak, może nie mogę.

Zaczęła gładzić dłońmi grzbiet jej stopy. Nie próbowała przyciągnąć jej do siebie. Jego palec zabłądził pod ściągacz legginsów. Poczul pod nimi łydkę, chłodną i gładką.

– A ty? – zapytał cicho. – Dlaczego ty nie masz dzieci?

– Miałam kiedyś dziecko. Zmarło po kilku dniach.

– O Boże!

– To było tak dawno temu.

* I co z tego? (ang.).

Zabrał ręce, lecz jej stopa nadal spoczywała na jego kolanach. Trącała go lekko paluchami.

– Dotyk twoich rąk był bardzo miły – powiedziała. – Podobało mi się.

Hans Peter się uśmiechnął.

– Muszę ci jeszcze coś powiedzieć. Śniłaś mi się w nocy.

– Naprawdę?

– Tak.

– Czy to był... miły sen?

– Szczerze mówiąc, nie. Raczej koszmar, śniło mi się, że stała ci się krzywda.

Zesztywniała.

– To... co robiłam?

– Eee... chodziłaś po niebezpiecznych kamieniach, potknęłaś się i upadłaś.

– To dziwne... myślałam o tobie, odkąd się spotkaliśmy – wyszeptwała. – Tak się ucieszyłam, gdy zadzwoniłeś. Zapowiadał się ciężki dzień, ale teraz już tego tak nie odbieram.

– Justine – postanowił zdobyć się na odwagę – masz kogoś, jesteś w jakimś związku?

– Nie...

– Ja też o tobie myślałem... Bardzo chciałem tu wrócić. Jeśli jednak kogoś masz, jeśli jesteś zajęta...

– Nie – przerwała mu. – Nie mam nikogo. To, co było, skończyło się.

Wstał i stanął za jej plecami, pieścił jej ramiona i szyję. Wyciągnęła ręce do góry i objęła go. Cofnął się, ona została na swoim miejscu, krzesło zawisło na dwóch nogach. Ostrożnie uklękła i powoli opuściła oparcie na podłogę.

Leżeli obok siebie na dywanie. Ich oczy zatopiły się w sobie; żadnego zażenowania, żadnej obcości.

– Oby tylko ptak nie przyleciał – powiedział cicho.

- Boisz się go?
- Nie boję, ale czuję się niepewnie w jego obecności.
- Nie ma się czego obawiać, nie tknie nas.
- Na pewno?
- Na pewno.
- Chyba był w moim śnie.
- Jest moim przyjacielem, więc i twoim.
- Teraz zapytam cię o coś, a ty może dasz mi po gębie. Zrobisz tak?
- Nie sądzę, spróbuj!
- Justine, czy mogę cię rozebrać?

W jej oczach widać było blask. Ściągnął z niej gruby sweter, zwinął go i podłożył jej pod głowę zamiast poduszki. Potem sięgnął do jej pleców i rozpiął biustonosz. Miała drobne piersi, brodawki zapadnięte do środka. Pochylił się nad nimi, dotknął wargami.

- Są nieśmiałe... – szepnął. – Nie mają odwagi się pokazać...

Wtedy spojrzął na jej ręce.

- Justine, coś ty robiła, walczyłaś z tygrysem?
- Niewiele brakowało – mruknęła. – W nocy, gdy wychodziłam wyrzucić śmieci, zaatakował mnie kot. Był kompletnie sfiksowany.
- I co się stało? Jak się go pozbyłaś?
- Musiałam go właściwie z siebie zerwać. Może zdenerwował go ptak. Bałam się, że i on zobaczy kota, że się wystraszy. Kiedy był jeszcze piskłkiem, omal nie został pożarty przez kota.
- Dziwne, koty raczej nie atakują ludzi tak znieczeka... A gdyby miał wściekliznę?
- E tam, w Szwecji nie występuje wścieklizna.
- Oby ci się nic nie przytrafiło, na przykład tężec.
- Nie ma obawy, jestem zaszczepiona.

Przysunęła się bliżej.

- Całuj dalej moje brodawki... Wydobądź je z mroku.

Pochylił się, czuł koniuszkiem języka, jak twardnieją i powstają ze swoich zagłębień.

Wtedy poczuł jej palce, zwinne i poszukujące. Były teraz ciepłe, przesuwały się wokół jego talii, znalazły sprzączkę paska. Ciche kliknięcie, gdy się rozpięła. Jego członek tuż przy jej przedramieniu. Czuł w uszach szum, dochodzący jakby z jego własnego wnętrza. Jej ręka powędrowała w dół członka, objęła go, mierzyła jego siłę.

– Poczekaj – wyszeptał. – Dawno tego nie robiłem, poczekaj... żeby nie poszło zbyt szybko.

Ściągnął z niej legginsy i majtki. Miała obfite kształty, chwycił ją w pasie i pociągnął na siebie. Leżąc na nim pozwoliła językowi ślizgać się po jego twarzy.

– Podoba mi się twój smak. – Gdy to mówiła, czuł jak odgłosy z jej klatki piersiowej wnikają w jego wnętrze. – Podoba mi się twój zapach i ta miękkość podbródka... jeszcze bez zarostu...

Pieścił jej plecy, pośladki i delikatną skórę w zagłębieniach łędźwi.

– Justine? – szepnął.

– Mm.

– Chcę, żebyś to wiedziała. Nie przyszedłem tu po to, by się z tobą przespać.

– Naprawdę?

– Nie wolno ci myśleć, że szukałem okazji do bzykania.

Justine zachichotała.

– Na pewno nie?

Obróciła się na plecy, zabierając ze sobą jego rękę, prowadząc ją ku podbrzuszu. Poniżej miała delikatne, kręcone włoski; podniósł się do pozycji siedzącej, miał ochotę im się przyjrzeć. Były tak samo jasne jak włosy na jej głowie. Jego palce zanurzyły się w tej jasności, poczuły wilgoć pomiędzy masywnymi, silnymi udami. Była duża i pulchna, miała miękkie, falujące kształty niczym jakaś prakobieta, przypominała mu

modelki, jakie widział na obrazach starych mistrzów. *Wenus, Porwanie Sabine* – wiszące pomiędzy końmi kobiety, ich welony, bladość ciał. Zdjął z siebie ubranie i leżał nagi, jak ona, na podłodze. Wtedy podniosła się i przykucnęła, widział od spodu jej brzuch. Opierając się na obu nogach zniżyła się ku niemu, pomyślał o jej stopie, pomyślał o HIV, pomyślał: do diabła z tym wszystkim. Była dysząca i rozgrzana, jej wnętrze ścisnęło jego żołądź, masowało ją. Silne, gładkie ścianki, widział ich mięsistą tkankę, jak zaciskają się i pulsują. Chwycił ją za biodra i poczuł skurcz, który wycisnął mu łzy z oczu; gdzieś z oddali dochodził go jej krzyk – ujeżdżała go ze zwierzęcą siłą, wbiła pięty w jego boki i krzyczała prosto w sufit.

Położyli się do łóżka. Przykryli się kołdrą, trzymała go w objęciach, gładziła po głowie. Ptak siedział na gałęzi z podciągniętą jedną nogą. Wydawał z siebie jakieś odgłosy, ale nawet nie zaszczycił ich spojrzeniem.

– Miejmy nadzieję, że nie jest zazdrosny – mruknął Hans Peter.

– Na pewno nie, chce, żebym była zadowolona. Jeśli ja kogoś lubię, on też. Wie, jakimi emanuję uczuciami.

– A jeśli kogoś nie lubisz?

Zaśmiała się perliście.

– Może być naprawdę kiepsko...

– Justine. – Złapał się na tym, że chce tylko wymówić jej imię. Miał ochotę wypowiadać je bez przerwy, uczynić je częścią samego siebie.

Jej wargi na jego karku, na jego plecach.

– Justine... Byłaś taka cudowna, było mi z tobą tak wspaniale.

– Ty też byłeś cudowny.

– Ile ze swojego życia chcesz zachować dla siebie?

– Co masz na myśli?

– Chcę cię poznać, chcę dowiedzieć się o tobie wszystkiego. Czuję

się cały tak lekki i radosny, nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek wcześniej odczuwał coś takiego.

– Na pewno już kiedyś tak było.

W głębi duszy pragnął, by odwzajemniła się tym samym, by powiedziała, że nie czuła nigdy czegoś takiego do innego mężczyzny. Przypomniało mu się, co mówiła – o związku, który się zakończył.

– Być tak na samym początku... – szepnął. – Mieć przed sobą wszystko to, co najlepsze... Pragnienia, nadzieje.

Nie odpowiedziała. Leżał w jej ramionach, a ona nie zmieniła pozycji. Wyswobodził się z jej objęć i zaczął się przyglądać. Jasne brwi, linia piegów na policzkach i grzbiecie nosa, drobne, dziecięce piersi. Jego ręka zsunęła się wzdłuż jej mostka, skóra była mokra od ich zmieszanego potu.

– Justine, kochanie... może za bardzo się spieszę, może niepotrzebnie robię sobie nadzieje?

– Nie – zamruczała. – Nie sądzę.

Mówił dalej:

– To pragnienie, to pożądanie... Ale nie chodzi tylko o to. Jest jeszcze coś innego, coś w rodzaju poczucia przynależności, którego nie przeżyłem nigdy z nikim innym, nawet z moją byłą żoną... nie, z nią absolutnie nie. Już gdy zobaczyłem cię wtedy siedzącą na śniegu, już wtedy poczułem, że jest w tobie coś, czego nie wolno mi wypuścić z rąk. Czy pozwolisz mi wejść w siebie, w to, kim jesteś? Nie tylko w sensie fizycznym.

Mówiąc, poczuł, że zaciskają mu się mięśnie miednicy, że do członka, który spoczywał wyczerpany na jego lewym udzie, znowu zaczęła napływać krew. Ona też to zauważyła, zerknęła w dół i uśmiechnęła się lekko. Jej ręka ułożyła się w tamtym miejscu, zaczął rosnać w jej dłoni, rób tak, Justine... tak... zrób to... jeszcze raz.

Uznała, że muszą coś zjeść. Pożyczył od niej szlafrok, sama zarzuciła na siebie tylko długą, zieloną sukienkę, nic więcej. Usmażyła w kuchni jajka i boczek.

– Człowiek na kacu ma apetyt – stwierdziła. – Próbuję się wprowadzić odchudzać, ale teraz jestem tak głodna, że nie mogę się opanować.

– Nie odchudzaj się – zasugerował. – Powinnaś zostać taka, jaka jesteś.

Ptak przyleciał za nimi na dół. Dostał to samo jedzenie i połykał je żarłocznymi ruchami.

Nalała piwa. Siedzieli przy małym stole kuchennym i patrzyli w stronę wzgórza. Przestało padać, usłyszał samego siebie mówiącego o pogodzie. Przeszkadzała mu banalność tej sytuacji, lecz nie mógł się powstrzymać.

– To chyba już koniec zimy – powiedział. – Lód jeszcze trzyma, ale wkrótce zacznie pękać. Czytałem w gazecie o mężczyźnie, który utonął w Mälaren.

– Szukali go wczoraj i widać znaleźli.

– Nie rozumiem, dlaczego ludzie podejmują takie ryzyko.

– Trudno to zrozumieć.

– Zastanawiam się... Czy mieszkałaś tu z tym mężczyzną? Z którym już nie jesteś?

– Nie – odparła cicho. – Nie mieszkał ze mną. Miał mieszkanie w mieście.

– Długo byliście razem?

– Ponad rok.

– Dlaczego to się skończyło?

Odgarnęła trochę resztek z talerza, zebrała je w mały stosik na stole.

– On... Coś mu się stało... Pojechaliśmy razem do puszczy tropikalnej, do dżungli. Miał tyle pomysłów, zamierzał między innymi organizować wyprawy podróżnicze dla Europejczyków, wiesz, takie dłuższe

pobyty w dżungli, ze spaniem i mieszkaniem w puszczy, z całą masą niedogodności. Pojechałam z nim, chciał zaplanować trasy i nawiązać kontakt z miejscowymi, którzy pomogliby podczas wypraw. Ale... coś się stało... O nie, nie chcę o tym mówić!

CZĘŚĆ II

1

Obudził ją odgłos pukania. Natychmiast otrzeźwiała. Spała wyprostowana, sztywna, ręce przyciśnięte do boków. Jej ciało pokrywały plamy potu wywołujące teraz gęsią skórkę.

Rozejrzała się po pokoju, Nathana już nie było.

Znowu pukanie, drzwi się otworzyły.

Przy łóżku stanęła kobieta. Miała na głowie chustę zachodzącą na czoło i przykrywającą ramiona. Wpatrywała się w Justine.

– *Cleaning!** – oznajmiła kategorycznym tonem.

– *Cleaning? No, you don't have to clean up, it is not necessary*** – Justine siedziała oparta o ścianę, z prześcieradłem podciągniętym aż pod podbródek. Przez drzwi wdarł się intensywny aromat curry. Od ulicy słychać było odgłosy silników i mocnych uderzeń, jakby olbrzymi młot próbował wbijać coś w bruk.

Kobieta zrobiła grymas, odwróciła się i wyszła, zatrzaskawszy za sobą drzwi.

Justine podniosła się ostrożnie. Wirowało jej przed oczami. Wyszła do łazienki, głowa pękała jej z bólu. Na podłodze leżała karteczka. Siedząc na sedesie, zauważyła, że skryła się pod nią jaszczurka. Na kartce było coś napisane. Podniosła ją i przeczytała:

Wyszedłem na kilka godzin. Do zobaczenia po południu. Catuję.

* Sprzątanie! (ang.).

**Sprzątanie? Nie musi pani sprzątać, nie ma takiej potrzeby (ang.).

Nie odważyła się sięgnąć po papier. Zdjęła majtki i położyła je w pokoju na łóżku, bojąc się, że wpełźnie do nich jaszczurka i że się tam zamowi. Był tylko jeden ręcznik. Wisiał na krześle, używał go Nathan. Pomiedzy ścianą i dachem a resztą hotelu była otwarta przestrzeń. Słyszała podniesione głosy kobiet, mówiące szybko w obcym języku.

Umyła się dokładnie w letniej wodzie. Była rozbita, cała obolała. Podróż trwała prawie trzydzieści godzin. W Londynie musieli czekać w ciasnej, zadymionej poczekalni; grymasne dzieci, za mało miejsc do siedzenia. Odczuwała potrzebę pójścia do toalety, lecz nie odważyła się opuścić poczekalni w obawie, że właśnie wtedy wezwą ich na pokład samolotu. Gdy powiedziała o tym Nathanowi, zauważyła, że jest poirytowany.

Biegali tam i z powrotem po olbrzymim terminalu, by znaleźć właściwe wyjście do samolotu. Nathan nie lubił tracić kontroli nad sytuacją, nie lubił pytać.

W samolocie siedzieli daleko od siebie, Nathan w części dla palących. Ona sama znalazła się w towarzystwie wytwornej belgijskiej pary w eleganckich ubraniach. Czuła się wielka i tłusta. Odwróciła się i wypatrywała Nathana, lecz go nie dostrzegła. Zatrzymała jedną z młodych stewardes przemykających w swych pięknych uniformach. Łamaną angielszczyzną wyjaśniła, że chce zmienić miejsce. Stewardesa nazywała się Hana, imię było napisane na identyfikatorze na jej piersi. Jej usta poruszały się, były starannie umalowane. Usta Hany dały jej jasno do zrozumienia, że jeśli chce zmienić miejsce, to, *sorry*, ale będzie musiała załatwić to sama.

Belg przysłuchiwał się rozmowie.

– *Your husband?** – zapytał ze współczuciem.

– *Yes.*

Mężczyzna pokręcił ponuro głową.

– *Very long journey*** – wymamrotał.

* Pani mąż? (ang.).

** Bardzo długa podróż (ang.).

Pomyślała, że nie ma siły na konfrontację z tymi obcymi ludźmi, rozmowy po angielsku, spanie obok nich, tęsknotę za Nathanem. Stała w ciasnym przejściu, przeszła na tył samolotu. Nathan siedział wciśnięty w fotel w środkowym rzędzie. Posłał jej udręczony uśmiech.

- Pieprzone linie lotnicze – rzucił.
- Prosiłam o pomoc, ale powiedzieli, że mamy załatwić to sami.
- Pytałem siedzących koło mnie. Nie chcą się zamienić, to palacze. Obok niej przecisnął się steward z kilkoma poduszkami.
- Powinnaś wrócić na miejsce – zasugerował Nathan. – Blokujesz przejście.

Do hotelu pojechali taksówką. W powietrzu wisiał zaskakująco gęsty upał. Na ścianie jednego z domów dojrzała olbrzymi termometr, pokazywał trzydzieści cztery stopnie w cieniu. Szukała w plecaku okularów przeciwsłonecznych, lecz ich nie znalazła. Gdy przejeżdżali przez przedmieścia, próbowała podziwiać piękno miasta, przypatrywała się palmom i obsypanym dużymi, czerwonymi kwiatami krzewom, rosnącym na wysepkach pośrodku jezdni. Było jej niedobrze ze zmęczenia.

Taksówkarz miał włączone radio; muzyka na przemian z rozmowami, które brzmiały jak gorączkowe dyskusje. Nie rozumiała ani słowa. Nathan siedział obok kierowcy. Plecaki leżały obok niej z tyłu. Kupili je w dyskoncie Överskottsbolaget, po pięćdziesiąt koron sztuka. Większość wyposażenia również pochodziła stamtąd. Było to częścią planu Nathana – zamierzał doradzać uczestnikom swoich grup tanie zakupy sprzętu. Nie miały to być żadne wyprawy dla bogaczy.

Nauczył ją zakładać plecak, pomógł jej ze sprzączkami, pokazał, jak zawiązywać troki, by otwierały się za jednym pociągnięciem. Na wewnętrznej stronie klapy plecaka widniało napisane długopisem nazwisko: Bo Falk. Poprzedni właściciel, który korzystał z niego jako poborowy. Wyobrażała sobie Bo jako ostrzyżonego na jeża młodzieńca

z meszkiem na brodzie, zastanawiała się, czy jest zadowolony ze swojego życia, czy jest szczęśliwy.

W wieczór przed wyjazdem Nathan podarował jej maskotkę – kudłate, przypominające niedźwiadka zwierzątko. Przymocowała stworzka do jednego z pasków plecaka, miał jej towarzyszyć w dżungli. Po powrocie zamierzała umieścić go u wezłowia łóżka jako stałe przypomnienie tego, co przeszła i przetrzymała.

– Justine, będzie ciężko, jesteś naprawdę pewna, że chcesz ze mną jechać?

Nie miała wątpliwości.

Jej oczy oślepiło ostre, białe światło. Widziała zarysy sylwetek Nathana i taksówkarza na przednim siedzeniu, jak machali rękami i gestykulowali. Nathan odwrócił się do niej.

– Jak się czujesz?

– Dobrze – wyszeptała. – Jestem tylko trochę otumaniona.

– Wiesz, co mówi szofer? Że nie ma takiego hotelu. Ale na pewno jest. Facet będzie musiał spasować.

– Może hotel został zamknięty?

– W cholere! Próbuje mnie naciągnąć, o to chodzi!

Wszędzie place budowy. Na wpół gotowe drapacze chmur pnące się ku niebu; połyskujące okna i szkło. Sznury samochodów i skuterów, kaski na powiewających chustach. W końcu taksówka wjechała w ślepa uliczkę pomiędzy rozkopane chodniki i hałdy ziemi. Taksówkarz pokazał ręką.

– Hotel Explorer? – zapytał ze złością.

To był ten hotel. Triumfujące spojrzenie Nathana, poklepał taksówkarza po ramieniu. Mężczyzna wzdrygnął się, jakby został uderzony.

Na chodniku przed hotelem leżał kilkunastoletni chłopiec. Justine pomyślała najpierw, że nie żyje, potem dostrzegła, że jego klatka piersiowa się porusza. Miał gołe, czarne stopy. Chciała powiedzieć coś na

jego temat Nathanowi, lecz był już zajęty wnoszeniem bagaży. Dostali klucz, pokój numer 15, na samej górze.

Była zbyt zmęczona, by odnotować, jak wygląda pokój. Z ulgą powitała panujący w nim półmrok. Nathan uruchomił duży wentylator na suficie. Urządzenie ruszyło ze świstem. Nathan pokazał na łóżko przy ścianie.

– Wyglądasz, jakbyś mogła w każdej chwili się rozsypać. Połóż się.

– Widziałeś tego chłopca leżącego na ulicy? Może jest chory?

– Widziałem.

– Jak można tak leżeć na ulicy, w takim tłumie ludzi. Chyba nikt nie zwraca na niego uwagi.

– Świat pełen jest biedaków.

Leżała w samych majtkach. Pióra wentylatora obracały się miarowo. Nathan pocałował ją w policzek, na jego czole perliły się kropelki potu.

– Wezmę prysznic – powiedział. – Pośpij sobie trochę. Ja może wyjdę na chwilę.

Nie, pomyślała, nie zostawiaj mnie. Zostań ze mną, spędźmy razem każdą sekundę.

Nathan przespał większą część podróży. Nigdy nie miał kłopotów z zasypianiem. Wyjaśnił jej, że w wojsku musieli na wszelki wypadek nauczyć się spać nawet na stojąco. Trzeba było rozsądnie gospodarować swoimi siłami. Od czasu do czasu mijała jego rząd, przechadzając się po samolocie, by pobudzić krążenie. Siedział z kocem naciągniętym na głowę. Raz widziała, że się poruszył i wydawało jej się, że spojrzy na nią, lecz nadal spał.

Ciekawe, która godzina. Środek dnia, może pierwsza, druga. W Szwecji było wcześniej rano. Pomyślała z ukłuciem niepokoju o ptaku, ale powinien sobie poradzić, zostawiła mu przecież strych pełen jedzenia.

Jej spodnie wisiały na haczyku, wygniecione i jeszcze trochę wilgotne. Powąchała je. Znowu się spociła. W dużej walizce miała spódnice, też była pognieciona, a do tego wrzynała się w talię. Wybrała T-shirt, a kiedy zobaczyła w lustrze swoje odbicie, rozplakała się.

Hotel tworzył czworokąt z przykrytym dachem patio. Gdy wyszła z pokoju, widziała wszystkie piętra. Na samym dole, na kamiennej posadzce, leżały stopy bielizny do prania. Na schodach stała kobieta z mopem. Kiedy Justine ją mijala, tamta odwróciła wzrok.

Zeszła powoli po schodach. Na jednym z podestów zauważyła mały domowy ołtarzyk z kadzidełkami i świecami. Wciągnęła nozdrzami kwaśną woń.

Jestem tak daleko od domu, jak tylko się da, pomyślała. Ze zmęczenia czuła pustkę.

W holu hotelowym siedział rosły mężczyzna we wzorzystej koszuli z krótkimi rękawami. Materiał lepiał mu się do pleców. Mały wentylator na kontuarze chłodził błyszczące od potu czoło. Justine oddała klucz i zapytała, czy może jej pomóc z wymianą pieniędzy.

– *No, no* – odpowiedział, pokazując w głąb ulicy.

Na zewnątrz upał wisiał w powietrzu niczym rozżarzona ściana. Musi się przez nią przebić, załatwić pieniądze, kupić coś do jedzenia i picia. Leżącego na ulicy chłopca już nie było, co odnotowała z ulgą. Ruszyła w kierunku wskazanym przez portiera. Ruch był ożywiony, powietrze ciężkie. Ostre światło sprawiało, że łzawiły jej oczy. Wszystko przyprawiało o zawrót głowy – wypełnione zgiełkiem, dymiące inferno z uliczkami w każdą możliwą stronę, płatanina labiryntów. Szła, jak jej się wydawało, główną ulicą, po chwili mignął jej napis „Bank”. Skręciła w prawo, próbując zakodować w pamięci wygląd domów i sztyldów.

Nie był to jednak bank. Jakieś biuro, widziała za błyszczącymi szybami poruszających się w środku mężczyzn. Chwyliła za klamkę, lecz drzwi były zamknięte.

Zatrzymała dwie kobiety w kolorowych sukienkach i w chustach.

– *Excuse me... but where can I exchange my money?**

Wysunęły podbródki, rozłożyły bezradnie ręce.

Musiała zawrócić, lecz nagle zorientowała się, że nie wie, gdzie jest. Wszystko wyglądało tak samo: takie same szyldy, takie same auta, takie same domy. Zakręciło jej się w głowie, świat zawirował; zapachy, dźwięki, pragnienie.

Usłyszała, że ktoś ją woła. Nie wiedziała, gdzie jest. Podniosła wzrok, ale oślepiąca upał i słońcem nic nie widziała. Zatrzymała się taksówka, otworzyły się drzwi.

– Justine, co ty wyrabiasz?

Nathan.

Chwyliła go mocno za kieszonkę koszuli, usłyszała trzask rozrywanego materiału, gdy pękł szew.

– Spokojnie, spokojnie! – powiedział.

Odholował ją do taksówki i pomógł wsiąść.

W pokoju podał jej dużą plastikową butelkę wody.

– Do cholery, nie wolno ci wychodzić bez picia – upomniał ją. – Jesteś chyba na tyle dorosła, że powinnaś to pojąć.

– Nie miałam tutejszych pieniędzy – wyszczała. Był to początek ich pierwszej kłótni.

– Mogłaś poprosić recepcjonistę i zamówić wodę do pokoju.

– A ty – ty mogłaś zostać tu ze mną, a nie włóczyć się gdzieś.

– Nie chciałem cię budzić. Mówiłaś przecież, że przez całą podróż nie zmrużyłaś oka. Tylko ze względu na ciebie poszedłem sam.

Skuliła się na łóżku, płakała jak bóbr.

– Ależ, Justine... Poza tym musisz pamiętać, że przyjechałem tu na rekonesans.

* Przepraszam, gdzie mogłabym wymienić pieniądze? (ang.).

– Chyba nie musiałeś zaczynać natychmiast?

– Owszem, musiałem. Miałem już kilka umówionych spotkań. Przyjechałem tu do pracy, to nie jest żaden pieprzony wyjazd urlopowy, chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

Leżała w pomiętej spódnicy, ściągacz pił ją w tali. Palce spuchły od upału.

Pomyślała, że może jeśli będą się kochać...

Jednak gdy go dotknęła, odsunął się.

Spotkała go u dentysty. Chodziła tam przez dłuższy czas, miała problemy z mostkiem. Zawsze, kiedy wchodziła do poczekalni, on już tam siedział. Za którymś razem oboje wybuchnęli śmiechem.

– Wygląda na to, że nasi dentyści chcą nas koniecznie skojarzyć – stwierdził.

Był od niej kilka lat starszy. Miał siwe, lekko zwichrzone włosy, które mogłyby wyglądać żałośnie u mężczyzny w jego wieku, lecz, o dziwo, nie sprawiały takiego wrażenia. Usłyszała, jak wywoływano jego nazwisko: Nathan Gendser.

Któregoś razu wyszli jednocześnie z gabinetów do poczekalni. Jej szczeka była sztywna po znieczuleniu. Nathan podszedł do recepcji, by zapłacić.

– Ja mam już z głowy – oświadczył. – Fajnie.

Odczuła coś w rodzaju rozczarowania.

– Szczęściarz z ciebie.

– A ty? Dużo ci zostało?

– Jeszcze kilka wizyt. To nie tylko mostek, okazało się, że mam jeszcze parę ubytków.

– Jestem samochodem. Podwieźć cię gdzieś?

Jego auto stało zaparkowane za rogiem. Po chwili wahania się zgodziła.

Było lato. Jego pulchne, opalone palce, bez obrączki.

– Dalvik... – powiedział. – Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie jesteś spokrewniona z pastylkami Sandy.

Potwierdziła skinieniem głowy.

– O, to już rozumiem. Dlatego musisz chodzić tak często do denty-
sty. Jako dziecko objadałaś się pastylkami.

– Wcale nie, nawet ich nie lubiłam. Ale w ogóle jadłam sporo słodczy.

– Tak myślałam.

Przez chwilę milczał. Potem zapytał, dokąd ją zawieźć.

– A w którą stronę jedziesz?

– Mogę wysadzić cię koło Odenplan? Mieszkam w pobliżu.

– Świetnie.

– Masz teraz urlop?

– Nie, nie pracuję.

– Co takiego? Nie pracujesz? Jesteś bezrobotna?

– Nie do końca.

Czuła jego spojrzenie, uparcie wpatrywała się przed siebie. Ludzie reagowali dziwnie, gdy mówiła, że nie pracuje. Nigdy nie zdołała zaczepić się na rynku pracy. Przechorowała większą część okresu nastoletniego, a potem było już właściwie za późno. Nie dało się o tym mówić zupełnie obcym ludziom. By uniknąć pytań, sugerowała zwykle, że pracowała jakiś czas w rodzinnej firmie, a teraz chciałaby zająć się czymś innym. Potem zmieniała temat.

– Ja miałem się różnych rzeczy, ale przez ostatnie lata pracowałem jako pilot wycieczek.

Wysiadła w pobliżu spółdzielni lekarskiej przy Odenplan. Kiedy auto zniknęło z pola widzenia, zeszła do metra i pojechała z powrotem do przychodni dentystrycznej po swój samochód. W domu sprawdziła numer Nathana w książce telefonicznej. Mieszkał na Norrtullsgatan, od razu znalazła ulicę na mapie.

Następnego dnia przypuściła szturm. Pojechała tam. Takie zachowanie było do niej niepodobne. Perswadowała sobie samej: co ty wyrabiasz, czego się spodziewasz?

Działała w jakimś oszołomieniu.

Jego samochód stał zaparkowany przed domem. Zerknęła na fasadę kamienicy, zastanawiając się, które okna należą do jego mieszkania. Żeby jej przypadkiem nie dostrzegł, weszła do księgarni po drugiej stronie ulicy, wertowała książki, dla niepoznaki kupiła jedną w wydaniu kieszonkowym. Potem przechadzała się tam i z powrotem pod jego domem. Jakby wiedziała, że zaraz się pojawi, jakby to przeczuwała.

Intuicja jej nie myliła. Wyszedł może po półgodzinie. Był sam. Przyspieszyła kroku, zachowując się, jakby znalazła się tam przypadkiem.

– O, dzień dobry... wydawało mi się, że mignął mi ktoś znajomy.

Jego twarz: wyraz zdumionej radości!

– Właśnie idę coś przekąsić. Wybierzesz się ze mną?

Pojechali do Drottningholm. Zaprosił ją na lunch do restauracji. Budziła się z odrętwienia.

Przez tyle lat milczała. Dzięki niemu słowa powracały, krok po kroku.

Jego pieśczoły przywróciły jej życie, wyrwały ją z letargu.

– Jesteś piękna, uwielbiam kobiety, które nie są anorektyczkami. Takie jak ty, które naprawdę żyją.

Poczuła gwałtowną zazdrość wobec tych wszystkich kobiet, które uwielbiał.

– Skąd wiesz, że w ogóle żyję?

– Owszem, żyjesz, ale pod skorupą. Zdejmę ją z ciebie, wyciągnę cię z niej, pokażę całemu światu.

Pomyślała, że to tylko czcze gadanie. A jednak oddała mu się bez reszty.

Nigdy nie kochała się jako dorosła kobieta. Po dziecku jej życie się skończyło.

Strzępy rozmów ojca z Florą. Flora jak kąśliwy terier:

– Nie chodzi tylko o to, by ją chronić, trzeba dopilnować, by wyzdrowiała. Nie poradzimy sobie z tym sami. Nie jesteśmy w stanie tego zrobić, ani ja, ani ty. Powinniśmy umieścić ją w jakiejś klinice.

Słyszała kroki ojca, głośny szcęk drzwi, jak cały dom trzął się i grzmiał.

Zgodził się na domową wizytę psychiatry.

Psychiatra określił to, co się zdarzyło, mianem poronienia.

– Musisz iść dalej – zachęcał ją. – Jesteś młoda, masz przed sobą całe życie.

Nie zrozumiał, że dla niej było dokładnie odwrotnie.

O tak, specjaliści mogli przychodzić do domu. Ojciec kupował najlepszych. Rozmowy, niekończące się rozmowy. Zabierał ją w podróże, próbował wciągnąć w pracę w firmie. Cyfry, kalkulacje – jednak nic nie zostawało jej w głowie. Przyniósł do domu elektryczną maszynę do pisania, a Flora zakryła klawisze, by ich nie widziała. Nauczyła się „a” i „ä”.

Gdy Flora wyjechała z siostrą na Maderę, ojciec kazał Justine przenieść się do swojej sypialni.

– Śpij tutaj, tak żebym cię widział, kiedy się budzę i zasypiam. Jeśli cię kiedyś skrzywdziłem, pamiętaj, że nie było to moim zamiarem, zawsze chciałem dla ciebie jak najlepiej. Jesteś wszystkim, co mam, Justine, jesteś wszystkim, co mi zostało z tego, co kiedyś planowałem i posiadałem.

– A Flora? – wyszeptwała.

– Flora? Oczywiście, ona też.

Leżała w łóżku Flory, na jej poduszce. Ujrzała ojca innymi oczami. Uświadomiła sobie, że czasy jego młodości bezpowrotnie minęły. Włosy

nie były już brązowe, lecz wypłowiałe i przerzedzone, brwi wystawały niczym krzaczki. Siedział na krześle przy toalecie Flory, spoglądał w lustro.

– Justine, co byś chciała robić w życiu? – zapytał, a w jego postawie wyczuwało się rezygnację.

Nie umiała odpowiedzieć.

Pochylił się nad blatem.

– Ten mężczyzna... z którym... byłaś tak blisko. Nie musisz mówić, kim był. Ale... czy był dla ciebie ważny?

Wybiegła w swojej długiej koszuli nocnej.

Stała za drzwiami i milczała.

Ojciec musiał przekonywać i prosić. Podał jej róg, jakby to mogło pomóc, jakby znowu była małą dziewczynką, którą można pocieszyć za pomocą instrumentu muzycznego.

Ustnik przytknięty do jej warg. Pieśń rogu.

Odwróciła się, ujrzała w jego oczach siebie – te oczy sprawiały jej ból. Chciała znaleźć się w jego objęciach i rozpląnąć się w nicości. Była jego jedyną córką, źródłem zgrzyoty.

Z czasem odzyskała równowagę. Flora wykazała się cierpliwością. Gdy odwiedzały ją siostry, wciąż mówiło się o jej nieskończonych pokładach cierpliwości.

– Zapewniasz jej równie dobrą opiekę, jaką miałyby w szpitalu psychiatrycznym – stwierdziła pachnąca perfumami i kwiatami Viola. – Zapewniasz jej poczucie bezpieczeństwa. Jemu też.

– Równie dobrze jak w szpitalu, może być w domu, nie przysparza teraz większych problemów. A Sven czuje się lepiej, mając ją przy sobie. Swoją małą córeczkę.

Ostatnie słowa wypowiedziała sarkastycznym tonem.

Viola założyła nogę na nogę i przywołała do siebie Justine.

– Może pojechałabyś ze mną do miasta. Chętnie kupię ci jakąś sukienkę.

– Ależ ona ma całą masę ubrań! Nie chcę cię zniechęcać, ale to daremny trud. Nie włoży na siebie nic nowego. Może na jeden dzień, a potem już nie chce tego nosić. Mówi, że czuje się dziwnie i niewygodnie. Tak naprawdę nie ma to większego znaczenia i tak siedzi tylko w domu.

– Nie powinnaś odpuszczać, Flora. Ubrania kształtują postawę, dodają szyku i gracji. To może być sposób na przywrócenie jej do normalności.

Flora zniżyła głos.

– Normalności! To dziecko nigdy nie było całkiem normalne. To sprawa genów, odziedziczyła je po matce. Ona też miała, jakby to ująć... trochę nierówno pod sufitem, i to delikatnie mówiąc. Teraz próbuję nauczyć Justine podstaw prowadzenia gospodarstwa domowego. Coś takiego zawsze się przyda. Może, gdy się ze Svenem zestarzejemy, zaopiekuje się nami i domem. Dzięki temu będzie z niej jakiś pożytek, i dla niej, i dla nas. Człowiek musi czuć, że ma jakąś wartość, że jest pożyteczny, to jedna z najważniejszych rzeczy w życiu.

Siostry nigdy nie mogły pojąć, dlaczego Flora nie zatrudni kogoś do zajmowania się domem i ogrodem. Wydała się tak bogato, a mimo to nie zatrudniała pomocy z zewnątrz.

– Mogłabyś sobie siedzieć jak księżna, wszyscy by koło ciebie skakali. A poczucie wartości powinien dawać ci sam fakt, że jesteś żoną znanego Svena Dalvika, już samo to wystarczy.

Flora posługiwała się swoimi osobliwymi argumentami.

– Nie chcę nikogo obcego w tym domu. To wyłącznie mój rewir.

Rewir przechodził też powoli we władanie Justine. Zaczęła go wykraść kawałek po kawałku, a Flora niczego nie zauważyła. Justine

ubrana w stary kombinezon ojca szorowała ściany i podłogi domu. Wiosną i jesienią, rok po roku.

W wodzie była smuga jej krwi, skaleczyła się w palec.

2

Gdy ojciec umierał, zajęta była akurat porządkami na strychu. Zaczynała zwykle sprzątanie od samej góry, systematycznie posuwając się w dół. Szorowała na kłęczkach podłogę, deski wrzynały się w kolana, ból sprawiał jej wręcz przyjemność. Surowe drewno, zapach ryflowanej sosny.

Wtedy: podmuch zimna gdzieś z dołu. Usłyszała wołanie Flory.

Ojciec upadł na frontowych schodach. Zgubił but. Bezwiednie przykucnęła i zdjęła mu drugi. Nadal miała mokre dłonie.

Udało im się wspólnie przenieść go do błękitnego salonu. Flora biegła tam i z powrotem po schodach, paliła, przebierała się.

– Jeśli chcesz jechać z nami, też powinnaś się przebrać, nie możesz zostać w tym kombinezonie.

Siedziała z głową ojca na kolanach. Wydawała się tak mała i twarda.

W karetce było miejsce tylko dla jednej z nich.

Justine wzięła samochód. Na trzydzieste piąte urodziny dostała opła. Trzymała się blisko karetki, która jechała z wyjącą syreną.

Jak przeczuwała, nie dało się już nic zrobić. Przemęczony lekarz poprosił je do gabinetu. Pamiętała plaster na jego szyi. Siedziała i zastanawiała się, co sobie zrobił. Zaciał się przy goleniu? Może miał malinkę? Myślała wtedy o wszystkim, tylko nie o ojcu.

– Sytuacja wygląda tak: przeżyje najwyżej jeszcze jedną noc. Chciałbym, żeby panie były tego świadome.

– Zdajemy sobie z tego sprawę – odpowiedziała.

Flora przeszła ją zimnym spojrzeniem. Jej ręka pocierała fartuch lekarza niczym zwierzęca łapka.

– Ile trzeba zapłacić... żebyście zrobili wszystko, co w waszej mocy?

– Droga pani, to nie jest rzecz, o którą można się targować. Zawsze robimy, co w naszej mocy.

Siedziały przy nim, każda po swojej stronie łóżka.

– Biedna Justine – powiedziała Flora. – Myślę, że nie zdajesz sobie sprawy z powagi sytuacji.

Na policzkach miała rozsmazany tusz do rzęs. Justine nigdy nie widziała jej płaczącej. Łkania działały jej na nerwy, chciała być sama ze swoim ojcem. Wyobrażała sobie śmierć jako kobietę – była nią jej matka przysłana po swojego męża. Dostałaby się przez okno, rosła i smuła, odwinęłaby kołdrę, wzięła go za rękę i zabrała ze sobą. Popatrzyłyby na Florę z szyderczym uśmiechem.

– Zabieram go, teraz jest tylko mój.

Nathan zabrał ją do największego domu handlowego w Kuala Lumpur. Wyglądał jak duże szwedzkie domy towarowe, zdumiała ją różnorodność asortymentu. Musiała zapomnieć wziąć z domu okulary przeciwsłoneczne lub zgubić je w samolocie. Wreszcie mogła kupić nowe.

Dał jej jasno do zrozumienia, że nie może trzymać go za rękę czy okazywać innych dowodów czułości, gdyż zostałyby to źle odebrane. W tym kraju tak się nie robi. Nie okazuje się uczuć, a już na pewno nie publicznie.

– Odbijemy to sobie w hotelu – rzucił. Zaraz wrócił mu dobry nastrój.

Zakupy też były jego pomysłem.

– Ożywisz się trochę. Buszowanie po sklepach poprawia kobietom humor, wiem coś o tym.

Był dwa razy żonaty, raz w związku partnerskim. Na półce w jego salonie stały zdjęcia wszystkich dzieci – albo w czapkach studenckich, albo w kreacjach ślubnych. Miał ich sześcioro. Wypytywała o ich matki, zadrezczała się szczegółami.

– Matką tych dwojga jest Ann-Marie. Są do niej podobne, te same niebieskie oczy, ale na szczęście, że się tak wyrażę, inna kondycja psychiczna. Mamą bliźniaczek i Mickego jest Nettan. Z Nettan byłem żonaty pięć lat, z Ann-Marie siedem. Później wystrzegalem się ślubów jak ognia. Gdy spotkałem Barbro, postanowiliśmy, że tylko zamieszkamy razem. Ona też nie chciała wychodzić za męża. Dopiero co rozwiodła się z szaleńcem, który bił ją do nieprzytomności. Mieszkałem z nią przez cztery albo pięć lat, mamy córkę Jenny.

Z Jenny był bardzo dumny, pracowała jako fotomodelka. Szczupła kobieta z sarnimi oczami, wykapana matka.

– A później, chyba nie żyłeś sam?

Machnął ręką

– Sam jak sam...

– Dlaczego wam się nie układało? – pytała Justine. – Czy aż tak trudno z tobą wytrzymać?

– Te trzy panie miały jedną wspólną cechę: skłonność do hysterii.

– Jak to hysterii?

– Wolałbym się w to nie wgłębiać.

– Czy ja też jestem histeryczką?

– Z tego, co widziałem do tej pory, to nie. Ale obiecuję, że ci powiem, gdy coś zauważę.

– A która z nich była najlepsza w łóżku?

Popchnął ją na tapczan i położył się na niej, przykrył jej usta dłonią.
 – Kochanie moje, pierwsza jesteś ty, druga jesteś ty, trzecia jesteś ty...

Przebierała w ubraniach, lecz wszystko było za małe. Malezyjki nie sięgały jej nawet do ramion. Sprawiały wrażenie odlanych z jednej formy, talie miały wąskie jak jej udo.

Chodźmy już stąd, pomyślała.

Nathan rozmawiał z ekspedientką, przyglądali jej się razem. Kobieta podeszła do niej, na szyi miała zawieszony centymetr.

Powiedziała coś, czego Justine nie rozumiała.

– Pyta, jaki nosisz rozmiar.

– A po co? I tak nic mi się tu nie podoba.

Nathan trzymał w rękach jakiś kostium. W sam raz dla Pigejka.

– Pomyślałem sobie, że skoro jesteśmy wśród ludzi, wolałabyś może nosić coś bardziej eleganckiego. Mimo wszystko jesteśmy jeszcze w cywilizowanym świecie.

– Popatrz na to, Nathan. Naprawdę sądzisz, że się w coś takiego wciśnę? Naprawdę tak myślisz? To jest rozmiar dla dziecka!

– Może akurat nie ten, ale większy.

Zwrócił się do ekspedientki, miała duże, brązowe oczy.

– *Bigger size?** – zapytał.

Ekspedientka uśmiechnęła się krzywo. Zabrała kostium i poszła szukać.

– Chodźmy już – szepnęła Justine.

– Przestań się wygłupiać!

– Nathan, nic nie rozumiesz!

– Właśnie! Za cholerę nie rozumiem! Mam ochotę sprawić ci w prezencie ładny kostium, a ty zachowujesz się jak krnąbrny dzieciak.

* Większy rozmiar? (ang.).

Poszedł w stronę lady, Justine za nim. Ekspedientka wróciła i rzuciła mu wyczekujące spojrzenie.

– *Well?** – zapytał.

– *Sorry sir, not bigger size**.*

– Jakbym była upośledzona! – wybuchnęła Justine, gdy zeszli na parter. – Kompletnie mnie ignorowała!

– E tam!

– Zwracała się tylko do ciebie, rozmawiała tylko z tobą.

– Zapewne zauważyła, że jesteś skwaszona i niechętna.

Justine założyła ciemne okulary. Znowu się rozplakała, bolała ją głowa.

Wieczorem dostała okresu. Pomyślała, że to wszystko wyjaśnia. Powiedziała o tym Nathanowi: przepraszam, że byłam taka marudna.

– Domyślałem się, że chodzi właśnie o to. Znam się na kobietach, wiem, że miewają swoje humory.

Nie chciała być jedną z kobiet, które znał od tej strony. Położyła się obok niego w wąskim łóżku. Chciała, by ją przytulił, nic więcej.

– Jutro przed południem mam się spotkać z Benem – powiedział. – Naszym przewodnikiem po dżungli.

Przyciągnęła do siebie jego rękę i położyła ją na swoim brzuchu.

– Boli cię?

– Tak – odszepnęła.

Pocałował ją.

– Połóż się na boku, poprzytulamy się chwilę.

Krwawiła mocno w nocy. Zaplamiła i prześcieradło, i materac. Nie chciała, by zobaczyły to pokojówki, próbowała zmyć plamy, niestety, bez skutku.

* I co? (ang.).

** Przepraszam pana, nie ma większego rozmiaru (ang.).

Jedli z Nathanem śniadanie w restauracji przylegającej do hotelu. Zamówili sok, kawę z mlekiem i białą kremową mazią na dnie, która była zapewne rodzajem substancji słodzącej. Mieszała płyn z podejrzliwym wyrazem twarzy. Nathan jadł roti, danie przypominające naleśnik z sosem mięsnym. Dookoła pełno posilających się ludzi, wszyscy jedli palcami.

– Jak widzisz, używają tylko prawej ręki, lewa jest nieczysta – objaśnił Nathan.

– To co robią lewą ręką?

– Sama się przekonaj.

Justine miała bolesne skurcze brzucha, jakby wbijały się weń drobne paznokcie. Zawsze tak się czuła podczas pierwszych dni menstruacji, nie były w stanie temu zaradzić żadne tabletki przeciwbólowe.

– Może powinnaś zostać w hotelu – zaproponował Nathan. – Kiepsko wyglądasz.

Pomyślała o pokojówkach.

– Nigdy w życiu. Wolę iść z tobą.

Pojechali przez miasto taksówką. Nathan pokazywał jej zabytki, Meczet Narodowy z wachlarzowym sklepieniem i ponad siedemdziesięciometrowym minaretem. Modulował swój głos, udając przewodnika:

– Na prawo widzą państwo słynne bliźniacze wieże...

Wyglądał jak rozentuzjasmowany chłopiec.

– Kocham cię – powiedziała głośno. – O Nathan, włóż mnie do kieszonki na piersi, noś ze sobą i zostaw mnie tam już na zawsze!

Mężczyzna o imieniu Ben czekał na nich w klimatyzowanym pomieszczeniu. Na stole stały sok i herbata. Justine intuicyjnie poczuła zaufanie do Bena. Zachowywał się swobodnie, nie było w nim nic z wyrachowania czy złej woli.

– Wybiera się pani do dżungli, by poobcować trochę z tygrysami i słoniami – zażartował i podał jej szklanekę soku. Mówił czystą, poprawną angielszczyzną.

– No cóż, raczej wolałabym uniknąć tego obcowania.

– Ale wie pani, że na terenie, po którym będziemy się poruszać, są i tygrysy, i słonie.

Obserwował ją, by zobaczyć jej reakcję. Potem się roześmiał.

– Nieczęsto się je spotyka. Omijają nas szerokim łukiem, na ogół boją się bardziej niż my.

– Czy zdarza się, że atakują ludzi? – zapytał Nathan.

– Owszem, ale to było dawno temu.

– Bardziej niż tygrysów boją się słonie – wymamrotała. – Pewien człowiek posadził mnie kiedyś w cyrku na słoniu. Byłam tam z ojcem. Nikogo nie interesowało, czy tego chcę. Nagle znalazłam się wysoko, siedziałam bezpośrednio na tej pomarszczonej skórze. Kilka tygodni później usłyszałam, jak ojciec mówi, że jeden ze słoni cyrkowych miał atak szału. Zerwał się z łańcucha i wpadł w amok.

Ben uśmiechnął się do niej. Jego brązowe policzki były okrągłe, nos szeroki i płaski. Urodził się w dżungli, lecz otrzymał staranne wykształcenie i studiował nawet na uniwersytecie w Kuala Lumpur.

– Słonie nie powinny być w cyrku – skomentował. – Każdy może oszaleć od czegoś takiego.

Spędzili sporo czasu, rozmawiając z Benem. Oglądali mapy, sporządzali długie listy rzeczy do zrobienia i kupienia. Późnym wieczorem poszli na kolację. Serwowano właściwie tylko jedno danie, smażony ryż z kurczakiem. Justine była głodna. Jednak na kawałkach kurczaka nie było zbyt wiele mięsa, składały się głównie z kości. Zamówili po coca-coli.

Nathan powiedział, że marzy o zimnym piwie.

– Tutaj nie mają piwa – poinformował Ben. – Znam inne miejsce, pójdziemy tam następnym razem.

Tej nocy spała mocno i nawet się nie obudziła, gdy muezin rozpoczął koło szóstej rano swoją modlitewną tyradę.

Wzięła prysznic razem z Nathanem. Namydliła jego rosłe, jasne ciało, nie mogła się nacieszyć dotykiem go. Czasem jej ręce wprost tęskniły za tym, chciały czuć jego skórę, jego ciepło, był taki pełen życia i energii. Pod prysznicem dostał silnej erekcji, a ona uklękła i przyjęła go ustami.

Miał potem łzy w oczach.

– Czasem nachodzi mnie niemal ochota, by jeszcze raz się ożenić – powiedział, gładząc ją po policzku.

– Myślisz, że mogłoby się udać? A może też stałabym się histeryczką?

– Musiałabyś się pilnować.

Włożyła wypraną bieliznę, była jeszcze wilgotna, ale powinna wyschnąć na cieple.

– Dziś spotkamy się z ludźmi, którzy pojedą z nami na wyprawę – przypomniał.

– A co to za ludzie?

– Chyba dwóch Norwegów, kilkoro Niemców, jakiś facet z Islandii i – niespodzianka – jedna Szwedka. Poznamy ich za jakąś godzinę u Bena.

3

Ojcju nie było dane spocząć w miejscu, które w jego zamyśle miało stać się grobowcem rodzinnym – tam gdzie leżała jego francuska żona. Nie, został pochowany na przeciwległym krańcu cmentarza, gdzie znajdowały się nowsze, mniejsze grobowce.

Justine słyszała, jak Flora tłumaczy Violi:

– Nie pozwolę, by tych dwoje było razem po śmierci. Mielibyśmy tam potem leżeć wszyscy troje? Nigdy! Gdy ja odejdę, będziemy tylko we dwoje, tylko on i ja.

– A mała Justine?

Flora zaśmiała się bezdźwięcznie.

– Mała Justine nie jest już taka mała, nie widzisz, że wyrosła i wygląda nawet na nieco przejrzałą?

Viola od razu się naburmuszyła, jakby poczuła się dotknięta. Ją też można było uznać za przejrzałą. Kobieta w wieku sześćdziesiąt plus; dom towarowy, w którym pracowała, zaproponował jej wysoką odprawę, zachęcając do założenia własnej firmy. Prawda była taka, że nie chcieli, by na stoisku z perfumami pracowały tak stare kobiety. Nie przyciągały klientów tak jak młodsze ekspedientki. Przeciwnie – mogły wpływać na nich wręcz odstraszająco.

Violi nie pozostało zatem nic innego, jak przyjąć pieniądze. Wynajmowała teraz mały, drogi lokal w pobliżu placu Hötorget. Otworzyła sklep Violas Body Shop, sprzedawała mydła, perfumy i ekskluzywną bieliznę. Zaproponowała, że przyjmie Justine na praktykę, może udało by się ją przysposobić do przejścia interesu w przyszłości. Justine spędziła tam kilka dni. Stała za ladą w różowym nylonowym fartuchu, jak postanowiła Viola, która także ją umalowała i zabrała do fryzjera.

Nic z tego nie wyszło.

– Jest wręcz niegrzeczna dla klientów – zameldowała Viola siostrze. – Udaje, że nie słyszy, o co pytają, stoi tam i myśli o niebieskich migdałach. Zabierz ją!

– Nigdy nie nalegałam, byś ją wzięła, to był wyłącznie twój pomysł. Mówiłam ci, że nic z tego nie będzie. Ona ma coś nie tak z głową, ale ty nigdy mi nie wierzyłaś.

Po śmierci ojca nadal mieszkali razem w domu, a ich życie toczyło się tym samym co zawsze rytmem. Sporo się jednak zmieniło. Flora

wciąż rozmawiała ze swoim mężem po zamknięciu drzwi sypialni, mówiła tak głośno, że Justine słyszała ją przez ścianę. Robiła mężowi wyrzuty, że ją zostawił, groziła sprzedażą domu i kupnem mieszkania w mieście.

To samo powiedziała Justine.

– Nie myśl sobie, że będziemy tu mieszkać w nieskończoność. To nie jest normalne, by dwie dorosłe kobiety dzieliły ze sobą dom, powinnaś była wyprowadzić się wiele lat temu. Dla mnie i Svena byłaś przez całe nasze wspólne życie jak wrzód na tyłku. Twój ojciec zawsze na ciebie chuchał i dmuchał, ale teraz już go nie ma i mogę cię po prostu stąd wyrzucić. Nie miałby mi tego za złe, podziękowałby mi nawet, bo wiedział, że robiłam wszystko tylko dla twojego dobra. Kobiety znają się na takich sprawach lepiej niż mężczyźni.

Justine wolała jej schodzić z oczu, kiedy była w takim humorze. Czasem wsiadała do samochodu i jechała do skałek w Lövsta, chodziła po znajomych ścieżkach, ale nigdy długo, gdyż niepokój gnał ją z powrotem do domu. Co Flora mogła wymyślić w tym czasie? Może zamówiła pośrednika, który teraz chodzi po domu i sporządza wycenę?

Trwało to wiele lat.

Rano piły razem kawę, każda po swojej stronie stołu, obie ubrane, żadna nie chciała pokazywać się tej drugiej w szlafroku. Byłby to pewnego rodzaju akt kapitulacji. Flora miała zawsze makijaż, wiotką skórę powiek malowała na niebiesko. Coraz trudniej było jej rozprowadzać równomiernie cień, miała już osłabiony wzrok.

Gdy robiło się ciepło, przenosiła się na balkon lub do ogrodu. Zawsze kochała słońce. Prosiła Justine o pomoc z leżakiem i o przyniesienie karafki z białym winem i wodą. W mocnych okularach na nosie przesiadywała tam, malując paznokcie, jedną warstwę po drugiej.

Dostała udaru właśnie takiego dnia, gdy wypoczywała na leżaku na balkonie. Był jasny, piękny, wiosenny dzień, jeden z pierwszych naprawdę

ciepłych. Włożyła bikini i pochwaliła się Justine, że ma je jeszcze od czasów młodości, jej ciało było nadal tak filigranowe jak u dziewczynki. Miała tylko problemy z chodzeniem po schodach.

Potem powiedziała, że umówiła się z pośrednikiem.

– Zastanawiam się nad kupnem mieszkania przy Norr Mälarstrand. Z dużym tarasem. Mogłabym tam przesiadywać i opalać się, wiesz, jak lubię ciepło.

– A co ze mną? – zapytała Justine.

– Też powinnaś sobie coś kupić. Dom zostanie przecież sprzedany. Pośrednik twierdzi, że jest sporo reflektantów.

Flora opadła na poduszki i ułożyła się wygodnie. Słońce świeciło na kościste, bezwłose nogi. Posmarowała je kremem, tak samo jak brzuch i ręce. Przytknęła kieliszek do ust i upiła łyk wina.

Justine powiedziała potem Nathanowi, że była w tym momencie wściekła na Florę.

– Tak wściekła, że mogłabym ją zabić. Pomyślałam, że mogłabym dodać czegoś do wina, które popijała, jakiejś trucizny. Tylko skąd wziąć coś takiego? Truciznę? Wchodzi się do apteki i prosi o kilka gramów strychniny? Bo chyba czegoś takiego używają zwykle w kryminałach? Wysłałam do ogrodu, wsiadłam do łodzi, ruszyłam z kopyta; ojciec nigdy tego nie tolerował, mawiał, że trzeba startować spokojnie i ostrożnie. Ale ja byłam rozwścieczona, zresztą jestem pewna, że by mnie zrozumiał, on też chciał zachować ten dom. Przez wzgląd na mamę. Zrobiłam kilka okrążeń po jeziorze, zupełnie sama, bo to był zwykły dzień, wszyscy w pracy. Zastanawiałam się, co dalej, jeśli będziemy musiały się wyprowadzić, i czy mam szansę jeszcze ją powstrzymać.

– Ten dom nie należał do was obu?

– Pewnie tak, ale ja zupełnie nie interesowałam się sprawami formalnymi.

– Nie podpisywałaś nigdy żadnych papierów?

– Może i tak. Nie pamiętam, byłam w dołku po śmierci ojca.

Pokręcił głową.

– Justine, takie rzeczy trzeba pamiętać.

– Trzeba jak trzeba. Ja nie pamiętam. W każdym razie, gdy wróciłam, na balkonie nie było już słońca. Myślałam, że Flora jest w środku, poszłam prosto do kuchni i zajęłam się obiadem. Tym razem nie było mnie w domu wyjątkowo długo, pamiętam, że gdzieś przycumowałam i że wokół panowała kompletna cisza, słychać było tylko ptaki. Stałam tam na brzegu i życzyłam jej śmierci, Nathan. Naprawdę tego pragnęłam.

– Dałaś jej kiedykolwiek szansę? By została twoją matką?

– Nie rozumiesz... Flora nie jest kobietą, której się coś daje, tylko taką, która sama bierze.

– Powinienem chyba kiedyś odwiedzić ją razem z tobą?

– Nie – odparła pospiesznie. Jakby stara kobieta-zmora wraz z całą swoją mocą miała nagle powstać ze szpitalnego łóżka, jakby mogła jeszcze nabrać sił i zacząć znowu jej zagrażać. – Potem poszłam na górę, ciągnęło trochę chłodem z piętra, wyjrzałam i zobaczyłam, że siedzi w jakiejś nienaturalnie wykręconej pozycji. Wyglądało to makabrycznie... Ta sucha, starcza skóra na brzuchu, a do tego bikini... Miała udar. Próbowałam postawić ją na nogi, bełkotała, była jakaś dziwna. Potem okazało się, że jest całkiem sparaliżowana i nawet nie może mówić. Więc wysłałam ją do szpitala, a potem już nigdy nie wróciła.

Wziął obie jej dłonie w swoje.

– Kochanie, mam wrażenie, że jesteś nieco okrutna.

– Miała nade mną władzę przez tyle lat.

– Wybacz, Justine, ale chyba trochę przesadzasz.

– Nie przesadzam.

– Na pewno nie było łatwo zostać macochą takiego rozpuszczonego dzieciaka jak ty.

– Gdybyś ją poznał, tobyś jej nie bronił.

– E tam, na pewno nieraz należało ci się lanie.

– Nathan!

Rozmowa przerodziła się w zabawę, umiał sprawić, że zapominała o wszystkim, co złe i bolesne, uwielbiał mocować się z nią i ściągać z niej ubrania, sztuka po sztuce, jak trofea. Wsuwał się pomiędzy jej uda, całował i pieścił, dopóki jej ciałem nie zaczynały wstrząsać skurcze orgazmów. Napawał się jej zdumieniem, jej wdzięcznością. Kobieta w jej wieku, zupełnie bez doświadczenia.

A przecież nosiła w swoim łonie dziecko.

Gdy mu o tym powiedziała, odrzekł, że się domyślał. Była szersza, ścianki jej wnętrza nie zwierzały się w taki sposób jak u zupełnie młodych kobiet. Zapewniał gorliwie, że nie ujmuje jej to atrakcyjności. Fascynowały go przede wszystkim kontrasty: choć była duża i rozkoszna, nie miała w sobie krztyny sztuczności.

Historię z ptakiem uznał za kompletnie szaloną. Zaprosiła go kiedyś do domu, a gdy nadleciał ptak, krzyknął z zaskoczenia. Miała nadzieję, że poczuje do niego sympatię. Musiała zamknąć drzwi na strych, póki Nathan był w domu. Ptak nie był przyzwyczajony do gości, słyszała jak skrzeczy i szamoce się na górze.

– Wypuszczę go na wolność – oznajmił Nathan. – To dręczenie zwierząt.

– Jeśli to zrobisz, umrze. Zaatakują go inne ptaki, zadziobią na śmierć.

– Nie byłoby dla niego lepiej umrzeć szybko, choć brutalną śmiercią, niż być zamkniętym w domu przeznaczonym dla ludzi?

– Nie rozumiesz, on lubi ten dom, a ja się nim opiekuję.

– Zapewne nie jest to też higieniczne.

– Wszyscy bez przerwy gładzą o czystości. Uważasz, że u mnie jest brudno?

– Nie, ale...

– Dajmy spokój ptakowi. Chodź, pokażę ci coś innego.

Wyjęła swoje zdjęcia z dzieciństwa, zdjęcie matki i zdjęcie ślubne Flory i ojca.

– Aha, to ma być ta osławiona Flora?

– Tak.

– Ale kościotrup.

– Zawsze była szczupła i piękna.

– To taki typ, że słyhać, jak kości grzechocą. Nie, Justine, to ty jesteś piękna, jesteś taka, jaka powinna być kobieta. Kragła i pulchna, przynajmniej jest w czym zatopić zęby.

Wpił się ustami w wewnętrzną stronę jej ramienia, zostawiając dużą bordową malinkę.

Gdy zobaczył róg pocztowy, zdjął go z haczyka i próbował w niego zadać. Instrument nie wydał ani jednego dźwięku, choć Nathan starał się tak, że aż poczerwieniał.

– Jest zepsuty, prawda? – zapytał.

Wzięła od niego instrument. Skomponowała kilka melodii jeszcze w dzieciństwie, były proste i łatwe do zapamiętania. Zagrała mu teraz parę z nich.

Chciał spróbować jeszcze raz. Dmuchał, prychał, aż w końcu wydobył jakiś głuchy, ochrypły dźwięk.

– A mnie szło dobrze od samego początku – powiedziała ze spokojem. – Dostałam go kiedyś od ojca. Mówił, że to instrument stworzony dla mnie.

Nawet Nathan uważał, że powinna sprzedać dom.

– Zrób to, zanim ptak go całkiem zanieczyści i zniszczy.

– Nie rozumiesz. Chcę tu zostać. Moja mama wybrała ten dom. Zawsze tu mieszkałam.

– Właśnie dlatego. Jak myślisz, w ilu domach mieszkałem? Sam nie umiem ich zliczyć. Trzeba przenosić się z miejsca na miejsce, szukać

nowych perspektyw. Człowiek karłowacieje od oglądania tego samego pieprzonego widoku dzień w dzień. Trzeba się rozwijać, Justine, mieć odwagę wyjść na spotkanie przygodzie.

Grupa zebrała się u Bena. Kiedy przyszli Nathan z Justine, byli tam już obaj Norwegowie. Tuż przed trzydziestką, nazywali się Ole i Stein. Po chwili pojawili się Islandczyk i troje Niemców – Heinrich, Stephan i Katrine. Heinrich był najstarszy z nich, miał ponad sześćdziesiąt lat. Islandczyk nazywał się Gudmundur.

Na końcu pojawiła się Martina. Otworzyła drzwi, weszła i usiadła, jakby знаła wszystkich od dawna, jakby nie było jej tylko przez chwilę, bo skoczyła coś załatwić.

– Cześć, długo na mnie czekacie?

Była ubrana w cienkie bawełniane spodnie, tak cienkie, że przeświływały jej przez nie majtki. Włosy upięła w kok. Przez ramię miała przewieszony na szerokim pasku aparat, duży i profesjonalny.

Jeden z Norwegów zagwizdał z podziwem.

– Nikon? Czy to nie F4?

– Owszem – odparła Martina. – To mój służbowy aparat.

– Jesteś fotografem?

– Właściwie dziennikarką, wolnym strzelcem. Muszę też robić zdjęcia.

– To chyba trochę waży, prawda? Będziesz go ciągać ze sobą w dżungli?

– Przez ostatni rok ciągałam go ze sobą przez połowę kuli ziemskiej, więc nie przewiduję problemów.

Była najmłodszą uczestniczką. Miała dwadzieścia pięć lat i była przyzwyczajona do podróżowania w samotności.

– Martina obiecała napisać reportaż z naszej wyprawy – wyjaśnił Nathan. – Pomoże mi też przy promocji mojej nowej firmy. Jesteście pionierami, wszystko zależy od was...

Wszyscy się roześmiali.

Ben przekazał im przydatne informacje. Zdecydował, że od tej pory będą rozmawiać po angielsku.

– Żeby nikt nie czuł się wykluczony. Pamiętajcie o jednym: wszyscy należycie do grona szczęśliwców, którym będzie dane zobaczyć jedno z najpiękniejszych miejsc na ziemi. Puszcę tropikalną z jej bogactwem flory i fauny. Puszcę tropikalną, która jeszcze istnieje, lecz kurczy się w szybkim tempie. Powinniście być też przygotowani na trudy tej wyprawy... Dla niektórych pewne odcinki będą dość ciężkie, musimy też wziąć ze sobą spory bagaż. W dżungli nie ma dróg i ścieżek, trzeba się czołgać, wspinać i balansować na krawędziach. Będziemy musieli torować sobie drogę parangami, specjalnymi nożami, które kupimy jutro, kompletując sprzęt. Wejdziemy na tereny, których do tej pory nie tknęła jeszcze stopa białego człowieka. Nadal można się wycofać. Macie całą noc na podjęcie decyzji.

Wieczorem Ben zabrał ich do chińskiej restauracji, w której serwowano też piwo. Justine wolałaby kieliszek wina, lecz w tym kraju zdobycie tego rodzaju trunku wydawało się niemożliwe. Siedziała obok Heinricha, do którego od razu poczuła sympatię. Planowali z żoną wspólne podróże po przejściu na emeryturę, lecz kobieta zachorowała na raka i zmarła niecały rok wcześniej.

– Po jej śmierci zrezygnowałem z pracy, robię to dla siebie i dla niej – zwierzył się. – Czuję się tak, jakby cały czas była ze mną. Rozmawiam z nią wieczorami, opowiadam, co robiłem. Dzielenie się z kimś swoimi przeżyciami to połowa całej radości.

Piwo sprawiło, że Justine nieco się odprężyła.

– Trudno jest pogodzić się ze śmiercią kogoś bliskiego – rzuciła.

– Else była taka urocza... – Wyciągnął portfel i pokazał jej szybko, lekko zażenowany, zdjęcie zmarłej żony. Wyglądała dość pospolicie. Justine nie wiedziała, co powiedzieć. – Byliśmy małżeństwem prawie czterdzieści lat. A wy, od jak dawna jesteście po ślubie?

– My? Nie, Nathan i ja... my... nie wiem, jak to określić po angielsku. Jesteśmy razem, ale nie mamy ślubu i nie mieszkamy razem.

– *Lovers?**

– Nie, coś więcej. Pewnie się pobierzemy, rozmawialiśmy już o tym.

Martina miała teraz na sobie sukienkę, jej włosy błyszczały świeżością. Nieczęsto się odzywała, przyglądała im się badawczo, każdemu po kolei. Gdy jej wzrok zatrzymał się na Justine, zapytała szybko po szwedzku:

– Pierwsze białe kobiety w dżungli, co ty na to?

Młodszy Niemiec, Stephan, pogroził jej palcem i objął ją ramieniem.

– Ej, obowiązuje angielski!

– Powiedziałam tylko, że Justine, ja i twoja dziewczyna, Katrine, będziemy się świetnie bawić w dżungli w towarzystwie tak wielu przystojnych facetów.

Po powrocie do hotelu spakowali swoje rzeczy. Zamierzali wyruszyć wcześniej rano, pojechać w głąb kraju autobusem do pewnego miasteczka na skraju dżungli. Tam mieli przenocować i skompletować resztę sprzętu.

Justine była gotowa, wślizgnęła się jeszcze do łóżka. Ogarnął ją jakiś dziwny smutek. Pomyślała, że to wszystko przez okres, jej ciało było ciężkie i napuchnięte.

– Znałeś wcześniej kogoś z tych ludzi? – zapytała.

– Nie.

– Ale mówiłeś, że Martina obiecała zrobić reportaż?

– Spotkałem się z nią wczoraj, gdy ucinałaś sobie drzemkę dla urody.

– Nic mi nie mówiłeś.

– Mam ci zdawać sprawozdania z każdego kroku, który zrobię?

* Kochankowie? (ang.).

- Nie o to mi chodziło...
- Całe szczęście.
- Wydaje mi się to nieco zuchwałe – młoda dziewczyna, która samotnie udaje się na taką wyprawę.
- Tak uważasz? Współczesne dziewczyny są dość przebojowe. Nie mogła się powstrzymać.
- Nathan?
- Tak?
- Uważasz, że jest seksowna?
- Głupiutka jesteś. Wiesz dobrze, że żadna nie równa się z tobą.
- Na pewno?
- Do jasnej cholery! Przecież ona mogłaby być moją córką!

W nocy dostała dreszczy. Zerwała się w samym środku snu. Ciało wśród liści, jej własne. Silne, palące pragnienie porało jej język bruzdami. Poruszała się po omacku w mroku, wszystko było czarne. Leżała na boku, jedna noga uciskała drugą, kolana i stawy.

Pląkała bezgłośnie.

– Nathan...

Kiedy wreszcie wstał z łóżka, był zły.

– Do cholery, musimy się wyspać, jutro czeka nas ciężki dzień.

Było pięć po drugiej.

Czubki jego palców.

– Kurde, jesteś rozpalona.

Przyniósł tabletkę alvedonu i wodę.

– Kochanie, musisz się pozbierać do jutra, bo jak nie, będziemy mieć kłopoty.

– Tak, Nathan, wiem...

Twardy, odbijający się echem głos muezina. Marzła jak nigdy w życiu.

– Muszę iść do toalety...

Pomógł jej przejść, przemył twarz. Zobaczyła, że w rogu coś się rusza. Krzyczała i biła na oślep rękami.

– To nic takiego, to tylko karaluch, uspokój się, kochanie, uspokój się...

Z powrotem do łóżka.

– Nie mogę, nie dam rady...

– Mam sprowadzić lekarza?

– Nie, daj mi tylko...

Zszedł do recepcji i przyniósł dwa koce. Nie pomogło. Uczepiła się jego ręki.

– Nie mogę nigdzie jechać...

– Rozumiem, skarbie.

Musiał wyjść z hotelu. Justine miała w gorączce omamy. Była w dzungli, tonęła; Martina stała na rozstawionych nogach w rzece. Potem jakby coś uniosło ją z szorstkiego materaca; połyskujący strumień karaluchów; zwisła przechylona, zwinięta w pół. Ktoś ją przytrzymał, ktoś smarował jej plecy maścią tygrysią. Czowała chłód pomiędzy łopatkami. Szklanka przytknięta do jej ust. Ktoś powiedział: pij. Łyknęła wody, opadła do tyłu, a wtedy z mroku wyłoniły się zjawy.

Wieczorem znowu był przy niej.

– Nathan, wołałam cię...

– Siedziałem przy tobie prawie cały czas. Czuwałem, byłaś bardzo chora.

– Jaki to dzień?

– Środa.

– A wczoraj był wtorek?

– Tak, wtorek. Byłaś bardzo chora... ale już jest lepiej, kryzys minął. Dostałem lekarstwo od Bena. Możemy jechać jutro.

Na myśl o podróży chciała znowu zamknąć oczy, wciągała gwałtownie powietrze.

– Ben mówi, że jutro poczujesz się o wiele lepiej. Dostałaś lek, który działał cuda. Musisz dużo pić. Wypij obie te butelki.

Nie dawał jej spać. Gdy drzemała zbyt długo, budził ją i wmuszał w nią wodę. Przestała marznąć. Ból w stawach zaczął ustępować. Nathan siedział przy niej, nigdzie nie wychodził.

– Przepraszam – wyszeptwała. – Przeze mnie macie... mamy poślizg.

– Nie przepraszaj, to nie twoja wina. W takiej podróży trzeba być przygotowanym na to, że wszystko może się zdarzyć.

– A co z resztą?...

– Lepiej, że przytrafiło się to teraz, a nie w dżungli, prawda?

– O rany! – jęknęła. – Myślisz, że dam radę?

Następnego ranka było po wszystkim, gorączka całkowicie ustąpiła. Justine była zdrowa, choć wyczerpana i osłabiona. Nathan pomógł jej wziąć prysznic. Nadal krwawiła. Nie złościł się, podśpiewywał, wycierając ją do sucha.

Na dworzec autobusowy pojechali taksówką. Trzymała plecak na kolanach. Była tak osłabiona, że nie chciała czuć jego ciężaru na ramionach.

Autobus był stary i zdezelowany, szybko wypełnił się ludźmi. Ben dopilnował, by siedzieli blisko siebie. Zniszczone siedzenia stały ciasno, nie wystarczyło ich dla wszystkich pasażerów. Kilku młodych chłopaków usadowiło się na rozkładanych krzeselkach na samym przodzie. Było ich jej szkoda.

Grupa przyjęła ją bardzo ciepło.

– Wybaczcie mi – powiedziała zażenowana.

– Następnym razem kolej na nas – odparł Islandczyk.

Podobał jej się jego sposób mówienia.

Heinrich kupił dla niej torebkę kandyzu.

– Przyda ci się trochę cukru – stwierdził, dając jej przyjazną sójkę w bok. – W dzieciństwie, gdy chorowaliśmy, dostawaliśmy zawsze w domu, w Hanowerze, pożywkę cukrową.

– Dziękuję – wyszeptwała. – Jesteście tacy mili.

Martina siedziała po przekątnej przed Justine.

– Czujesz się lepiej? – zapytała.

Justine pokiwała głową.

– Zachorowałam na coś podobnego w Peru. Rzuciło mi się potem na oczy, myślałam, że oślepnę. Pomyśl, poruszać się po omacku w ciemnościach w zupełnie obcym kraju.

– To jak z tego wyszłaś?

– Pewien mężczyzna, którego tam poznałam, załatwił jakieś proszki. Coś, czego używają Indianie. Diabelnie piekły mnie oczy, ale po upływie doby przeszło.

– Że też się odważyłaś! Mogłaś naprawdę oślepnąć!

– Teraz też mi się tak wydaje. Ale czasem trzeba zaryzykować.

– Ja dostałam od Bena magiczne lekarstwo.

Martina prychnęła.

– Szwedzki zarząd zdrowia posrałby się ze strachu, widząc tutejsze warunki sanitarne.

– O, tak.

– Spróbuj odpocząć w czasie podróży, zdaje się, że potrwa cały dzień.

Kierowcą autobusu był gruby, humorzasty Chińczyk. Zatrzymał się na postój tylko dwa razy, najpierw na szybki lunch, a potem na ośmiodziesięciminutową wizytę w toalecie. Podniósł swoje serdelkowate palce z podwiniętymi kciukami:

– *And I tell you, only eight minutes. After that: Bus is gone!**

Toaleta była niewiarygodnie brudna i składała się z otworu w podłodze. Justine ledwo utrzymała równowagę. Zmoczyła sobie buty.

Nie było papieru.

Zapytała potem Nathana:

* Uprzedzam, tylko osiem minut. Potem autobus odjeżdża! (ang.).

– Czy te toalety muszą być takie obrzydliwe? Ohydnie śmierdziało, czy oni tego nie czują?

– Wytrzymaj, w dżungli będzie lepiej. – Roześmiał się. – Tam jest przynajmniej świeże powietrze i dużo liści.

– Ale są też *leeches*! – dodała Martina.

Nie wiedziała, co oznacza to słowo. Po chwili zapytała Nathana. Popatrzył na Martinę i uśmiechnął się konspiracyjnie.

– Przekonasz się w swoim czasie.

W autobusie Martina siedziała zwrócona w ich stronę, trzymając nogi w przejściu. Przy jej siedzeniu brakowało podpórki pod rękę. Dziewczyna miała drobną, ładną twarz, ciemne brwi. Otaczał ją delikatny zapach mydła. Zrobiła im kilka zdjęć.

Nagle autobus zjechał gwałtownie na bok, tak że omal nie upuściła aparatu.

– Pieprzony wariat! – krzyknęła.

Nathan ją przytrzymał.

– W porządku?

– Jasne. Choć ten sukinsyn na pewno nie chodził na kursy *savoir-vivre*'u.

– Raczej nie. Ale pomyśl, jak długą drogę mamy do przejechania, na pewno nie chce jechać po zmroku. Cholera wie, czy ten złom ma w ogóle światła.

– W Gwatemali jechałam całą noc autobusem, który nawet nie umywał się do tego. Ten to istny luksus. Jechaliśmy z Tikal do Guatemala City na twardych, niewyściełanych ławkach... Możesz sobie wyobrazić, jakie mieliśmy poobijane tyłki, kiedy wreszcie nad ranem dotarliśmy na miejsce.

– Robiłaś reportaż? – zapytał Nathan.

– Tak. Sprzedałam swoją robotę magazynowi „Res”. Poświęcili temu sporo stron, dostałam nawet okładkę.

Zmierzył jej włosy.

– Jesteś cholernie dobra, Martina. Zrobisz coś podobnego teraz.

– Ile dajesz?

– Słuchaj... Jeśli chcesz, mogę ci zapłacić w naturze. Na pewno jakoś się dogadamy...

Posłała mu chytre spojrzenie.

– Jest taka stara, dobra angielska zasada. *Don't screw the crew!**

Islandczyk rzucił:

– Martina, w Gwatemali nie było niebezpiecznie?

– Owszem. Kilka razy kontrolowali mnie żołnierze.

– Wydaje mi się, że to trochę ryzykowne, wręcz głupie, gdy młoda kobieta prowokuje w ten sposób los, podróżując samotnie.

– Niby dlaczego? Czy kobieta nie powinna mieć takiej samej swobody poruszania się jak facet?

– Na pewno wiesz, co mam na myśli.

– Nigdy nie spotkałam nikogo, kto chciałby mnie zgwałcić, jeśli o to ci chodzi. Raz straciłam paszport, ale pomogła mi ambasada.

– Podróżowałaś po całym świecie? – zapytała Justine.

– Nie, nigdy nie byłam na Islandii. I jakoś mnie tam nie ciągnie.

Dotarli na miejsce późnym wieczorem. Nadal było bardzo upalnie. W powietrzu unosiło się mnóstwo ptaków, przypominały jaskółki, ich srebrzyste, błyszczące korpusy wypełniały biegnące we wszystkich kierunkach druty telefoniczne. Ben był zachwycony.

– Och, tak się cieszę, że mogliście to zobaczyć. To wędrowne ptaki, taki widok trafia się najwyżej raz do roku.

– Może nie powinno się pod nimi przechodzić – powiedział Nathan.
– Słyszałem, że przynosi to pecha.

Wszyscy się roześmiali.

Zakwaterowano ich w prostym, skromnym pensjonacie. Justine poczuła się bardzo zmęczona, wyciągnęła się na łóżku. W pokoju było go-

* Nie pieprz podwładnego swego! (ang.).

rażo jak w saunie. Chciała zrobić przepierkę, wszystko śmierdziało brudem, cała skóra swędziała.

– Jak się czujesz? – zapytał Nathan. – Zdążył już wziąć prysznic i stał na rozstawionych nogach pod wentylatorem, by doschnąć. Złociste włoski na jego nogach; był piękny, tęskniła za nim, chciała, by wziął ją w objęcia, tulił i całował. By zapewniał, że nie zdarzy się nic strasznego, że już zawsze, zawsze będą razem.

– W porządku – odszepnęła.

– Jesteś trochę markotna.

– To nic, to tylko zmęczenie.

– Schodzimy na dół coś zjeść.

Pokręciła głową.

– Nie idę.

– Nie masz siły?

– Nie.

– Ja w każdym razie muszę coś zjeść.

Poszedł. W łóżku nie było pościeli, tylko cienki kwiecisty pokrowiec oblekający materac. Miała wrażenie, jakby leżała na piasku, ale gdy próbowała go usunąć, okazało się, że pokrowiec jest całkiem gładki. Chciała się czymś okryć, nie dlatego, że marzła, lecz z przyzwyczajenia. Czuła się naga i bezbronna.

Słyszała, że pozostali zbierają się na dole. Pokój był kwadratowy, podłoga z szarego cementu i jedyny mebel – łóżko. Przez kraty okna przenikał narastający chór cykad i żab.

Usiadła na materacu. Swędziało ją i piekło we wszystkich miejscach, gdzie skóra stykała się ze skórą. Ubrała się i wyszła na korytarz. Na samym końcu znajdowała się odbarwiona umywalka. Na prawo prysznic i azjatycka toaleta. Weszła do pomieszczenia z prysznicem i rozebrała się. Nie było haczyków na ubrania. Przewiesiła ciuchy przez drzwi; gdy się umyła, były spryskane wodą.

Oplukała biustonosz i majtki. Owinięta w ręcznik pobiegła z powrotem do pokoju. A gdyby ktoś ją zobaczył? Pokazywanie się w ręczniku w mużułmańskim pensjonacie jest na pewno niestosowne, może karzą za to publiczną chłostą lub ukamienowaniem. Włożyła T-shirt i spodnie, rozłożyła moką bieliznę na podłodze. Wilgotne włosy chłodziły przyjemnie głowę. Poczowała ssanie w żołądku. Najwyraźniej odzyskiwała formę.

Zeszła po omacku stromymi, ciemnymi schodami. Na dole grał włączony telewizor, siedziało przed nim kilku młodych chłopaków, nawet nie spojrzeli w jej stronę. Zza kotary wyjrzała jakaś kobieta.

– *Have you seen my friends?** – zapytała Justine.

Po chwili dostrzegła grupę, siedzieli przy stolikach na ulicy. Stała w drzwiach, nikt nie zauważył, że przyszła. Martina zajmowała miejsce pośrodku, opowiadała im coś.

Nathan siedział obok niej. Tak blisko, że jego ręka dotykała jej nogi.

Stała tam dłuższą chwilę i obserwowała ich – błyszczące twarze, głębokie zasłuchanie. Coś się w niej zacięło. Nie była w stanie ani do nich podejść, ani wrócić na górę. Dźwięki z całego dnia przepełniały jej głowę: ryk silników, głosy ludzi, cykady. Stała tam, jakby zastygła w posąg – pomnik turystki w średnim wieku, tłustej, bladej i pozbawionej uroku.

Dostrzegł ją Ben. Wstał i podszedł do niej.

– Siadaj, Justine. Przyniosę ci coś do jedzenia.

– Co robicie?

– Nic takiego. Zjedliśmy, a teraz siedzimy sobie i odpoczywamy.

Weszła pomiędzy krzesła.

– Myślałem, że śpisz – powiedział Nathan.

– Aha – odparła niezbyt mądrze.

* Czy widziała pani moich przyjaciół? (ang.).

Heinrich poklepał ją po policzku.

– Dobrze, że odpoczywasz. Będziesz miała więcej siły na jutro.

Skinęła głową. Wezbrał w niej płacz, szybko założyła ciemne okulary.

– Wyglądasz teraz jak Greta Garbo – stwierdził Stephan. – Mówił po angielsku z wyraźnym niemieckim akcentem. Katrine złośliwie go małpowiała. Powiedziała to zdanie jeszcze raz, nadzwyczaj wyraźnie. Stephan i Katrine byli zaręczeni. Justine zauważyła, że są sprawni fizycznie, mieli mocno umięśnione łydki. Na pewno poradzą sobie bez trudu w dżungli.

Zmusiła się, by coś powiedzieć.

– Co jedliście?

Katrine zachichotała.

– Zgadnij!

– Nie mam pojęcia...

– Flajd lajs and cziken.

– To narodowe danie Malezyjczyków – wyjaśnił jeden z Norwegów. Justine miała kłopoty z rozróżnieniem młodych mężczyzn z Norwegii.

– Jesteś Stein czy Ole? – zapytała.

– Ole oczywiście. Może potrzebne są identyfikatory?

– Przepraszam, jesteście tak podobni.

– Naprawdę? To nie było miłe.

Wybuchnęli śmiechem, tym samym rehotliwym, przyjaznym śmiechem.

– To dlatego, że obaj jesteście Norwegami.

– Uważasz więc, że wszyscy Norwegowie wyglądają tak samo? A ja nie uważam, że wszyscy Szwedzi są tacy sami.

Spojrzał na Martinę.

– Ona ma na przykład czarne włosy, a ty jesteś blondynką.

Ben wrócił z talerzem jedzenia i lodowatą coca-colą. Piła zachłannie.

– Mówiliśmy o jutrzejszym pakowaniu – poinformował Ben. – Nathan pokaże ci, jak to zrobić. Zabierz tylko niezbędne rzeczy. Pamiętaj, że wszystko, co ze sobą weźmiesz, będziesz musiała przez dłuższy czas dźwigać na swoich plecach. Poza tym mokre ubrania ważą więcej niż suche. To, czego nie zabierzemy ze sobą, przechowamy tutaj do powrotu.

– Okej.

– Dam ci później jeszcze jedną tabletkę. Jutro będziesz silniejsza niż zwykle.

Nie mogła zasnąć. Nathan leżał obok niej, lekko pochrapując. Pomimo gorąca miała ochotę się w coś owinąć. Czuła potrzebę pójścia do toalety, ale ociągała się z tym. Musiałaby znowu włożyć ubranie, a nie miała na to siły.

Po kolacji Martina rzuciła:

– Śpijcie dobrze. I pamiętajcie, że potem długo nie będziecie spać w łóżkach.

Justine pomyślała, że chyba będzie tęsknić za łóżkiem, nawet za takim jak to.

Musiała jednak się zdrzemnąć, bo gdy się obudziła, Nathan był już na nogach i pakował swoje rzeczy. Przez okno sączył się zapach jedzenia. Żabi chór nadal intensywnie koncertował.

– Dzień dobry, *sweetheart** – powiedział. – Jak się dzisiaj czujemy? Rozprostowała kości.

– Całkiem nieźle.

Siedział w kucki i upychał rzeczy w plecaku.

– Nathan...

* Kochanie (ang.).

- Tak?
- Nie, nic takiego.
- No to wstawaj. Prysznic jest akurat wolny, słyszałem, że ktoś wychodził.
- Pomożesz mi z pakowaniem?
- E tam, poradzisz sobie sama. Muszę jeszcze obgadać parę spraw z Benem. Weź jedną zmianę ciuchów na teraz i ubrania, które przydadzą się, jak rozbijemy obóz. Nie zapomnij tabletek na malarię! Idę teraz na dół. Dołącz do mnie, kiedy tylko będziesz gotowa.

4

Wyjechali z miasta ciężarówką przykrytą plandeką. Z jakiegoś względu, może dlatego, że była najstarszą kobietą w grupie, albo też z powodu przebytej choroby, Justine siedziała w szoferce. Pozostali tłoczyli się wraz ze sprzętem na platformie.

Obejrzała się tylko raz. Nathan siedział z podciągniętymi nogami. Opierała się o nie Martina.

Popijała ciepłą wodę z butelki. Siedzący obok niej mężczyzna prowadził nerwowo, jakby nie był obeznany z pojazdem. Za każdym razem, gdy zmieniał bieg, ciągnął tak mocno za drążek, że przekładnie zgrzytały i skrzypiały. Działo mu to chyba na nerwy. Szyby były opuszczone, do szoferki wciągało kurz. Kierowca zerkał na nią od czasu do czasu, lecz nie znał angielskiego. Jego skóra była bardzo ciemna. Po obu stronach drogi rozpościerała się gęsta dżungla.

W pewnym momencie krzyknął coś do niej i pokazał na drogę. Na poboczu leżał wielometrowy pyton. Był martwy, został rozjechaany. Słyszała, jak pozostali wypytyują Bena, nie rozróżniała słów, docie-

rały do niej tylko ich podniecone głosy. Pomyślała o nocy. Wzdrygnęła się.

Po wielu godzinach jazdy ciężarówka skręciła w piaszczystą drogę prowadzącą prosto do dżungli. Opony ślizgały się na piasku, mało co nie utknęły. Potem szofer wyłączył silnik. Zapadła obezwładniająca cisza, a po chwili odgłosy dżungli uderzyły w nich niczym przybierająca na sile muzyka orkiestry.

Justine była cała obolała. Zeskoczyła na czerwony piasek, zaczęła masować sobie nogi.

Nathan stanął obok niej.

– Masz tu swój plecak. Kupiłem coś dla ciebie.

Podał jej nóż w pochwie. Był szeroki, czarny, długi na pół metra.

– Nóż?

– Parang – objaśnił.

– Dawanie w prezencie czegoś ostrego przynosi nieszczęście.

– E tam! Na pewno ci się przyda.

Justine zarzuciła sobie plecak na ramiona. Butelkę z wodą umieściła na metalowym haczyku z boku. W pasie miała saszetkę, tam przymocowała też nóż. Żar lał się z nieba, wyciskając u nasady jej włosów krople potu. Pomyślała... nie, nie chciała myśleć. Jeśli będzie rozmyślać, straci siły, nie da sobie rady.

Wyruszyli powoli w drogę. Pierwszy odcinek prowadził przez strome, piaszczyste wzgórze, potem zaczęła się dżungla. Ben z Nathanem szli na przodzie. Po jakimś czasie Justine zauważyła, że za grupą podąża gromadka tubylców, nie zauważyła ich wcześniej. W pierwszym odruchu pomyślała, że mają złe zamiary, lecz po chwili uprzytomniła sobie, że będą im towarzyszyć w wyprawie. Ben powiedział jej, że pochodzą z ludu Orang Asli, *the original people**.

* Rdzenni mieszkańcy (ang.).

Podchodzili pod śliskie zbocze. Plecak ciągnął ją cały czas w tył. Chwytała się korzeni i gałęzi, pnąc się z mozołem pod górę. Heinrich szedł tuż za nią, słyszała jego świszczący oddech.

– Jak ci idzie? – wydyszała.

– Nie ma co narzekać, to dopiero początek – odparł. – Ale to cholerne gorąco...

Tak, upał dawał się we znaki, spowalniał ruchy i utrudniał oddychanie. Wyciskał pot, od którego wilgotniały ubrania, przylepiał materiał spodni do ud, utrudniając jeszcze bardziej stawianie kroków.

Na gorze gęsta roślinność stała zielonym, nieprzenikniętym murem. Tubylcy torowali drogę. Justine próbowała posługiwać się swoim nożem, ale zrezygnowała, potrzebowała obu rąk, by się przytrzymywać. Jeden z mężczyzn wziął jej nóż i pokazał, jak należy ciąć. Gdy on to robił, wydawało się to takie proste.

Przedzierali się jakiś czas przez szczyt zbocza, które opadało potem stromo prosto w dół, ku wąwozowi wypełnionemu błotem i śliskimi liśćmi.

– Musimy schodzić akurat tędy? – zapytał Gudmundur.

– Zawzięli się, cholera, żeby pokazać nam, jak wygląda prawdziwa dżungla – mruknął Heinrich. – W najmniejszych szczegółach, po same nerwy liści.

Ben podszedł do nich.

– Ciężko wam?

– Gdyby tylko nie było tak piekielnie gorąco. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do takich temperatur.

– Pijcie dużo wody. Nie wolno zapominać o picciu.

Jeden z tubylców rozpoczął schodzenie w głąb wąwozu. Miał na sobie koszulkę z napisem „Pepsi” i granatowe spodnie. Jego nogi były chude i podrapane. Justine obawiała się, że poślizgnie się i potoczy jak tobołek na samo dno kamienistego jaru. Mięśnie drżały z wysiłku, opuszczała się bardzo powoli, przytrzymując się lian i gałęzi. Mimo to

upadła na pośladki i ślizgała się na nich dłuższy kawałek, dopóki nie zatrzymał jej pień drzewa. Siedziała przez chwilę i trzymała się go kurczowo jak boi ratunkowej. Gdy zwolniła uchwyt, nadziała się ręką na jakąś roślinę z kolcami. Zakłęła po cichu ze złością.

Nathan był daleko przed nią.

– Idziesz?! – zawołał.

Martina czekała już na dole.

– Możemy zrobić krótką przerwę – oznajmił Ben.

Rzeka płynęła żółtymi, rwącymi falami, w oddali słychać było grzmot wodospadu.

– Zdejmij plecak – poradził Nathan, ale nie miała siły, drżały jej ręce. Pomógł jej go zdjąć, paski wrzynały się w ramiona. Ręce były tak opuchnięte, że uwierał ją pasek od zegarka. Musiała go poluzować o kilka dziurek. Spojrzała na swoje palce, spuchły jak serdelki, prawie nie mogła ich zgiąć.

Ostatni zszedł Heinrich. Miał rozbiegany wzrok, jego ubranie było mokre i brudne.

Ben przyglądał im się z lekkim uśmiechem.

– Przywykniecie. Zawsze najtrudniej jest na początku.

– Nie sądzę – wydyszał Heinrich. – Nie powinno się przesadzać starych drzew.

Zatrzymali się w pięknym miejscu. Na brzegach rzeki rosły białe kwiaty, powyżej widać było jaskinie. Ujrzeni chmarę nietoperzy, które, wypłoszone ich obecnością, wleciały w smugę światła. Justine opadła na kolana. Ochlapała wodą ręce i twarz. Na gałęzi wystającej nad spienionym nurtem przysiadł olbrzymi motyl. Po chwili zobaczyła kolejne, krążyły wokół niej. Wyciągnęła ręce. Jeden z nich opadł na jej kciuk. Czuła drobne, chłodne odnóża i ssawkę przesuwaną się po skórze.

– Zostań tak! – poprosiła Martina. – Spróbuję zrobić zbliżenie.

Jednak gdy podeszła z obiektywem aparatu, motyl się spłoszył i odleciał. Jęknęła rozczarowana.

– Cholera, to mogło być genialne zdjęcie!

– Szukają soli – stwierdził Ben.

– Tak? Myślałam, że motyle lubią słodkie rzeczy.

– Pewnie, właśnie dlatego obsiadają Justine – stwierdził Heinrich. Zdjął buty i moczył stopy w wodzie. Wykrzywił twarz w dzikich grymasach. – Au! Nie macie pęcherzy?

– Nie wiem – odparła Justine. – Jej tenisówki były przemoczone i pokryte błotem. – Nie chcę zdejmować butów, boję się, że później nie dam rady włożyć ich z powrotem.

Jeden z tubylców podszedł do Bena. Był nieco młodszy, z blizną na policzku. Trzymał w ręce dmuchawę. Na jego biodrze wisiał kołczan ze strzałkami. Wyglądał na wzburzonego. Powiedział jakieś słowo, powtórzył je jeszcze kilka razy.

– Co on mówi? – dopytywał się Nathan.

– Ślady tygrysa.

– Gdzie? – Martina precyzyjnie się do przodu. – Pokażcie mi je, zrobię zdjęcia.

Jakieś dziesięć metrów dalej zobaczyli odciski dużych łap w piasku.

– Ben, mówiłeś, że one bardziej boją się nas niż my ich – mruknęła Katrine. – Miejmy nadzieję, że to prawda.

– Tak, tak, to prawda. Musiał nas usłyszeć i uciekł. Jest już na pewno daleko stąd.

Udali się w dalszą drogę. Trzymali się brzegu rzeki. Po lewej stronie wznosiła się pionowa ściana skalna. Musieli balansować na śliskich korzeniach i skałkach w miejscu, gdzie zbocze stykało się z wodą. Jeden z mężczyzn rozpiął pomiędzy konarami i pniami drzew rattanową linę. Trzymali się jej, posuwając się powoli do przodu.

Wkrótce zbocze zaczęło opadać. Skręcili wówczas w głąb lasu.

Cały czas była na szarym końcu. Ona i Heinrich. Stresowało ją szybkie tempo pozostałych i forsowała się zbyt mocno, dostawała zadyszki

i gubiła rytm. Z początku Nathan na nią czekał i pomagał przejść przez najtrudniejsze odcinki. Próbował też ją dopingować.

– Spróbuj iść trochę szybciej, Justine, spowalniasz całą grupę.

Potem Ben polecił jednemu z tubylców, by szedł razem z nią i Heinrichem. Za każdym razem, gdy doganiali grupę, reszta odpoczywała już od jakiegoś czasu i była gotowa iść dalej. W ten sposób narastał jej stres i poczucie, że zawodzi. Heinrich to zauważył, próbował ją pocieszyć.

– Nie wszyscy mają tyle siły, tak po prostu jest. A jeśli Nathan zamierza w przyszłości organizować wyprawy do dżungli, będzie musiał dobitnie informować, że oferta dotyczy maratończyków i elitarnych gimnastyków.

Rzecz w tym, że od razu na samym początku wyszły na jaw jej ograniczone możliwości fizyczne. Nie była już młoda.

Siedzieli na kamieniach i odpoczywali. Justine rozcierała sobie kostkę i poczuła na ręce coś ciepłego. Była to krew. Jej skarpetki pokryte były dużymi, czerwonymi plamami. Dotknęła jednej z nich, poczuła coś oślizgłego. Wyrwał jej się krzyk.

Tubylcy się roześmiali.

Przez skarpetki wessały się jej cztery pijawki. Ich korpusy pęczniały i grubiały. Choć skarpetki były naciągnięte na nogawki spodni, pijawki wessały się przez warstwy materiału.

– No to masz swoje *leeches* – rzucił Nathan.

– Zabierzcie je! – zawołała.

Martina podeszła do niej z aparatem.

– Nie ruszaj się. To potrwa tylko kilka sekund.

Justine krzyknęła po szwedzku:

– Spierdalaj!

Rzuciła się na ziemię, tarła nogami o podłoże, kopała, wrzeszczała.

Nathan chwycił ją za ramiona.

– Kurwa mać, Justine, nie histeryzuj, nie ośmieszaj się!

Ucichła i załkała.

– Zabierz je, zabierz je!

– Sama je zabierz! My też mamy pijawki.

Zmusiła się – palce na ich śliskich, miękkich korpusach; palce, które się ześlizgiwały. Zaciśnięte powieki, paznokieć pod lepłą gumową tą gębę: jest! Czarne, wijące się gwałtownie, próbowały wyrwać się z jej ręki, szukając nowych punktów zaczepienia. Z obrzydzeniem na twarzy strząsała je o kamień.

Krwawienie nie ustawało, ale nie sprawiało bólu.

– Wstrzykują substancję, która znieczula i zmniejsza krzepliwość krwi – wyjaśnił Ben. – Wiedzą, że zdążą wyssać sporo krwi, zanim się je zauważą. Choć nieprzyjemne, nie są niebezpieczne.

– Jeśli są w rzece, to może nie musimy tamtędy iść – zauważyła Katrine.

– Są wszędzie. Przyczajają się w trawie, gotowe do ataku. Mają niezwykle rozwinięty zmysł węchu. Kiedy zbliża się człowiek lub zwierzę, natychmiast skaczą. I prawie nigdy nie pułtują.

– Wszelkie żywe stworzenia pełnią określoną funkcję w cyklu biologicznym. Ale po co są pijawki? – zastanawiał się Gudmundur. – Wydaje mi się, że ich istnienie jest nieuzasadnione.

Oderwał mocno napęczniałą pijawkę ze swojej kostki i rozgniół ją obcasem.

Późnym popołudniem dotarli ponownie do rzeki. Zamierzali rozbić obóz na drugim brzegu. Jeden z tubylców, właściwie jeszcze chłopiec, wziął Justine za rękę i poprowadził ją ostrożnie przez wodę. Dno było śliskie, pełne kamieni. Trzymała się mocno chłopaka. Gdy była już prawie na brzegu, poślizgnęła się i wpadła do wody. Chłopiec puścił jej rękę. Wynurzyła się, prychnąwszy.

Od tyłu chwyciły ją czyjeś ręce. Nathan.

– Oj, ty niezdaro! – rzucił. – Zmoczyłaś cały swój bagaż!

Gdzieś z tyłu Martina, jej dźwięczny śmiech.

– Przepraszam, Justine, ale to wyglądało tak komicznie!

Leżała na powalonym pniu drzewa. Wokół niej unosiła się chmara drobnych muszek. Wszędzie coś świszczało, szeleściło i kwiliło.

Słyszała głosy pozostałych, przygotowywali obozowisko. Leżała nieruchomo na pniu. Muszki pełzały w kącikach jej oczu, była zbyt zmęczona, by je odganiać. Od obozowiska dobiegał ją świergotliwy głos Martiny, pobrzmiwający zadowoleniem i kpina, miękki jak śpiew gibbonów wysoko pomiędzy koronami drzew.

Spod powiek widziała dłonie i ramiona, słyszała głosy i nawoływania.

Z oddali dobiegały pomruki grzmotów, a gdy otworzyła oczy, spadły pierwsze krople deszczu. Jak dotąd, jeszcze nigdy nie doświadczała deszczu z takiej perspektywy – na leżąco. Białe krople, niczym perełki; pozwoliła im spływać, wsiąkać w skórę i ubranie, pozwoliła im oczyścić i orzeźwić swoje ciało.

Ben siedział w kucki pod plandeką. Był przebrany w sarong. Mieszał coś w blaszanej misie nad ogniskiem.

– Justine?! – zawołał.

– Tak?

– Wszystko w porządku?

– Tak.

– Jesteś głodna?

– Tak... chyba tak.

– Idź się przebrać, włóż coś suchego.

Przyjrzała się koniuszkom swoich palców. Były pomarszczone, jakby spędziła dużo czasu w wannie. Na rękach widniało mnóstwo śladów ukąszeń.

Nie wiedziała, jak nazywają się po angielsku siniaki, więc powiedziała do Bena:

– Moje koniuszki palców są sine.

Pokiwał z roztargnieniem głową.

Pomiędzy kilkoma patykami rozpięta była plastikowa płachta. Pobiegła skulona w jej kierunku. Byli tam już Heinrich i para młodych Niemców. Odstawiła plecak. Pomiędzy pniami drzew zasyczała błyskawica, zaraz po niej usłyszeli grzmot.

– A gdzie są pozostali? – zapytała.

– Poszli obejrzeć wodospad.

Usiadła i próbowała rozwiązać wilgotne tenisówki. W spodniach porobiły się dziury, z rany na kolanie leciała krew. Wszystko w plecaku było zapakowane w plastikowe worki, dzięki czemu nic się nie zmoczyło. Gorzej było z rzeczami w saszetce przy pasie. Tabletki od bólu głowy, trzy tampony, notesik i kilka chusteczek higienicznych. Wszystko zlepiło się w jedną papkę.

Wyjęła ręcznik i zaczęła się wycierać. W rzece brodził mężczyzna w bluzie „Pepsi”, trzymał dużą sieć rybacką. Wyciągał ją co jakiś czas, wyjmował ryby i wkładał je do kieszeni. W końcu wyszedł z wody i przekazał swój połów Benowi.

Justine włożyła spodenki i suchą koszulkę. Nie było zimno. Burza przybrała na sile, grzmoty było słychać i w oddali, i tuż ponad ich głowami. Deszcz lał się teraz strumieniami, zamieniając ziemię w jedno wielkie bajoro.

– Nie musieli iść do wodospadu – zauważył Stephan. – Tu jest tyle samo wody.

– Że też nic nie powiedzieli – mruknęła Justine.

– Owszem, mówili, ale my mamy na dziś dość wspinaczki. Nie mieliśmy siły.

– Ja leżałam tam na pniu.

– Byli zapewne przekonani, że śpisz.

Dostrzegła plecak Nathana i przestawiła go obok swojego. Z lasu dobiegały syki i szmery, trzaskały pioruny. Katrine się skuliła.

– Wygląda to dramatycznie – powiedział Heinrich. – Człowiek czuje, jaki jest mały.

– Oby tylko pioruny nie biły – odparła Katrine.

– Biją przecież cały czas. Wszędzie widać rozłupane drzewa.

– Chodzi mi o to, żeby nie uderzyły w nas.

– Gorzej jest z tymi, którzy są w lesie.

– A jeśli zabłądzą?

– Jest z nimi tubylec, ten z bliźną, nie wiem, jak się nazywa. Byłoby chyba dziwne, gdyby on zabłądził. Ludzie z dżungli mają na pewno wmontowany jakiś wewnętrzny radar, jak myślisz, Justine?

Nie odpowiedziała. Zaczął zapadać zmierzch, odgłosy dżungli przybierały na sile. Gdzieś blisko rozległ się przesywający dźwięk, przypominający odgłos brzeszczotu piły.

– O kurde, co to było? – zapytał Heinrich.

Stephan podniósł wzrok.

– Wydaje mi się, że to jakiś insekt.

– W takim razie musi to być jakiś cholernie wielki insekt.

– To może też być żaba. Na pewno jakieś nocne zwierzę.

– Mamy spać w tym hałasie? – zapytała Katrine.

– Miejmy nadzieję, że to wkrótce ucichnie.

Pomiędzy drzewami dostrzegli drgające światło latarki.

– Bogu dzięki, wracają! – ucieszyła się Katrine.

Burza ustępowała powoli, acz niechętnie. Nadal padało. Nathan zajął pod plastikową plandekę. Objął dłońmi stopę Justine.

– A wy tu sobie siedzicie jak u pana Boga za piecem.

Nie była w stanie spojrzeć mu w oczy.

– Szkoda, że nie widzieliście wodospadu, ósmy cud świata!

– Mogłeś powiedzieć, że idziecie – zauważyła nieśmiało. – Nagle zniknęliście.

– Byłaś przecież taka zmęczona, nie dałabyś rady. Ciężko było tam dotrzeć.

– Tak czy inaczej, mogłeś coś powiedzieć.

Wsunął się do środka. Jego szerokie czoło było mokre. Spojrzał na plecaki.

– Nie przyszło wam do głowy, że powinniśmy tu rozłożyć plastikową podkładkę? Do jasnej cholery, chyba nie będziemy spać w błocie?

Przyniósł jej kolację, gorącą herbatę w plastikowym kubku, ryż i rybę.

– Nie ma sensu, żebyś moczyła suche ubranie.

– Dziękuję – szepnęła, a po chwili spytała: – Jak myślisz, przestanie niedługo padać?

– O tej porze roku pada prawie co noc.

Rozłożyła śpiwory, pościeliła, zrobiła porządek. Deszcz zelżał nieco.

Jeden z mężczyzn chodził dookoła obozowiska z torebką, z której wysypywał jakiś proszek świecący słabym bladożółtym blaskiem.

– *Snake powder**. – Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

Powstałe w ten sposób koło wyznaczało strefę spokoju.

Zjedli posiłek, czuli się syci. Stos pomarańczowych plastikowych talerzy wystawili na deszcz. Martina założyła na czoło latarkę i majstrowała przy swoim aparacie. Nathan zabrał jej go na chwilę, przyłożył do oczu i zrobił zdjęcie. Błysk lampy rozświetlił jej twarz.

– Fotografą nigdy nie ma na zdjęciach – stwierdził.

– Miałam kiedyś chłopaka, który był fotografem prasowym.

– Miałas?

– Miałam.

– Nie powinniśmy się umyć? – zapytała Katrine. – Wyszorować zębów i tak dalej?

– My wzięliśmy prysznic pod wodospadem – oznajmiła Martina. – Było cudownie. Aksamitna, letnia woda, przezroczysta jak kryształ.

* Proszek na węże (ang.).

Justine włożyła pelerynę przeciwdeszczową i wsunęła stopy w mokre tenisówki.

- Dokąd się wybierasz?
- Za krzaczek – odparła krótko.
- Uważaj na węże!

Wyszła prosto w błoto i omal się nie poślizgnęła. Musiała zawrócić i poprosić o latarkę. Poświeciła pomiędzy śliskie, ciemne liście. Przekroczyła fosforyzującą linię i odeszła kawałek. Przysiadła w mroku.

Coś zaszeleściło, zobaczyła plamistą gałąź przypominającą węża. Serce waliło mocno, krzyk niemal wydostawał się z gardła. Ugryzła się mocno w dolną wargę.

- Gęba na kłódkę – szepnęła. – Tylko bez hysterii.

W dole widziała obóz, migocący blask ogniska i kilku świec. Ben i pozostali mężczyźni położyli się przed nimi, pod własną plastikową plandeką. Jeden z nich grzebał teraz patykiem w żarze dogasającego ogniska, wyglądał jak przycażony cień.

Gdy wróciła, reszta leżała już w śpiworach. Martina na prawo od Nathana, zwrócona w jego stronę. Obok niej spał Ole, a na samym brzegu Stein.

- Wszystko w porządku? – wymamrotał Nathan.

Nie odpowiedziała. Zzula buty przy plandece i rozsunęła zamek śpiwora. Ziemia pod nią była zimna i grudkowata. Marzyła jej się poduszka.

Nathan pochylił się nad nią i dał jej mocnego, bezgłośnego całusa w policzek.

- Jesteś zimna jak lód – stwierdził.
- Jestem.
- Boisz się?
- A czego miałabym się bać?
- Nocy. I dżungli. Tego, że leżymy tu na samej ziemi, wśród tych wszystkich węży, tygrysów i słońi.
- Nie boję się.

- To dobrze. No to dobranoc.
- Dobranoc.

Zasypiali jedno po drugim. Słyszała, jak ich oddechy stają się głębsze. Leżała na plecach, nie mogła się ułożyć inaczej, bolało ją kolano. Odgłosy dżungli dobiegały ze wszystkich stron, ostre i przenikliwe. Wydawało jej się, że widzi dwoje oczu, ale gdy poświeciła latarką, zniknęły. Kiedy tylko zapadła ciemność, pojawiły się znowu.

Tygrys? – zastanawiała się. No to chodź tu, chodź i porozrywaj nas na strzepy tą swoją wielką paszczą, zrób to, pozabijaj nas wszystkich!

Oczy nie znikają. Przyglądały jej się nieruchomo.

Odwróciła się do Nathana. Leżał zwrócony twarzą w jej stronę, skulony, jak w pozycji embrionalnej. Wyciągnęła rękę i dotknęła go, usta ułożyły się do szeptu:

– Nathan?

Spał.

– Dobranoc – szepnęła. – Dobranoc, kochany.

Deszcz ustał o świcie, a w ślad za nim pojawiły się opary mgły. Gdy ustępowała, wyłoniły się z niej, zyskując kontury, pnie drzew. Rozbrzmiały zupełnie nowe odgłosy, odgłosy świtu. Obudziły się mały i małe, szybkie ptaki.

Zastanawiała się, czy w ogóle spała. Usiadła w śpiworze, pozostali nadal leżeli z pochowanymi głowami. Rozmasowała obolałe palce.

Słońce przebiło się przez chmury niczym ciepła, jasna kurtyna.

Wziąwszy ręcznik i strój kąpielowy, Justine wymknęła się nad rzekę. Przebrała się pod osłoną krzewów, po czym weszła do ciepłej, żółtej wody. Miała na sobie tenisówki. W wodzie mogły znajdować się wszelkie paskudztwa, ale musiała się umyć, czuła woń własnego, skwaśniałego i zastygłego potu.

Umyła się piaskiem, szorowała ślady po ukąszeniach pijawek. Zaczęły znowu krwawić.

Siedziała długo w wodzie. Miała nadzieję, że przyjdzie Nathan, że przytulą się do siebie, że weźmie ją w objęcia i zapewni, że wszystko jest tak jak zawsze, że nic się między nimi nie zmieniło.

Nie przyszedł jednak.

W obozowisku Ben przygotowywał śniadanie. Słońce grzało, rozwiesili swoje ubrania na gałęziach i krzewach. Zauważyła dwa blade grzyby. To one świeciły w nocy, przypominając oczy drapieżnika. Musi powiedzieć Nathanowi, jak dała się nabrać, na pewno się uśmieje, uzna to za zabawne.

Nathana jednak nie było.

Zapytała Bena.

– Kilka osób poszło pozbierać trochę korzeni. Ugotuję je na śniadanie.

Jeden z mężczyzn Orang Asli siedział w kucki i palił. Ten sam, który szedł z nią i z Heinrichem. Ci mężczyźni bez przerwy palili, już w wieku kilku lat uczono ich zwijania papierosów. Gdy myśliwi wyruszali na łowy, trzeba było czasem czekać długo na ich powrót. Palenie powstrzymywało głód.

Justine próbowała rozczesać splątane, mokre włosy. Mężczyzna posłał jej nieśmiały, szybki uśmiech i zaraz odwrócił wzrok.

- Mahd wybiera się na polowanie – wyjaśnił Ben.
- Co chce upolować?
- Cokolwiek jadalnego. Może małpę, może małego dzika.
- Wolno jeść małpy?
- Oczywiście.

Dmuchawa Mahda stała oparta o drzewo. Gdy jej dotknęła, od razu spadła na ziemię. Pospiesznie odstawiła ją z powrotem.

Mahd wyciągnął strzałkę z drewnianego kołczanu.

– Czy jest zatruta? – zapytała Justine.

– Tak – odparł Ben.

Drapała się mocno po rękach. Po nocy miała pełno swędzących małych bąbli. Podejrzewała, że to mrówki – gdy wyszła ze śpiwora, widziała ich sporo, biegały dokładnie w miejscu, gdzie leżeli.

– Chciałabyś pójść z nim na polowanie?

– A nie będzie miał nic przeciwko temu?

Ben powiedział coś do Mahda, który się roześmiał. Miał długie, nierówne zęby. Pochylił się nad kołczanem.

– Mówi, że cię zabierze.

Biegł wśród krzewów jak łasica. Mimo braku snu Justine czuła się silna. Biegła za nim, próbując poruszać się bezszelestnie. Od czasu do czasu odwracał się, by sprawdzić, czy nadąża. Przez pewien czas posuwali się wzdłuż rzeki. Nadciągał znowu upał, słońce połyskiwało na ciemnozielonych liściach. Mgła cofała się coraz bardziej.

Wybierał odpowiednie dla niej ścieżki, przytrzymywał gałęzie. Raz złapał ją za przegub dłoni i wciągnął za sobą na wzniesienie. Był niskiego wzrostu, lecz niezwykle silny. Miała ochotę porozmawiać z nim, lecz nie znał angielskiego. Myślała właśnie o posłużeniu się językiem migowym, kiedy nagle przystanął. Justine zastygła w bezruchu. Czuła jego zapach, pachniał tytoniem i czymś, co przypominało trochę aromat wanilii.

Podniósł powoli rękę, wskazując na coś pomiędzy krzewami. Justine nic nie dostrzegła. Przytknął rurkę do ust, Justine wstrzymała oddech, zobaczyła, jak uniosła się i opadła jego klatka piersiowa. Zaraz potem dało się słyszeć ostry, przerywany krzyk, jakby dziecka. Białka oczu Mahda były nabiegłe krwią, przez jego twarz przemknął szybki grymas. Po chwili był już rozluźniony.

Nad wodą leżało ciało. Truchło zwierzęcia. Gdy podeszła bliżej, zobaczyła, że to mały dzik. Strzałka przebiła mu szyję. Mahd powiedział do

Justine coś, czego nie rozumiała. Wtedy zaczął naśladować kwiczenie świni. Wyciągnęła dłoń i pogładziła szorstkie, zabłocone futerko. Oczy zwierzęcia były szeroko otwarte, miała wrażenie, że jej się przyglądają.

Poczuła coś twardego na ręce. Dmuchawa. Mahd dawał jej do zrozumienia gestami, że ma też spróbować. Widziała zapał w jego oczach. Rozejrzała się dookoła, wzruszyła ramionami.

Wskazał jej drzewo rosnące tuż nad wodą i podszedł do niego. Na złamanej gałęzi położył swój brązowy, niski, gumowy but. Wrócił do niej i pokazał, jak powinna trzymać rurkę. Śmiejąc się, pokazywał na but, łapał się za kolana, po czym znowu wybuchał śmiechem.

Rurka była długa, lecz lżejsza, niż sądziła. Na jednym końcu, gdzie się dmuchało, tkwiła przyklepiona grudka żywicy. Na korze poniżej widniały wycięte proste wzory. Powietrze było gęste od dźwięków, upał ścisnął głowę niczym imadło.

Podniosła rurkę i przytknęła ją do ust. Z otworu czuć było drażniący zapach. Skupiła się, nabrała powietrza i wykonała wydech przeponą w taki sam sposób jak na swoim rogu pocztowym. Dotarł do niej głuchy, przytłumiony odgłos wbijającej się w coś strzałki. Usłyszała, jak Mahd wciąga powietrze.

Strzałka trafiła w drzewo, kilka milimetrów od jego buta. Utkwiła tak mocno, że ledwo udało mu się ją wyciągnąć.

Ubrania nie zdążyły wyschnąć w nocy. Choć bił od nich odór stęchliwy, musieli je włożyć.

Zwinęli obóz i przygotowywali się do dalszej wędrówki. Justine wciągnęła na stopy skarpetki, plamy krwi na nich zbrązowiały i zeszytniały.

Ben stał przed grupą z wyrazem zmartwienia na twarzy.

– Wydaje się wam, że jesteście mokrzy, obawiam się jednak, że wkrótce będzie znacznie gorzej.

Heinrich odchrząknął.

– Tak?

– Miałem nadzieję, że tego unikniemy, ale nie ma innej drogi. Niestety znowu musimy się przeprawić przez rzekę. Tym razem w pobliżu wodospadu, więc będzie naprawdę głęboko.

Bała się wody, panicznie bała się wody... tego, jak wdziera się w człowieka, napełnia płuca, przygniata, pozbawia powietrza; bała się walki, bicia rękami o powierzchnię, zapominania, że umie się pływać. Mam tego dosyć, chcę wracać do domu...

Spojrzała na Nathana.

O nie, pomyślała. Już nigdy więcej nie zobaczysz, jak wpadam w histerię.

Milczeli, wędrowali w ciszy. Potem zatrzymali się w miejscu przeprawy na drugą stronę. Woda płynęła wartkim nurtem, kipiała, niosąc duże pnie i gałęzie. Kawalek dalej spadała w dół huczącym wodospadem, który tłumił wszystkie inne dźwięki i unicestwiał to, co porwał ze sobą, rozbijając na drzazgi.

Zamierzali przedostać się na drugi brzeg.

Justine czuła się dziwnie osłabiona.

Mahd już się przeprawił. Urodził się w dżungli, która była dla niego domem i szkołą. Jemu wszystko przychodziło z łatwością. Przerzucił pomiędzy brzegami, ponad kipiela, giętką i obraną do czysta rattanową linę. Ben wraz z Malajczykami weszli do wody, zaparli się mocno stopami, trzymając się liny. Ich zadaniem było pomóc grupie przedostać się przez wiry, stanowiąc swego rodzaju zapory.

Na pierwszy ogień poszedł Nathan.

– *Wish me luck!** – powiedział, zaciągając sznurek kapelusza. W jego niebieskich oczach błyszczała radość. – Oto nadciąga wiking, a dla szwedzkiego wikinga nie ma rzeczy niemożliwych!

* Życie mi szczęścia! (ang.).

Wszedł do wody i zaczął systematycznie posuwać się naprzód. Z początku szło mu świetnie, lecz pośrodku poślizgnął się i osunął pod powierzchnię wody. Justine widziała jego palce trzymające się kurczowo liny. Zaciskał pięści, paznokcie wbijały się w dłonie. Wynurzył się po chwili, prychał i potrząsał głową, po czym szczęśliwie przedostał się na drugi brzeg.

Stał tam i wymachiwał rękami, bił się w piersi jak Tarzan.

Posłali na drugą stronę plecaki. Mężczyźni stojący w wodzie chwytali je jedną ręką, przekazując następnym. Nathan odbierał je na drugim brzegu.

– Idziesz, Justine? – zapytał Ben.

– Idę.

Siedziała na śliskiej skale i osunęła się do wody. Było głęboko. Palce u stóp dotykały kamiennych bloków. Jednak woda szarpała jej nogi, odrywając je od kamieni. Ben wziął ją za rękę, pokazał, jak ma trzymać. Na jego twarzy widoczne było napięcie.

– Bez względu na to, co się będzie działo, nie puszczaj liny!

Słyszała huk wzburzonej wody i wodospadu.

– A co może się dzieć?

– Cicho! Poszukaj stopami oparcia!

Zrobiła krok. Woda zamknęła się wokół niej, próbowała porwać ją ze sobą. Justine opierała się z całej siły. Na brzegu zobaczyła Martinę, która klęczała z nieodłącznym aparatem w rękach. Oby wpadła razem z nim do rzeki, oby go upuściła, tak by woda porwała go ze sobą na zawsze.

Jeszcze jeden krok. Tuż obok stał pierwszy z mężczyzn, przeszła pod jego rękami. Woda pieniała się i przelewała, jeszcze jeden krok, trzymaj się mocno liny. Była już prawie na środku.

– Świetnie, Justine! – zawołał Nathan.

Czuła, jak wali jej serce.

Straciła oparcie w tym samym miejscu co on. Było tam coś szczególnego, dno uciekało spod nóg. Głowa zniknęła pod wodą; białe i zielone wiry, ręce kurczowo zaciśnięte na linie. Woda napierała na Justine, targała i tarnosiła nią, czuło się jej rwącą siłę. Z ogromnym wysiłkiem przesunęła prawą rękę, a następnie lewą. Prawa stopa wyczuła kamień. Weszła na niego i uczepliła się mocniej liny.

– Już niedaleko, Justine, zaraz będziesz na brzegu!

Nabrała głęboko powietrza; znowu ręka, pod którą trzeba się prześlizgnąć, kolejna podarowana sekunda. Potem jeszcze raz i wreszcie ostatni odcinek. Nathan wciągnął ją na brzeg. Gdy się wyprostowała, z jej ubrania ściekała woda.

– Udało się – wydyszała.

– Tak – odparł i odwrócił się szybko znowu w stronę wody, by pomóc kolejnej osobie.

Wieczorem rozbili obóz na szerokim kamienistym brzegu. Tubylcy zaczęli natychmiast zbierać stopy chrustu i rozpałać ogniska.

Martina zmieniała film.

– Pałą ogniska, by odstraszyć zwierzęta – powiedziała. – *The big mammals**. Tutaj przychodzą do wodopaju słonie, widzieliśmy kawałek dalej stopy ich odchodów.

– Musimy zostać akurat tutaj? – mruknął Stein. – Na ich terenie? To nie fair wobec słoni. Mamy do dyspozycji całą dżunglę.

– Nie możemy iść dalej, zaraz zapadnie zmrok – odparł Ben.

Rozbili wspólnie plastikowe plandeki. Mahd wszedł do rzeki z siecią na ryby. W tym momencie Justine przypomniała sobie o dziku.

– A ten dzik, którego zastrzeliliśmy? – zapytała.

* Wielkie ssaki (ang.).

- Daliśmy go rodzinie Mahda. Ma sześcioro małych dzieci.
- A gdzie jest jego rodzina?
- Gdzieś w dżungli.

Martina wzięła ręcznik i woreczek z mydłem i szamponem.

- Idę zmyć z siebie te wszystkie świństwa, dziewczyny, idziecie ze mną? Zrobimy sobie babską kąpiel.

Znalazły małą zatoczkę, gdzie woda utworzyła lagunę. Justine włożyła strój kąpielowy. Katrine i Martina weszły do wody nago, ich skóra była śliska i błyszcząca, jak u zwierzątek.

- Chciałabym tak żyć: jak prawdziwi nomadzi. – Martina westchnęła, nalewając szamponu w stuloną dłoń. – Zapomnieć o cywilizacji wraz z jej wszystkimi wymogami, stopić się w jedno z przyrodą.

– Ty chyba nie możesz narzekać? – zauważyła Katrine. – Przecież podróżujesz, jeździsz po świecie.

- Owszem, na swój sposób jestem zadowolona. Za nic w świecie nie poszłabym do zwyczajnej pracy. Nigdy nie osiadę nigdzie na stałe, przenigdy. Wciąż poszukuję nowych wrażeń. Nowych przeżyć, nowych ludzi.

– My ze Stefanem też sporo podróżowaliśmy. Ale gdy wrócimy do domu, pobierzemy się i będziemy mieć dzieci.

- My też – powiedziała Justine. – My też się pobierzemy i też będziemy mieć dzieci.

Martina właśnie wychodziła z wody. Na jej brzuchu, tuż ponad ciemnym trójkątem włosów, przylepił się liść.

Owinęła się w ręcznik.

- Ty i Nathan?
 - Tak.
 - Wydawało mi się, że on nie chce się ponownie z nikim wiązać.
- Justine poczuła pieczenie w gardle.

- A co ty możesz o tym wiedzieć?
- Nic, zupełnie nic. Tak mi się tylko wydawało.

Nastał kolejny ranek. Poprzedniego wieczoru dostała od Heinricha jakiś lek nasenny i zasnęła niemal natychmiast. W nocy budziła się kilka razy i rozespana myślała o słońcach. W pewnym momencie wydawało się jej, że słyszy w oddali trąbienie. Zasnęła wpatrzona w dym z ogniska.

Jedli rybę i smażony ryż. Nathan był brązowy od słońca, jego oczy wyglądały jak niebieskie kamyki. Spojrzał na nią tymi cudownymi oczami i oznajmił:

- Wybieramy się do słońca.
- Poczuła ucisk w uchu, jakby ból.
- Po co?
 - Martina spróbuje je sfotografować. Ja i Jeda pójdziemy z nią.
 - A kim jest Jeda?
 - Ten w zielonej koszulce.

Wstał. Wpatrywała się w złociste włoski na jego nogach. Usłyszała:

– Martina i ja idziemy z Jedą. Pokaże nam słońce. Nie możemy pójść większą grupą, bo je spłoszymy.

Słowa wniknęły do jej wnętrza, wsączyły się w jej świadomość.

Martina była już gotowa. Z aparatem przewieszonym przez ramię.

Wrócili dopiero w środku dnia. Gdy zobaczyła, jak wynurzają się zza drzew, wiedziała, że wszystko się skończyło.

Czuła, jak rozchodzi się w niej fala zimna, od stóp, poprzez miednicę i klatkę piersiową, jak dociera do samego mózgu.

Nie była już w stanie nawet mówić.

Czekała. Coś działo się z jej skórą, miała wrażenie, że się kurczy. Huczący ból rozsadzał mózg, jakby coś zbyt mocno uwierało.

Nathan poszedł wzdłuż rzeki za potrzebą.

Nikt nie widział, jak wzięła dmuchawę Mahda. Nikt nie zauważył, że poszła za nim, że poszła za Nathanem.

Stał i przyglądał się wodnym wirom, związał papierosa. Jego usta były złożone do gwizdu, lecz ona nic nie słyszała. Docierał do niej jedynie grzmot wodospadu.

Strzałka trafiła go pomiędzy łopatki.

Upadł prosto we wzburzoną żółtą wodę.

5

Ktoś pytał o Nathana. Ktoś pytał z wyraźną skargą w głosie: Nathan, czy ktoś widział Nathana?

Może to ona sama pytała.

Może to ona sama.

Pamiętała głosy, pamiętała dźwięki.

Do tego wszystkiego jeszcze plecak Nathana.

W końcu musieli zwinąć obóz. Pamiętała trawę – jak oplątywała jej buty, rozwiązując sznurówki. Jak raz po raz musiała się zatrzymywać i je zawiązywać, jakim wysiłkiem było schylenie się, jak dopadały ją zawroty głowy, jak dokuczał jej upał. Opuścili już dżunglę, szli przez roz-

żarzone pola. Zerwała liść, wielki jak ucho słonia. Trzymała go jako osłonę nad głową, dopóki nie omdlały jej ramiona.

Szukali długo, ona też. Szukała wraz z Mahdem. Miał czarne oczy, przy biodrze wisiała dmuchawa.

Wczesnie rano ujrzała Bena idącego w jej stronę. Stała wyprostowana i niema.

– Wiem, że trudno ci się z tym pogodzić, ale musimy ruszać w drogę. Nie możemy dłużej szukać.

Wpatrywała się w przestrzeń pomiędzy drzewami. Jakby usłyszała jakiś odgłos.

– Słonie – powiedziała.

– Słonie? – powtórzył.

– Słonie mogą wpaść w szal, gdy podchodzi się do nich zbyt blisko.

Zacisnął mocno oczy.

– Współczuję ci – wyszeptał bezdźwięcznie.

Ktoś wsadził ją do pociągu.

Może była sama.

Jednak ktoś podał jej kawę, ktoś przyniósł wodę.

– Pij! – odezwał się po szwedzku jakiś jasny głos.

Głos Martiny.

Okna były otwarte, wdzierał się upał, krzyczało jakieś niemowlę w zawiniątku.

Czepek młodej matki przypięty był czerwonymi spinkami. Wyglądały niczym wetknięte prosto w skronie.

Palce Martiny miały białe, czyste paznokcie.

Aparatu już nie było.

Czuła zapach własnego ciała. Jakiś mężczyzna szedł chwiejnie przejeściem. Kiedy zbliżył się do niej, zobaczyła, że to Ben.

Pociąg zatrzymał się na chwilę. Widać było wioskę. Dwie dziewczyny na skuterze pomachały z uśmiechem w stronę podróżnych.

Toaleta składała się dziury w podłodze. Klęczała na kolanach i wymiotowała.

Później znaleźli się w mieście.

– Załatwię ci bilety – obiecał Ben. – Jutro po południu jest samolot.

Znalazł hotel, poprosił Martine, by z nią zamieszkała.

– Nie możesz zostać sama, będziecie mogły przynajmniej porozmawiać ze sobą po szwedzku.

Był niewiarygodnie miły.

– Jesteś żonaty? – zapytała.

Skinął głową.

– Tak, mam żonę.

– Jak ma na imię?

– Tam.

– Kochasz ją?

– Kocham ją i szanuję.

– Nathan! – wykrzyknęła, po czym twardo zamilkła.

Wyszła spod prysznic, czuła się czysta. Myła się tak długo, że woda zrobiła się zimna.

Martina stała w pokoju. Wąskie plecy, sarong zamiast spódnicy. Trzymała coś w dłoni – była to maskotka, którą Justine dostała od Nathana. Martina musiała odpiąć ją od plecaka.

– Co robisz? – spytała Justine. Słowa przeciskały się z trudem, wzięły w gardle niczym ostre kamyki.

– Nic, oglądam tylko.

Justine pochyliła się nad bagażem, odczepiła parang.
Ból w mózgu powrócił.

Pamiętała siłę krwi, która opryskała jej ręce, pamiętała, że krew parzyła.

Bez końca ktoś chciał z nią rozmawiać. Skóra jej cierpła. Kilku policjantów i kobieta o nazwisku Fors. Jasna karnacja, Szwedka. Przysłała z ambasady.

Okno w pomieszczeniu było zakratowane.

Opowiadała jeszcze raz:

– Wyszłam spod prysznic, a tam stał jakiś mężczyzna. Ona leżała na podłodze. Martina leżała na podłodze, a ja zaczęłam krzyczeć. Odwrócił się w moją stronę; nie, nie pamiętam jego twarzy – ciemna, pociągała... Uciekłam do łazienki, poślizgnęłam się i uderzyłam, ręcznik się zamoczył. Słyszałam, jak on zamyka drzwi. Gdy wróciłam do pokoju, Martina tam leżała, była już martwa.

– W którą część ciała się pani uderzyła, miss Dalvik?

Podciągnęła spódnicę i pokazała – o tu, w udo. Miała też sporo zadrapań i dziwnych śladów po ukąszeniach.

W pomieszczeniu był lekarz. Zbadał jej nogę, krzyczała z bólu.

Pamiętała igłę i woń eteru.

A może to było później?

Później.

– A ten mężczyzna?

– Tak?

– Ile mógł mieć lat?

– Nie pamiętam. *I have already told you**.

* Już wam mówiłam (ang.).

- Trzydzieści? A może tylko dwadzieścia?
- Był ciemny i szczupły.
- Proszę opowiedzieć wszystko jeszcze raz.
- Leżała na podłodze, a parang... tkwił w jej plecach.
- Miss Dalvik, czy on pani groził?
- Nie zdążył, mówiłam już, że uciekłam i zamknęłam drzwi na klucz, przecież on zabił Martinę.

Coraz ciężiej było jej oddychać, jakby tlen nie docierał do płuc; wciągała łapczywymi haustami powietrze, aż w końcu zaczęła z całej siły krzyczeć.

Potem musiał być szpital, bo wszystko było białe – pościel, ściany. Nancy Fors miała miłą, pociągłą twarz. Siedziała przy łóżku za każdym razem, gdy Justine otwierała oczy.

– Ben, ten człowiek, który był z wami w dżungli, prosił, bym przekazała pozdrowienia.

Rozpłakała się, usłyszawszy jego imię.

Większość czasu przespała.

Nancy Fors powiedziała:

– Złapali mężczyznę, który specjalizuje się we włamaniach do hoteli.

– Złapali go?

– Chcieliby, żebyś pomogła im go zidentyfikować.

Spała przez wiele dni. Teraz włożyła ubranie, które przyniosła ze sobą Nancy Fors – szerokie długie spodnie i wzorzystą tunikę z długimi rękawami.

– To moje rzeczy, chyba nosimy ten sam rozmiar. Możesz je zatrzymać.

Kazali jej patrzeć przez wizjer. W środku siedział chudy mężczyzna z zapadniętą szczęką.

– Czy to on? – spytała Nancy Fors.

Odpowiedziała, że nie wie.

Chciała pożegnać się z Benem, ale nie zrobiła tego.

Nigdy więcej go nie spotkała.

Nancy Fors towarzyszyła jej w samolocie, opiekując się nią i pilnując jej. Eskortowała ją aż do samego Sztokholmu.

CZĘŚĆ III

1

Po powrocie były kolejne przesłuchania. Dwoje obywateli szwedzkich straciło życie w Azji Południowo-Wschodniej, a Justine miała kontakt z obojgiem.

Przez pierwsze dni telefon dzwonił tak często, że w końcu wyciągnęła kabel z gniazdka. Policjanci pożyczili jej telefon komórkowy. „Musimy być w kontakcie z panią – oznajmili. – Proszę dopilnować, by zawsze był naładowany”.

Za każdym razem, gdy wymieniano nazwisko Nathana, miała zaburzenia oddychania. Musiała poluzowywać ubranie wokół szyi, łapała gwałtownymi haustami powietrze, wybuchała płaczem i rozdrapywała skórę na rękach.

Doznała przecież silnego szoku. Dostała od kogoś nazwisko pewnej psycholog, ale nigdy się z nią nie skontaktowała.

Nie wystarczyło jej odwagi, by ignorować telefon komórkowy. Zraz po powrocie zadzwonił Micke, syn Nathana. Zgodziła się, żeby odwiedził ją w domu.

Gdy zauważyła podobieństwo pomiędzy nimi, znowu nie mogła powstrzymać łez. Zerwała się z krzesła w błękitnym salonie i zostawiła go samego. Siedząc na łóżku w swoim pokoju, słyszała, jak chodzi po domu i ją woła. W końcu wyszła na korytarz.

Stał na schodach i trzymał się mocno poręczy. Ptak krążył tam i z powrotem pod sufitem. Był sam tak długo, że nieznanne głosy wprawiały go w panikę. Justine próbowała go zwabić, minęło jednak sporo czasu, zanim do niej przyleciał.

– Nie bój się! – krzyknęła w dół schodów. – Ptak jest bardziej przestraszony niż ty.

Potem przyszedł jej na myśl tygrys, tak właśnie mówił Ben: „Jest daleko stąd, boi się o wiele bardziej niż wy”.

Przycupnęła u szczytu schodów.

– Siadaj – zachęciła chłopca. – Wiesz, że widzieliśmy ślady tygrysów?

– Czy tatę mógł zabić tygrys? – zapytał niewyraźnie.

– Może raczej słoń.

– Słoń...

– Tak. W pobliżu naszego obozowiska były słonie.

– O cholera... widzieliście je?

– Ja nie. Ale Ben, który nam towarzyszył w dżungli, mówił, że nie zdarza się, by zwierzęta kogoś atakowały.

– Może je rozdrażnił?

– Twój tata?

– Tak.

– Nie, nie drażnił ich. Ale może jakieś chore lub ranne zwierzę... Nigdy nie wiadomo, co się zdarzy... Dżungla jest taka... nieprzewidywalna.

– On był tak cholernie nakręcony tą robotą. Nigdy go takiego nie widziałem. Wydawało mu się, że znalazł swoją niszę, mówił, że wkrótce i ja...

– Ile masz lat, Micke?

– Niedługo skończę szesnaście.

– Jesteś prawie dorosły.

Wzruszył sztywno ramionami.

Nagle ujrzała to wszystko jak na scenie teatralnej. Wstała i zeszła do niego, przysiadła na stopniu schodów. Ptak wleciał do jej pokoju.

Położyła dłoń na głowie chłopca. Repliki były takie jak należy.

– Wracaj do domu i pociesz swoje siostry. Musimy wierzyć, że twojemu ojcu jest dobrze tam, gdzie jest. Był człowiekiem przygody, można powiedzieć, że zginął w akcji. Umarł w najszcześniejszym momencie swojego życia. W otoczeniu natury, w samym środku wielkiej przygody. Jak myślisz, ilu ludziom jest to dane?

Mówiąc te słowa, uświadomiła sobie, że to przecież prawda. Składając w ofierze męczyznę, którego kochała i szanowała najbardziej w swoim życiu, uchroniła go przed trywialną codziennością, która wcześniej czy później zawładnęłaby nim, tak jak każdym człowiekiem. Nie musiał już wracać do domu, nie musiał się starzeć, nie musiał doznawać, jak ciało coraz bardziej odmawia mu posłuszeństwa, tak że w końcu siedziałby obolały i pokurczony, w zupełnej samotności, zapomniany przez wszystkich w jakimś domu opieki. Dzięki niej dane mu było odejść w kwiecie wieku.

Jednak ofiara była niesłyszana.

Kanciastym ciałem chłopca wstrząsnął dreszcz. Płakał głośno i gwałtownie.

Przyciągnęła go do siebie. Tak jak kiedyś jego ojca. Dotykała jego ubrania, jego skóry.

– Nathan był wspaniały, taki silny, odważny i dobry. Nigdy nie kochałam nikogo równie mocno jak twojego ojca.

Odsunęła go delikatnie od siebie.

– Czasem grałam dla niego. Mam taki róg... Mogłabym zagrać ci kilka melodii, jeśli chcesz.

– Jaki znowu róg? – spytał podejrzliwie.

– Stary pocztowy róg, który dostałam w dzieciństwie.

– Nie wiem... Można na czymś takim grać?

– Owszem.

Wstała i przyniosła instrument. Był pokryty warstewką kurzu, który wytarła rąbkiem spódnicy.

– Grałam dla niego kilka razy. Jemu się podobało.

Stanąła przy oknie i przytknęła róg do ust.

Grając, zauważyła, że chłopak zaciska pięści.

Gdy poszedł, coś w niej pękło. W jej krtani narastał ostry, gdaczący śmiech, nie mogła go powstrzymać, wylewał się z niej, przyprowadzając o spazmy. Przycisnęła język do ściany, czuła smak kamienia, smak kurzu i kamienia. Ale i ten śmiech.

Dopóki nie zaczęła się urywać, dopóki nie przeszedł w płacz.

Potem przyszła kolej na rodziców Martiny.

Zupełnie absurdalna historia.

Hans Nästman, policjant, z którym rozmawiała wiele razy, nalegał.

– Oczywiście, mogę teraz się z nimi spotkać – powiedziała. – Do tej pory było mi ciężko, byłam taka wyczerpana.

Nie chciała, by przyszli do niej do domu. Nie przyznała się do tego Hansowi Nästmanowi, zapytała tylko:

– Czy możemy się wobec tego spotkać na komendzie?

– Załatwię to – przyrzekł.

Nawet po nią przyjechał. Zwykłym samochodem, w cywilnym ubraniu.

– Pięknie mieszkasz – powiedział, spoglądając na jezioro. – A tamta łódź nie wygląda mi na zwykłą łajbę.

– Należała do mojego ojca.

– Niezła sztuka. Umiesz ją prowadzić?

– Nie byłam nią zbyt daleko, pływałam tylko po okolicy. Może kiedyś wybiorę się w dłuższy rejs, na przykład na Gotlandię albo na Wyspy Alandzkie.

– Będziesz musiała najpierw trochę potrenować. Masz uprawnienia żeglarskie?

Mówił dialektem brzmiącym jak värmlandzki.

Ptak był na strychu, z jakiegoś powodu nie chciała, by Hans Nästman go zobaczył. Zamknęła drzwi i wyszli.

Samochód pachniał świeżością i nowością. Pomyślała o swoim starym opłu i może właśnie wtedy postanowiła go zmienić.

Zbyt późno zorientowała się, że nie jadą w stronę Kungsholmen.

– Dokąd jedziemy? – zapytała.

– Mieszkają w Djursholm. Chcieli spotkać się z tobą w domu.

Ból w mózgu, jakby głowa się kurczyła.

– O co chodzi, masz coś przeciwko temu?

– Oczywiście, że nie. Tylko ten zapach w samochodzie... Zrobiło mi się trochę niedobrze. Czy moglibyśmy na chwilę opuścić szybę?

Nazywali się Andersson. Uderzyło ją, że nawet nie wiedziała, jak Martina miała na nazwisko. Dom był szary jak bunkier, z wysokimi wąskimi oknami.

– Ciekawe, czy to Ralph Erskine – powiedział Hans Nästman.

– Nie rozumiem.

– Czy to może on zaprojektował tę chałupę.

– Nie wiem.

Szedł tuż za nią, tak blisko, że niemal deptał jej po piętach.

– Ładna okolica – rzuciła, żeby tylko coś powiedzieć.

– O, tak. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby tu zamieszkać. Chociaż akurat ty nie masz na co narzekać, mieszkasz równie ładnie.

Drzwi były z masywnego drewna, z kołatką w formie lwiej głowy. Hans Nästman przyłożył do niej rękę, ale drzwi otworzyły się, zanim jej użył. Na progu stał mężczyzna w ciemnym garniturze.

– Nie ma sensu nią stukać – odezwał się. – I tak jej nie słyszać. Jest tu raczej dla ozdoby.

Był chudy i opalony, włosy miał zebrane w koński ogon. Uściskał mocno jej dłoń.

– Mats Andersson. Witamy.

Hans Nästman chwycił ją za łokieć i wprowadził do domu. Wyczuwała w głębi jakiś ruch.

– Proszę wejść, żona zaraz przyjdzie.

Zniżył głos:

– To wszystko, jakby to powiedzieć... jest dla niej bardzo trudne... oczywiście dla nas obojga.

Pokój, w którym się znaleźli, był duży i podłużny, urządony w całości w tonacji czarno-białej. Pośrodku stał fortepian. Słońce wdzierало się przez wąskie okna, tworząc palisadowy wzór. Przy jednej ze ścian stał rząd czarnych skórzanych foteli. Tuż obok było coś w rodzaju ołtarzyka ze świecami w srebrnych świecznikach i fotografią Martiny, zadowolonej i uśmiechniętej, ubranej w liliowy top. Przez materiał odznaczały się brodawki jej piersi.

Policjant podszedł do zdjęcia.

– Tak – potwierdził ojciec. – To ona.

– Domyśliłem się. Kiedy zostało zrobione?

– Zeszłego lata. Tego dnia panował straszny upał. Uwielbiała ciepło, nie powinna była się urodzić w takim kraju.

– Miała więc wtedy dwadzieścia cztery lata?

– Tak, właśnie tyle – odparł ojciec. – Przepraszam na moment, ja tylko...

Wyszedł z pokoju i zapadła cisza.

Usiedli obok siebie w fotelach. Fortepian, Steinway, miał podniesione wieko.

– Może słyszałaś o Matsie H. Anderssonie? – zapytał policjant. – Jest dość znanym pianistą koncertowym. Ale może nie interesujesz się muzyką klasyczną.

Jej wzrok prześlizgnął się po emblemacie fortepianu, złotym ornamencie przypominającym kształtem kieliszek do koniaku. Jakaś harfa czy lira. Naszła ją nagła ochota na szklaneczkę porto lub sherry.

Gdzieś w głębi domu słyszeli ponaglący głos ojca Martiny, przemawiającego jak do pieska. Po chwili stanął w progu z tacą i filiżankami na kawę.

– Żona zaraz przyjdzie – oznajmił ostrym tonem.

Weszła ze spuszczoną głową. Była młodsza, niż Justine się spodziewała. Miała, podobnie jak córka, ciemne włosy i jakby przymrużone oczy. W jej postaci było coś ocieźałego i powolnego.

– Marianne – przedstawiła się, wyciągając rękę na powitanie. – Jestem teraz na sobrilu, na pewno to widać.

Jej mąż przyniósł dzbanek z kawą. Gdy zaczął ją nalewać, wypadła przykrywka, przewracając jedną z filiżanek. Twarz żony przybrała wyraz jak u wystraszonego zwierzątka.

– Wiesz przecież, że nie toleruję takich hałasów – poskarżyła się. Zacerwieniły mu się koniuszki uszu.

– Te palce nie nadają się do praktycznych zajęć – stwierdził, próbując obrócić to w żart.

Kobieta chodziła po pokoju, była bosa, na jednym z palców u nóg miała bardzo wąską obrączkę. Odrzuciła do tyłu włosy, wydawała z siebie dziwaczne dźwięki.

– Stracić dziecko – uzalała się. – Stracić swoje ukochane dziecko.

– Czy Martina była waszą jedyną córką? – zapytał policjant.

– Tak – odparł Mats Andersson. – Ale mamy jeszcze syna, który mieszka w Australii. Przyjedzie oczywiście na pogrzeb. Nie widujemy się jednak zbyt często. Przepraszam, przyniosę tylko coś do wytarcia stołu.

– Pogrzeb, tak... słyszałem, że już ją przywieźli.

Kobieta przestała chodzić.

– W trumnie! Zapakowaną jak towar do wysyłki!

Stała przed Justine, po czym osunęła się na biały dywanik. Położyła głowę na jej kolanach, była rozgrzana i drżała. Obróciła twarz w dół i nagle ugryzła. Justine zadyszała ciężko, przykryła usta ręką i przez chwilę wpatrywała się niemo w policjanta. Ten znalazł się natychmiast koło niej, podniósł Marianne Andersson i pomógł jej usiąść w fotelu.

– Marianne, jak się pani czuje, wszystko w porządku?

Wąskie oczy błyszczały. Otworzyła usta, trzymała je przez chwilę rozwarte, zamknęła znowu.

Jej mąż wrócił ze ściereczką. Niezdarnymi ruchami zaczął wycierać rozlaną kawę.

Marianne Andersson powiedziała zupełnie normalnym głosem:

– Może teraz moglibyśmy zadać kilka pytań osobie, która ostatnia widziała naszą córkę żywą.

– Tak, to właśnie Justine Dalvik.

– Tak naprawdę nie ja widziałam ją żywą ostatnia. Ten człowiek jest w Kuala Lumpur, to przecież on... to zabójca widział ją ostatni.

Kobieta zwróciła się w jej stronę.

– Niech się pani nie czepia słówek. I bez tego jest wystarczająco źle.

– Proszę posłuchać – zaapelował policjant. – Wszyscy jesteśmy głęboko wstrząśnięci tym, co się stało. Trudno utrzymać nerwy na wodzy. Justine Dalvik mieszkała w pokoju z waszą córką. Mówi, że kiedy to się wydarzyło, była w łazience.

– Mogę pytać, o co chcę? – powiedziała kobieta.

– Tak?

– Zastanawiam się nad niektórymi rzeczami. Nad niektórymi szczegółami.

– Proszę pytać.

– Gdy wyszła pani spod prysznic... była pani naga?

- Nie... owinęłam się w ręcznik.
 - Ten mężczyzna po prostu tam był? Nie słyszała pani, jak wszedł?
 - Nie, stałam przecież pod prysznicem.
 - A on nie słyszał, że pani tam jest?
 - Nie wiem... Prawdopodobnie sądził, że jestem sama, na pewno słyszał lejącą się wodę i może postanowił skorzystać z okazji i się włamać, gdy byłam w łazience.
 - I zorientował się, że w pokoju jest jeszcze jedna osoba?
 - Tak.
- Pytania padały szybko, smagały niczym bat.
- Czy moja córka próbowała go powstrzymać?
 - Nie wiem.
 - Ale jak pani sądzi?
 - Nie... Myślę, że była zbyt zaskoczona. Mówiono mi, że nie było śladów walki.
 - Skoro natknął się niespodziewanie na kogoś w pokoju, powinien był chyba od razu uciekać?
 - Nie wiem.
 - Nie wie pani?
 - Nie. Może wyszła na chwilę, a jak wróciła, on już tam był, może poszła tylko po coś.
 - Nie próbowała pani jej bronić?
 - Przecież było już za późno! Było już po wszystkim.
 - Więc co pani zrobiła?
- Poczuła zawroty głowy, spojrzała na policjanta, który skinął zachęcająco w jej stronę.
- Co zrobiłam... A co pani by zrobiła?
 - Zabiłabym go, udusiłabym, rozerwałabym na strzępy gołymi rękami...
 - Marianne... – upominał ją mąż. – Marianne...

– Był niebezpieczny – wyszeptwała Justine. – Skoro zamordował ją, mógł zamordować i mnie.

– To co pani zrobiła?

– Pobiegłam z powrotem do łazienki i zamknęłam się na klucz.

– Dlaczego nie wybiegła pani na zewnątrz? Żeby sprowadzić pomoc? Mnie się to wydaje niezwykle dziwne.

– Nie wiem, to był czysty odruch.

– Gdyby znalazła się na czas w szpitalu! Gdyby od razu ją zabrali!

– Ale było już za późno!

– Skąd pani wie? Ilu zmarłych pani widziała? Skąd ta niezachwiana pewność?

Chwyliła filiżankę, lecz ręce drżały tak mocno, że nie była w stanie jej unieść.

– Czy ja mógłbym... czy ja mógłbym teraz o coś zapytać? – włączył się ojciec. – Jaka była tego dnia, w jakim była nastroju? Była zadowolona czy smutna... Jak pani sądzi?

– Nikt z nas nie był zbyt zadowolony.

– Proszę pamiętać o tym, co stało się w dżungli – zauważył Hans Nästman. – Trzeba było natychmiast rozwiązać grupę, jeden z pilotów wycieczki zniknął, z pewnością przytrafił mu się jakiś nieszczęśliwy wypadek, najprawdopodobniej nie żyje.

– Nie znaleziono go?

– Nie, to co zostaje w dżungli, zwykle się nie odnajduje.

– Nasza córka była niespokojnym duchem. Zawsze odchodziłam od zmysłów, gdy włączyła się po świecie. Bałam się, że coś jej się przydarzy. Wcześniej czy później, myślałam... ale nie można im przecież zakazywać.

– Nie, to prawda.

– Czy pan inspektor ma dzieci?

– Tak, dwóch synów, osiemnaście i dwadzieścia lat.

– Z chłopcami jest łatwiej.

– Proszę tak nie mówić.

Kobieta wstała. Podeszła do ołtarzyka i zapaliła obie świece.

– Możecie sobie już iść – rzuciła ochryplym głosem. – Teraz już wiem, jak wygląda kobieta, która dzieliła pokój z Martiną. Nie chcę wiedzieć nic więcej. To wystarczy.

– Jaka dziwna, niemiła kobieta – stwierdził Hans Nästman, gdy siedzieli już w samochodzie. W moim zawodzie człowiek styka się z różnymi dziwacznymi osobnikami. Ale kogoś takiego jak Marianne Andersson...

– Żałoba może bardzo odmienić człowieka.

– E tam!

Zapięła pas bezpieczeństwa.

– Co ci zrobiła? – zapytał.

– Nic takiego.

– Zraniła cię, widziałem przecież. Ugryzła cię, tak?

– Nie.

– Posłuchaj, Justine. Musisz dostać zastrzyk przeciwțęczcowy, ugryzienie przez człowieka należy do najniebezpieczniejszych.

– Jestem już zaszczepiona.

– No tak, jasne. Jak się wyjeżdża tak daleko...

– Dostaliśmy mnóstwo zastrzyków. Nathan też. Ale nie można się zaszczepić na wszystko.

– Słuszna uwaga.

Przez chwilę milczał. Potem powiedział:

– Justine, widziałem, że cię ugryzła.

Westchnęła.

– No dobra.

– Odniosłem wrażenie, że jej na to pozwoliłaś.

– Niech ci będzie. Może na to zasłużyłam. Może powinnam była jakoś bronić jej córki.

– Tak to odczuwasz?

– Nie wiem. Może raczej powinien się tym zająć jakiś psychiatra. Proszę, odwieź mnie już do domu. To był straszny dzień.

Hans Nästman pozostawał z nią w kontakcie.

– Sądzę, że chciałabyś wiedzieć, co dzieje się w Kuala Lumpur. Czy w ogóle kiedyś znajdują Nathana Gendsera. Mężczyzna, którego schwytano, przyznaje się jedynie do włamań do hoteli. Twierdzi też, że jego stopa nigdy nie postąpiła w waszym hotelu. Nie można mu nic udowodnić. Na nożu jest dużo odcisków palców, ale jego odcisków nie ma. Mógł oczywiście używać rękawiczek, tak... mimo że tam musi być bardzo gorąco.

Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć.

– Zakładam, że tak czy inaczej go posadzą. Chyba że ma doskonałe alibi. To tylko biedny obdartus, bez forsy.

– Nie chcę więcej o tym rozmawiać. Wolalabym o wszystkim zapomnieć.

2

Jesienią i zimą zostawili ją w spokoju.

Ona jednak nie zapomniwała, Nathan wciąż do niej powracał. Nocą pojawiał się w jej snach, a za dnia czuła, że porusza się tuż za nią, tak blisko, że słyszała jego oddech. Gdy oglądała się za siebie, rozplątywał się i znikał.

Tak, Nathan do niej powracał, ale już coraz rzadziej.

No i ta historia z Hansem Peterem. Tego zimowego dnia, z łagodną temperaturą i lśnieniem deszczu na szybach, kochali się po raz pierwszy. Wiedziała, że musi iść, ale chciała go zatrzymać.

Powiedział, że zaraz idzie do pracy.

Siedzieli w jej kuchni. Przyciągnął ją do siebie, posadził na kolanach.

– To trochę dziwne... Właściwie się nie znamy... a jednak.

Przytuliła się do niego i schowała twarz w zagłębieniu jego szyi.

– Mimo wszystko trochę się znamy?

– Taaa...

– Chcę... jeszcze raz – wyszeptła.

– Tylko chwilę.

– Szybki numerek.

Zebrała wszystko ze stołu, pochyliła się nisko nad blatem i zadarła sukienkę. Nie miała na sobie majtek. Stał za nią, jego ręce spoczywały na jej udach i biodrach. Ocierała się o niego, by stwardniał, czuła jego członek przez materiał spodni.

W tym momencie zadzwonił telefon.

– Cholera! – krzyknęła. – Jasna cholera!

Odsunął się do tyłu. Podniósł słuchawkę, wyciągnął w jej kierunku. Kręciła odmownie głową, lecz było już za późno.

– Halo! – powiedziała spiętym głosem.

– Halo... chciałbym rozmawiać z Justine Dalvik.

– To ja.

– Nazywam się Tor Assarsson. Jestem mężem Berit. Wiem, że jesteś jej koleżanką z czasów szkolnych.

– Aha, właśnie. Dzień dobry.

– Niepokoję się o nią. Berit zniknęła.

– Naprawdę?

– Nie ma jej już od ponad doby.

– Coś takiego.

Ból głowy powrócił, wzerał się w skroń, a gdy się poruszyła, zacisnęła się obręcz wokół czoła. Jakby kości czaszki się skurczyły.

– Chciałem zapytać... Mówiła, że wybiera się do ciebie. Czy była u ciebie wczoraj?

- Tak, oczywiście. Siedziałyśmy tu sobie wieczorem i gadałyśmy.
- A jak długo?
- Nie wiem. Nie pamiętam, która mogła być godzina.
- Było późno?
- Chyba dość późno.

Hans Peter przyglądał się jej. Zasunął zamek rozporka, uśmiechał się i kręcił głową. Justine próbowała odwzajemnić uśmiech.

- Muszę przyznać, że jestem strasznie zaniepokojony.
 - Rozumiem...
 - To do niej niepodobne, nigdy tak nie robiła. Boję się, że coś jej się stało. Coś niebezpiecznego, strasznego.
 - Może gdzieś wyjechała? Może chciała po prostu pobyc trochę sama?
 - Czy wspomniała ci coś o tym?
 - Nie wyglądała na zadowoloną, naprawdę nie.
 - Ma teraz kłopoty. A ja może nie dawałem jej oparcia, którego potrzebowała. Co ci mówiła? O czym rozmawiałyście?
 - Opowiedziała mi o kłopotach w pracy. Że nie chce się przeprowadzić do Umeå czy gdzie to tam miało być.
 - Luleå!
 - O właśnie. Była przygnębiona, martwiła się o przyszłość.
 - Myślisz, że mogła sobie coś zrobić?
- Jego głos zrobił się chropawy, słyszała, że jest bliski załamania.
- Nie wiem – odparła. – Nie znamy się zbyt dobrze, nie widziałyśmy się od czasów szkolnych. Nie mam pojęcia, czy ona jest typem osoby, która może wyrządzić sobie krzywdę. Naprawdę nie wiem.
 - Zawsze mi się wydawało, że ona taka nie jest. W każdej sytuacji zachowywała siłę i spokój, mimo różnych przeciwności losu. Ale nigdy nic nie wiadomo... Jest przecież w takim wieku, no wiesz, klimakterium i te sprawy. Podejrzewam, że to się już zaczęło. Domyślam się, że hormony mogą zatruć życie kobiecie.

– Owszem. Są przecież kobiety, które wręcz przechodzą przemianę osobowości.

– Ale ja właściwie nie zauważyłem takich oznak.

Słyszała, jak Peter schodzi po schodach, zbierał się do wyjścia. Uświadomiła sobie, że tego nie chce. Po raz pierwszy poczuła, że nie chce zostać w domu sama, chciała pojechać z nim, gdziekolwiek, wsiąść do samochodu i po prostu pojechać przed siebie.

– Co mówiła, zanim wyszła?

– Co mówiła? No... że pójdzie na przystanek autobusowy na Sandviksvägen. Ale my trochę wypiliśmy... Chyba nie pamiętam dokładnie, co mówiła.

– Była pijana?

– Dość wstawiona.

– Może gdzieś się przewróciła?

– Nie wiem. Ale chyba ktoś by ją znalazł.

– Że też nie wzięła taksówki, dlaczego nie wzięła taksówki?

– Właśnie.

Mężczyzna oddychał ciężko.

– Chyba zadzwonię na policję – oznajmił. – Co jeszcze mógłbym zrobić? Potem pójdę i zacznę jej szukać. Może zajrzę do ciebie.

– Nie wiem, czy będę w domu, raczej nie.

– Aha. Podam ci w każdym razie nasz numer domowy i numer mojej komórki. Gdybyś chciała się skontaktować. Gdyby przypomniało ci się coś, o czym zapomniałaś mi powiedzieć.

Hans Peter włożył już kurtkę.

– No to nasza wspañiała randka przeszła nam koło nosa – stwierdził, obejmując ją. – Dziś w nocy będę miał przed oczami ten obraz – twój wspañiały tyłek; będę miał permanentny wzwód.

– Ojej... Naprawdę musisz już iść?

– Tak.

– Że też, cholera, zapomniałam odłączyć telefon. Prawie zawsze wyciągłam kabel z gniazdko, nie chcę, żeby ludzie do mnie wydzwaniali.

Odsunął ją trochę od siebie.

– Ależ, Justine, nie możesz tak robić! Nie będę mógł się do ciebie dodzwonić!

– Ale ty przecież byłeś tutaj.

– A gdy mnie tu nie ma?

– No tak...

– Kupię ci wyświetlacz numerów.

– A co to takiego?

– Nie wiesz? To taki gadżet, który pokazuje numer dzwoniącej osoby. Jak nie masz ochoty rozmawiać z ciotką Gretą, to po prostu nie odbierasz.

– Nie wiedziałam, że coś takiego istnieje.

– Owszem. Muszę już lecieć. Zadzwoń jutro rano, kiedy tylko wstanę. Nie mogę się już doczekać.

Była w domu, była sama. Pozamykała drzwi na klucz i obesła wszystkie pokoje. Zmyła naczynia, uprzątnęła trochę rzeczy. W końcu pogasiła lampy i wyłączyła telefon.

Stała w oknie kuchennym, nie miała ochoty leżeć, nie chciała zamykać oczu. Ból wryzał się w jej mózg, wryzał się i wryzał coraz głębiej.

Zauważyła go, stojąc w ciemnościach. Wyglądał dokładnie tak, jak sobie wyobrażała. Szary płaszcz, blada, bezosobowa twarz. Malujący się na niej niepokój nie zdołał pozbawić mężczyzny wyglądu kompetentnego urzędnika. Słyszała jego kroki na frontowych schodach, a potem dzwonek do drzwi, sygnał, który wrywał się w samo jądro domu.

Odczekał chwilę, po czym zadzwonił jeszcze raz. Nikt nie otworzył, więc obszedł dom i skręcił w stronę jeziora. Justine pobiegła na górę po schodach. Widziała, jak stoi na skraju lodu – zrobił kilka ostrożnych kroków, zaraz jednak zawrócił.

Wyglądał, jakby się trochę skurczył. Współczuła mu z całego serca.

W nocy zaczął padać śnieg. Termometr za oknem w sypialni pokazywał minus dwa stopnie. Nie rozebrała się, chodziła po domu, trzymając się po omacku ścian, jakby była niewidoma. Połknęła wcześniej kilka tabletek, ale ból się utrzymywał, choć nieco złagodniał.

Była druga w nocy. Chwyciła za słuchawkę i wykręciła numer.

Odebrał natychmiast.

– Dobry wieczór, mówi Justine Dalvik. Przepraszam, że przeszkadzam o tej porze.

– Nic nie szkodzi.

– Nie znalazłeś jej?

– Nie.

– Czy... włączyłeś w to policję?

– Włączyłem, jak włączyłem. Byłem tam i rozmawiałem z nimi. Nie zrobią na razie nic, jeszcze nie teraz. Mówią, że żony często znikają. Wiele kobiet tak robi, by w ten sposób ukarać swoich mężów. Pewnie powiedzieli tak tylko po to, żeby mnie uspokoić.

– Myślałam trochę o Berit. Tak naprawdę wspominała też o... waszym małżeństwie.

– Tak, a co mówiła?

– Odniosłam wrażenie, że była trochę, jakby to powiedzieć... rozczarowana.

– Z mojego powodu?

– Tak.

– Naprawdę tak powiedziała?

– Płakała, wyglądała, jakby była w depresji. Twierdziła, że już nie łączy was zbyt wiele. „Co mi jeszcze pozostało – nie mam ani miłości, ani pracy” – mówiła coś w tym stylu.

Słyszała, jak zapala papierosa.

– Powiedziała tak?

– No tak, coś w tym rodzaju.

Plakał, mamrotał coś niezrozumiałego. Wydawało się, że odłożył słuchawkę, słyszała, że odchrząkuje i kaszle. Wrócił po chwili.

– Przepraszam – powiedziała cicho. – Nie powinnam była dzwonić tak późno w nocy.

– Nie ma o czym mówić – zapewnił. – Nic nie szkodzi, absolutnie. Wręcz przeciwnie.

– Nie mogę zasnąć. Też się niepokoję.

– Byłem dzisiaj w Hässelby. Dzwoniłem do drzwi, ale nikt nie otworzył.

– No tak.

– Co ja mam robić? Kurwa, co powinienem zrobić?! – wykrzyczał ostatnie słowa, czuła, że zmusza sam siebie do opamiętania się. – Przepraszam... szaleję z niepokoju, nie wiem, co ze sobą począc.

– Nic dziwnego. Masz może jakieś tabletki nasenne? Żebyś mógł zasnąć...

– Nie stosuję takich środków.

– Berit też ich nie używała?

– Nie wiem, szczerze mówiąc.

– Aha. No nie, nie będę cię już dłużej zatrzymywać. Zadzwoń, jeśli jeszcze coś sobie przypomnę. Dobranoc.

– Dobranoc.

Za każdym razem, gdy się kładła, tamto powracało. Za dnia trzymało się od niej z daleka. A wtedy, kiedy było już po wszystkim, zasnęła. Zdążyła wytrzeźwieć, lecz po wyjściu spod prysznicą usiadła na skraju łóżka i wypila jeszcze kilka kieliszków wina. Czuła, że stopa znowu zaczyna ją boleć. Potem zapadła w sen.

Wpadły sobie w ramiona. Stały dłuższą chwilę i się obejmowały. Rozgrzana, zasmarkana twarz Berit, jej pijackie łkanie: „Miałam takie

wyrzuty sumienia, nie mogłam sobie darować... Próbowałam przekonać samą siebie, że przecież dzieci takie są, że nie mają za grosz empatii, ale to nic nie pomagało. O Justine, Justine, musisz mi wybaczyć!”.

Była nieco niższa i szczuplejsza od niej. Ale silna. Mimo to, gdy Justine pociągnęła ją na podłogę, osunęła się bez protestów. Justine siedła okrakiem na jej klatce piersiowej, pochyliła się do przodu i zacisnęła dłonie na gardle – dopiero wtedy zaczęła stawiać opór. Justine sięgnęła jedną ręką na półkę, wyszarpnęła z niej książkę, któregoś Dostojewskiego, i uderzyła rogiem okładki prosto w grzbiet nosa Berit. Usłyszała chrzęst, czuła jak ciało pod nią wiotczeje; rozbłyły białka oczu, zemdląła na chwilę, może bardziej z szoku niż z bólu. Justine podniosła się szybko i pobiegła do sypialni, przyniosła swoją długą apaszkę, owinęła kilka razy wokół szyi leżącej kobiety i zacisnęła.

Nie zwolniła uścisku do momentu, kiedy nie było już wątpliwości.

Usłyszała, że dzwoni telefon. Podniosła słuchawkę, usłyszała mężczyznę. Nathan? Nie, Hans Peter. Nathana już nie ma, jego ciało rozpadło się na strzępy w rwącej rzece po drugiej stronie kuli ziemskiej; to było tak dawno, wszystko odeszło w niepamięć.

Odłożyła cichutko słuchawkę.

Wiedziała, co powinna zrobić. Mimo że wcześniej tego nie zaplanowała, wszystko przychodziło samo, prowadził ją jakiś głos: przynieś ze schowka siatki, dwie białe siatki z materiału, z logo Konsumu. Potem apaszka. Nie patrzyła na twarz zmarłej, poluzowała chustkę na jej szyi. Towarzyszył temu nieprzyjemny sapliwy odgłos. Przeciągnęła apaszkę przez uchwyty siatek, a potem mocno obwiązała nią Berit w pasie.

Ptak krążył wokół niej.

– Idź już spać – upominała go. – Możesz sobie zrobić krzywdę w tych ciemnościach.

Nie usłuchał jej jednak, gdy ciągnęła ciało w dół schodów, siedział jej cały czas na ramieniu. Przez niego była przez chwilę rozkojarzona.

Dopiero kiedy zbliżała się do drzwi piwnicy, oderwał się od jej ramienia i pofrunął na górę.

– Zaraz wracam! – zawołała. – Wiesz, że tak będzie, dostaniesz coś dobrego, może jajko, surowe kurze jajko, takie jak lubisz, może nawet z zarodkiem w środku. Zdarzają się takie co jakiś czas.

Zostawiła Berit w sieni. Przypomniała sobie, że w piwnicy są kamienie. Przywiózł je do domu ojciec, kupił je od jakiegoś znajomego, który miał mu pomóc zbudować grill w ogrodzie. Nigdy nic z tego nie wyszło. Flora zrzędziła; usłyszała nagle ten gderliwy głos: „Że też nigdy nie możesz niczego doprowadzić do końca, mają leżeć tu na podwórku aż do naszej śmierci? Sven, to wygląda niechlujnie, nie chcę ich tu widzieć”.

Wkurzony ojciec wyniósł wszystkie kamienie do piwnicy. Zrobił to w dziesięć minut, był błądy i wściekły, a potem wsiadł do łodzi i popłynął na jezioro.

Justine wniosła na górę kilka kamieni. Włożyła je do siatek, gdy jednak spróbowała przesunąć Berit, zrobiło się za ciężko.

– Do kurwy nędzy – zaskomlała.

Oddychała gwałtowniej, lecz nie czuła paniki.

Wyciągnęła kamienie. Z pewnym trudem ubrała Berit w kurtkę i włożyła jej na głowę brzydki kaszkiet w brązową kratkę. Mało brakowało, a zapomniałaby o rękawiczkach na półce w przedpokoju. Gdy je zauważyła, próbowała najpierw naciągnąć na ręce Berit, ale przerwała i łkając, wcisnęła je do kieszeni kurtki zmarłej.

Potem sama się ubrała.

Przysunęła do schodów sanki. Teraz to najtrudniejsze, trzeba było staszczyć na dół pozbawione życia ciało i umieścić je na sankach. Cały czas była świadoma bólu w stopie, który jakby nie całkiem docierał na powierzchnię – opierała się na niej, czuła klucie i ćmienię, lecz był to ból przytłumiony i powstrzymywany. Zajmie się tym później.

Przecięgnęła ciało na sanki. Płozy poruszyły się nieco, ręce zmarłej uderzyły ciężko o śnieg. Justine próbowała ułożyć je Berit na kolanach, ale znowu bezwiednie spadały. Musiała wrócić do domu i poszukać sznurka. Najpierw nie mogła go znaleźć, wysuwała po kolei wszystkie szuflady w kuchni, wyrzucając ich zawartość na podłogę.

W tym momencie poczuła pierwsze oznaki paniki.

Podeszła do lustra, zobaczyła w nim swoją twarz, wypowiedziała głośno swoje imię:

– Justine. Miałaś do tego prawo, pamiętaj o tym. Myśl o tym cały czas!

Ręce zaczęły jej się trząść, uniosła je i wymierzyła sobie dwa siarczyste policzki. *Calm, calm**, bez hysterii, wiesz, co on o tym myśli.

Wtedy jej przeszło.

Chwilę później znalazła motek sznurka. Leżał w niszy okiennej, przypomniała sobie, że używała go kilka dni wcześniej do... Nie, jednak nie pamiętała już do czego. Podniosła z podłogi nożyczki i wyszła.

Berit opadła na sankach, mało się z nich nie ześlizgnęła. Justine przywiązała ją, najpierw w pasie, potem ręce i nogi. Głowa opadała, przetrącona szyja; nie patrzeć na te podbiegłe krwią oczy, nie patrzeć; zsunęła najniżej, jak się dało, czapkę Berit, po czym poszła po kamienie.

W każdej siatce zmieściło się ich pięć.

Noc była mglista i nieprzenikniona. Gdzieś wysoko przelatywał samolot, słyszała warkot silników. Z dużym wysiłkiem dociągnęła sanki do jeziora. Płozy cały czas zapadały się w śniegu. Zrobiło się lżej, gdy wyszła na lód. Wypchnęła przed siebie sanki tak daleko, jak tylko się odważyła, wystraszona dobiegającym momentami gdzieś z oddali dudniącym, ostrym dźwiękiem. Szła, aż poczuła, że ma mokre stopy. Zobaczyła na lodzie warstwę wody.

* Spokojnie, tylko spokojnie (ang.).

Wtedy stanęła i wzięła rozbieg. Kulejąc, podbiegła do sanek, popchnęła je; posuwały się do przodu. Jednak to nie wystarczyło, lód nadal trzymał. Musi spróbować pójść jeszcze kawałek dalej. Położyła się na brzuchu, podczołgała do przodu; wilgoć przenikała przez płaszcz, mimo to nie było jej zimno, wręcz przeciwnie – jakby parzyło. Przyłożyła ręce do pośladków Berit i jeszcze raz popchnęła. Sanki przesunęły się o jakieś dziesięć metrów. Usłyszała odgłos pęknięcia i bulgot, potem sanki przechyliły się w przód; widziała, jak powoli osuwają się do wody, widziała wywracające się płozy, jak wszystko zanurza się i znika.

Kiedy wróciła do domu, odezwał się znowu ból stopy. Ściągnęła z siebie mokre ubrania i powiesiła je w suszarce.

Pod prysznicem zauważyła na rękach zadrapania, zadrapania i rany po wbijających się paznokciach. Szczypało ją, gdy je smarowała.

Dopiero kiedy podeszła do drzwi sypialni, zobaczyła torebkę Berit. Stała nadal przy krześle, na którym siedziała.

3

Następnego ranka obudziła się, czując ciężar na klatce piersiowej. Próbowwała krzyczeć, lecz gardło było szorstkie niczym papier ścierny. Pomacała dłonią po pościeli i wyczuła ptaka. Nigdy wcześniej nie przysiadł na jej łóżku.

Schowała torebkę Berit do swojej szafy. Gdy wcześniej rano weszła na korytarz na piętrze, zobaczyła jeszcze jedną torbę – rzuconą pod ścianę granatową siatkę z materiału z napisem „Lúdings förlag” i logo

z obrazkiem przedstawiającym stos książek. Przypomniała sobie, że Berit miała ze sobą kwiaty i butelkę wina.

Czuła kompletną pustkę. Zwinęła granatową siatkę i ją też włożyła do szafy.

Resztę dnia spędziła z Hansem Peterem. Udało jej się wyprzeć wszystko inne. Myślała o nim wcześniej, zaczynał coraz bardziej zapadać jej w świadomość. Odczuwała pewnego rodzaju czułość na myśl o jego obojczyku, szyi, dłoniach. Było inaczej niż z Nathanem – delikatniej, łagodniej. Dawał jej pewnego rodzaju poczucie radosnego zadowolenia.

Zamierzała po jego wyjściu zrobić porządek z torebką Berit, lecz nie wystarczyło jej sił. Zmęczenie ścięło ją dosłownie z nóg, więc położyła się do łóżka. W pościeli pozostał zapach Hansa Petera, jego bliskość.

W poniedziałek przed południem zadzwonił znowu Tor Assarsson.

– Nie mam siły chodzić do pracy – oznajmił. – Liczyłem na to, że zastanę cię w domu.

– Owszem, jestem w domu.

– Wszystko jest do dupy, kompletnie do dupy.

– Rozumiem. Nadal bez zmian?

– Tak.

– Poczekaj na listonosza. Może wysłała do ciebie list, z Rzymu albo, dajmy na to, z Tobago. Może po prostu wyjechała, by nabrać dystansu do tego wszystkiego.

– Tak myślisz?

– Nie jest to chyba całkiem wykluczone.

– Może masz rację. Miejmy nadzieję, że się nie mylisz.

Powiedział, że musi do niej przyjechać, by porozmawiać. Udało jej się odwlec spotkanie z nim; poczekaj najpierw na pocztę, zasugerowała, o której zwykle ją dostajecie?

Odparł, że nie wie. W dni powszednie nigdy nie był w domu przed południem.

W końcu przyrzekła, że przyjmie go po lunchu.
Myślała o Hansie Peterze.

Najpierw torby. Dziwne, ale miała nadzieję, że gdy otworzy drzwi szafy, okaże się, że zniknęły. Oczywiście tkwiły tam nadal. Duża skórzana torebka Berit stała na tenisówkach, dokładnie tam, gdzie ją postawiła.

Ból głowy powrócił.

Usiadła na podłodze z nożyczkami w dłoni. Zamierzała pociąć całą torebkę wraz z zawartością na małe kawałeczki. Kiedy trzymała ją w ręce, w ten sam sposób, w jaki robiła to Berit, uświadomiła sobie, że nie będzie to łatwe. Nie miała ochoty zaglądać do środka, ale rozumiała, że musi to zrobić. Metalowe sprzączki rozpięły się z trzaskiem, torebka ziała na nią swoim ponurym, tajemniczym wnętrzem. Rzeczy właścicielki, jej życie.

Na wierzchu leżała chusteczka do nosa z materiału ze słabymi śladami szminki, głębiej wszystko inne, czego nie miała ochoty oglądać, lecz musiała – drobiazgi, rzeczy osobiste, które znowu przywrócą obraz Berit w jej domu. Podniszczony przy szwach portfel, przegródki z kartami bankowymi, biała plakietka ubezpieczeniowa, karta American Express, nieważna od wielu lat karta stałego klienta w klubie książki Förlagsklubben, karta apteczna. Justine odsunęła skrzydełko, a wtedy spojrzały na nią trzy pary oczu: męża Berit, Tora, i chłopców w wieku szkolnym. W przegródce na pieniądze było prawie tysiąc koron. Zaczęła od nich, pocięła je na wąskie paski; potem zdjęcia, plastikowe karty, wszystkie paragony i karteluski znajdujące się w tej samej przegródce, za pieniędzmi. Następnie wzięła kalendarzyk, szybko go przekartkowała, czytając sporadyczne notatki: *dentysta godz. 13.40, pamiętać o szewcu*. Na samym dnie torebki leżało luzem prawo jazdy Berit. Trudno było ją rozpoznać na starym zdjęciu, miała włosy upięte w kok, który ją postarzał. Klucze, grzebień, lusterko i szminka – Justi-

ne włożyła wszystko do jednego woreczka. Próbowwała złamać grzebień na pół – był to jasnoniebieski plastikowy grzebień z uchwytem; próbowała z całej siły, lecz plastik się opierał. Mały flakonik perfum Nuits indiennes – zawinęła go w folię plastikową, by stłumić zapach. Zapalniczka stała na stole. Leżała tam również paczka papierosów, w środku jeszcze pięć czy sześć sztuk, pokruszyła je bezpośrednio nad powstałym stosem. Pocięła siatkę z materiału na małe kawałki, próbowała zrobić to samo z torebką, lecz zrezygnowała. Nożyczki stały opór, stępiły się.

Co powinna z tym zrobić? Siedziała na podłodze z wyprostowanymi nogami, wycięte oko Berit wgapiło się jej prosto w twarz. Wzięła fragment zdjęcia między palce i wsunęła na sam dół stosu.

Zadzwoił telefon, nie miała odwagi odłączyć go teraz, pomyślała o Torze Assarssonie i o dzieciach Berit. Powinna być do dyspozycji, jak przystało na miłą, dobrą przyjaciółkę.

Spięta wypowiedziała swoje imię i nazwisko.

– Kochanie moje!

Hans Peter.

– Bałem się, że odłączyłaś telefon.

– Nie...

– Tęsknię za tobą, tęsknię całym ciałem, moim dłoniom brakuje ciepła twojej skóry, chcę słuchać twojego głosu, chcę wziąć cię w objęcia.

– O Boże, Hans Peter...

– Co ci jest, jakoś inaczej brzmisz. Stało się coś?

– Nie, nic takiego.

– Na pewno?

– Na pewno. Pracujesz dzisiaj?

– Jasne, ale dopiero wieczorem. Jeśli mogę przyjechać teraz do ciebie, zaraz się zbieram!

Zmroził ją ton własnego głosu.

– Nie mogę, jestem zajęta.

- A kiedy będziesz mogła? – Słyszała rozczarowanie w jego głosie.
 - Zadzwońię do ciebie.
 - Ach tak.
 - Kochany, najpierw muszę się uporać z kilkoma rzeczami, na razie nie mogę ci nic powiedzieć. Ale zadzwonię do ciebie.
 - Nie wiadomo, czy mnie zastaniesz.
 - No nie. Ale spróbuję. Przepraszam, muszę już kończyć.
- Odłożyła słuchawkę. Nie tak to sobie wyobrażała. Zakryła oczy rękami i jęknęła.

Może uda się spalić torebkę? Nie, to zbyt ryzykowne. Chodziła tam i z powrotem, mamrotała sama do siebie, jęczała, co powinnam zrobić, co powinnam zrobić? Nagle przyszła jej na myśl Lövsta, sortownia odpadów koło Riddersvik. Jasne, że też wcześniej o tym nie pomyślała. Była już bardzo zmęczona, kręciło jej się w głowie, gdy schodziła do piwnicy. Znalazła tam rolki czarnych worków na śmieci, włożyła do jednego z nich torebkę i wszystkie pocięte rzeczy, zawiązała. Obeszła dom, przeszukując wszystkie pomieszczenia – nie, nie ma więcej śladów. Ubrała się i wsiadła do samochodu.

Niepokoili się, że ktoś będzie się dopytywał, co jest w worku. Pracownik w kombinezonie patrzył na nią obojętnie, mimo to zapytała:

- Gdzie wkłada się rzeczy do spalania?

Wskazał jej właściwy kontener.

- Dziękuję – odparła.

Wracając do samochodu, dorzuciła:

- Miłego dnia!

W odpowiedzi mruknął coś niezrozumiałego.

Natychmiast po powrocie do domu wybrała numer Hansa Petera. Oczywiście nie odpowiadał. Ogarnął ją niepokój, który szybko przerozdził się w rozpacz. Poszła do łazienki i zrobiła sobie mocny makijaż.

Czarne kreski konturówką i cień na powieki. Włożyła spódnicę, rozpi-nany sweterek i grube wełniane rajstopy. Nocny odpoczynek wpłynął dobrze na kostkę, która jednak była nadal lekko opuchnięta.

Chciała znowu zadzwonić – nie, lepiej nie; jest mu przykro, czuje się dotknięty i na pewno nie odbierze, nawet jeśli ona będzie wydzwaniać cały dzień. Nie zdziwiłaby się, gdyby się okazało, że Hans Peter długo chowa urazę.

Ktoś stał przy drzwiach, czy to on? Stał tam jakiś mężczyzna, widzia-ła go przez mleczną szybę, wyglądał jak Hans Peter, czy to on?

Jednak nie.

Od razu zorientowała się, kto to jest.

Tor, mąż Berit.

– Justine, prawda?

Wyglądał niechlujnie, podbródek i policzki przysłonięte mgiełką za-rostu; małe, mętne oczka.

– Wejdz – szepnęła.

Stał w korytarzu, rozglądał się.

– A więc tutaj była nie dalej jak w sobotę. Próbuję wczuć się w jej tok rozumowania, zastanawiam się, jak myślała i postępowała.

– Tak...

– Dokąd poszłyście stąd?

– Chyba na górę. Siedziałyśmy i gadałyśmy tam na górze.

– Zróbmy teraz to samo.

Zaczęła wspinać się po schodach, trzymając się poręczy, stopa zno-wu bardziej bolała, zauważył to, lecz nie skomentował.

– Może dasz się namówić na kawę?

– Nie mam ochoty na kawę, nie mam ochoty na nic.

Ptak siedział na oparciu krzesła Berit. Na widok mężczyzny zaskrze-czał. Tor Assarsson aż podskoczył.

– Ożeż, kurwa, a to co?

– Wszyscy o to pytają – odparła zniechęconym tonem. – To ptak, moje zwierzę domowe.

Tor zastygł w bezruchu. Justine wyciągnęła rękę, ptak usiadł na niej, po czym odbił się i okrążył pokój, by w końcu przycupnąć na samej górze regału.

Tor Assarsson stał z rękami założonymi na głowę.

– Kurde, jak można trzymać coś takiego w domu?

Milczała.

– Mogę spróbować usiąść czy będą jeszcze inne niespodzianki?

Justine zaczęła żałować, że wpuściła go do domu. Był porytowany, rozdrażniony, zapewne w stanie szoku.

Usiadła na samym brzegu krzesła.

– Właśnie tak siedziałyście?

– Chyba tak.

– Jesteśmy z Berit małżeństwem od wielu lat. Dopiero gdy zniknęła, uświadomiłem sobie wyraźnie, jak dalece stała się częścią mnie samego. Rozumiesz? A teraz może jest już za późno.

– Czekałeś na listonosza? – zapytała.

– Tak, ale nic nie dostałem. Poza tym znalazłem to.

Włożył rękę do kieszeni i wyjął paszport. Rzucił nim mocno o stół.

– Nie mogła więc nigdzie pojechać. W każdym razie nie wyjechała z kraju.

– A jak to jest z krajami członkowskimi Unii... Trzeba mieć paszport, żeby do nich wjechać?

– Chyba tak.

– No tak... Obawiam się, że nie mogę ci pomóc.

– Mogę o coś zapytać? Kolegowałyście się w szkole? Byłyście najlepszymi przyjaciółkami?

– Nie bardzo.

– Zorientowałem się, że nie, tak wynikało z tego, co mówiła Berit.

Szykanowano cię, prawda? Chociaż dawniej to się tak nie nazywało, kiedyś mówiono na to „sekowanie”. Byłaś szykanowana?

– Bywało ciężko, ale nie zamierzam roztrząsać tego w nieskończoność, to działo się tak dawno temu.

– Sugerowała, że zamierza z tobą o tym porozmawiać. Dręczyło ją to, miała wyrzuty sumienia.

– Tak?

– Nie powiedziała ci o tym?

Myśli kłębiły się w jej głowie; czy ważne jest, by odpowiedziała teraz we właściwy sposób, czy to ważne?

– Wspomniała coś o tym, że może nie zawsze bywała miła.

– Naprawdę?

– Chyba tak.

– Co jej odpowiedziałas?

– Nie pamiętam... Pewnie, że ja też nie byłam wtedy aniołkiem.

Ramiona mu opadły, spojrzała na jego koszulę, kołnierzyk był pomięty, nie miał krawata.

– Chłopcy – wyjąkał. – Co ja powiem chłopcom?

– Rozumiem, że się niepokoisz – szepnęła. – Ale nie minęło jeszcze zbyt wiele czasu, trzeba uzbroić się w cierpliwość. Może akurat teraz do ciebie dzwoni, może właśnie wykręca numer...

– Przełączyłem domowy telefon na komórkę. Poklepał się po kieszeni marynarki. Jak ktoś dzwoni do domu, wiem od razu. Co mówiła, gdy wychodziła? Jakich dokładnie słów użyła?

– Ojej, właściwie nie pamiętam.

– Spojrzała szybko na zegarek i powiedziała: „Oj, naprawdę muszę już się zbierać”?

– Coś w tym rodzaju.

– Pojechałem na weekend na wieś. Gdyby nie to, zareagowałbym wcześniej. Dlaczego, dlaczego, do kurwy nędzy, tam pojechałem?

Pocierał palcami czoło.

– Wiesz co, ja już nic z tego nie pojmuję. Nic nie pojmuję.

– Nie... Wydaje ci się, że znasz drugiego człowieka, a okazuje się, że wcale tak nie jest.

– Tak, to prawda, masz rację.

Zadzwoił telefon Justine. Zerwała się z miejsca.

– Przepraszam!

Hans Peter, pomyślała. Kochany, cudowny Hans Peter.

Był to jednak inny Hans. Hans Nästman.

4

Zerwał się wiatr. Na dworze unosiły się tumany suchego śniegu, przypominające kłęby dymu. Twarz paliła ją ogniem.

– Witam ponownie, Justine. Pamiętasz mnie?

– Oczywiście, że pamiętam. Dlaczego dzwonicz... Czy wiadomo coś nowego o Nathanie?

– Nie.

– Ach tak?

– Nie ma też nic nowego na temat zabójcy tamtej młodej dziewczyny.

Justine wstrzymała oddech. Za jej plecami chodził tam i z powrotem po pokoju Tor Assarsson, w końcu otworzył sobie balkon i zapalił papierosa. Po podłodze powiało lodowatym chłodem.

– Chwileczkę! – powiedziała do słuchawki. – Zamknij! – syknęła w stronę Tora, pokazując na ptaka.

– Może przeszkadzam, może masz akurat gościa?

– Tak.

– W sobotę też chyba ktoś był u ciebie z wizytą.

- Owszem.
- Chciałbym porozmawiać z tobą właśnie o tym.
- O czym? Chyba mam prawo przyjmować gości we własnym domu?
- Jasne, że masz do tego prawo, to oczywiste.
- No to nie rozumiem...

Rozmowa została przerwana, domyśliła się, że dzwoni z komórki i że stracił zasięg. Żałowała, że tak zareagowała, odpowiedziała niepotrzebnie agresją. Odłożyła słuchawkę, pochyliła się szybko i wyciągnęła wtyczkę telefonu z gniazdka, po czym wyszła na balkon do Tora Assarssona.

– Trzeba uważać na drzwi i okna, ptak może wylecieć pod wpływem nagłego impulsu.

Z jego nozdry sączył się dym.

- Dobrze by było!
- W żadnym razie!
- Takiego ptaka nie powinno się trzymać w domu.
- Ale on sobie nie poradzi na wolności. Nie wie, jak bronić się przed dzikimi ptakami i innymi niebezpieczeństwami. Przebywał wśród ludzi od chwili, gdy wypadł z gniazda, więc traktuje ich jak swoich. Jest przyzwyczajony do życia w domu, do mnie.

Na podłodze stała popielniczka. Uświadomiła sobie, że zapomniała ją opróżnić. Podmuchy wiatru wzbijały popiół. Tor Assarsson zgasił papierosa wśród wielu pozostawionych przez Berit na wpół wypalonych petów.

– No tak – rzucił. – To właściwie nie moja sprawa.

Zbierał się do wyjścia. Najpierw powiedział, że zadzwoni po taksówkę, ale zaraz zmienił zdanie.

- Zrobię tak jak ona, pójdę na autobus. Wiesz, jak często odjeżdżają?
- Niestety nie. Nigdy nie jeżdżę autobusem.
- Jasne. Widziałem przed domem nowy, fajny wóz.
- Owszem, właśnie go kupiłam. Podrzuciłabym cię do metra, ale mam trochę roboty.

– Nie ma o czym mówić, chętnie się przejdę. Jak już mówiłem, próbuję się wczuć w to, co Berit robiła w sobotę.

Zeszła z nim na dół. Podała mu płaszcz i szalik. Wzięła jego lodowatą rękę pomiędzy swoje ciepłe dłonie.

– Tor – powiedziała, po raz pierwszy zwracając się do niego po imieniu. – Musimy z całej siły trzymać kciuki, żeby Berit się odnalazła. Żeby nic się jej nie stało i żeby wszystko wróciło do normy. Jeśli będziemy myśleć o niej w ten sposób, na pewno wróci cała i zdrowa!

Odchrząknął.

– Dziękuję – odparł.

Gdy tylko zniknął z pola widzenia, podłączyła z powrotem telefon. Zadzwoił natychmiast.

– Halo?! – zawołała, lecz usłyszała tylko szum.

– Hans Peter, czy to ty?

Dzwonił znowu policjant, mamrotał i kłął. Docierały do niej tylko urywki słów.

– Halo? Jasna cholera!... Jestem przy... zaraz... w Hässelby. Za jakieś... minut.

Wyszła na balkon i zabrała popielniczkę. Wyrzuciła zawartość do sedesu i musiała splukiwać cztery razy, zanim wszystkie pety zniknęły. Potem przywołała ptaka i wpuściła go na strych. Ogarnął ją dziwny spokój, nastawiła dzbanek kawy i postawiła na stole kubki.

Hans Nästman przyjechał sam. Zaparkował tuż za jej samochodem i szedł żwirową ścieżką. Otworzyła mu, nim zdążył zadzwonić.

Wyglądał zupełnie inaczej, mocno schudł.

– Dzień dobry, Justine. Jak widzisz, nie zapomniałem o tobie.

– Ja o tobie też nie.

– Cieszę się.

– Zrobiłam kawę.

Skinał głową z aprobatą.

Zaprosiła go do kuchni. Przypomniała sobie, jak dzień wcześniej siedzieli właśnie tutaj z Hansem Peterem; jak po uprzątnięciu stołu poczuła przyływ czysto fizycznego pożądania i jak akurat wtedy zadzwonił Tor.

– Zmieniłeś się – zwróciła się do policjanta.

– Widać to?

– Tak.

– Chorowałem.

– Musiałeś stracić sporo na wadze. Mam nadzieję, że to nic poważnego.

– Rak jelita grubego.

– Ojej!

– Guz został już wycięty. Mam nadzieję, że na zawsze.

– Obrzydliwa choroba, atakuje ze wszystkich stron.

– Tak. Sprawia też, że człowiek uczy się doceniać życie w zupełnie inny sposób.

Nalała kawę.

– Nie mam, niestety, nic słodkiego.

– Bardzo dobrze! Gdzie człowiek się ruszy, bez przerwy tylko te ciastka...

– Przyjechałeś z jakiegoś szczególnego powodu?

– Chodzi o Berit. O Berit Assarsson, twoją koleżankę ze szkoły.

Poczuła lodowaty ucisk w okolicy przepony.

– Ach tak, Berit.

– Nie bierz mi tego za złe, ale odnoszę wrażenie, że przynosisz ludziom pecha. W twojej obecności przytrafiają im się dziwne rzeczy – albo znikają, albo umierają.

– Uważasz, że to moja wina?!

– Wina jak wina, tego akurat nie powiedziałem. Ale posłuchaj: najpierw twój przyjaciel, Nathan Gendser. Zniknął w dżungli i nikt go od tamtej pory nie widział. Potem Martina Andersson, młoda, ładna, pełna życia dziennikarka, zdecydowanie zainteresowana tym Gendserem. Znalaziono ją zadźganą z zimną krwią nożem używanym w dżungli. W waszym wspólnym pokoju hotelowym.

– Zdecydowanie zainteresowana? – powtórzyła.

– Rozmawiałem oczywiście z innymi uczestnikami wyprawy. Chyba sama musiałaś to zauważyć.

– Owszem, kokietowała trochę facetów, ale to była bardziej taka poza, którą czasem przyjmują młode kobiety. Nawiasem mówiąc, Nathan też lubił poflirtować, przyznaję, że czasem sprawiało mi to przykrość. To oczywiste, że pochlebiało mu zainteresowanie Martiny. Przecież w porównaniu z nią był starym dziadem!

– No i teraz ta Berit. Jej mąż zgłosił zaginięcie. A ja w tym kontekście znowu trafiam na twoje nazwisko. Zanim zniknęła, odwiedziła właśnie ciebie.

– Podejrzewasz mnie, zamierzasz mnie wsadzić do więzienia?

Spojrzał na nią sponad oprawek okularów.

– Chciałbym tylko porozmawiać.

– Czy to jest przesłuchanie?

– Nie unos się tak! Chcę jedynie zapytać o kilka rzeczy.

Przycisnęła rękę do twarzy, serce waliło jej jak oszalałe, bała się, że i on to usłyszy.

– Okej – powiedziała cicho. – Ta historia z Nathanem... Ja jeszcze tego nie przebolełam, za każdym razem, kiedy pada jego nazwisko... Mieliliśmy się pobrać, byłabym teraz jego żoną. Dręczy mnie to, widzę, jak leży tam w dżungli, ranny, może... martwy... dzikie zwierzęta...

Hans Nästman popijał kawę, spokojnie czekał, aż skończy. Odchylił się na oparcie i gdy odjęła dłonie od twarzy, uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

Musiła opowiadać o sobotnim wieczorze, chciał znać każdy szczegół, kazał jej pokazywać, jak siedziały, dopytywał się, o czym rozmawiały, co jadły, co piły. Zapytał też o jej stopę.

– Upadłam podczas biegania, było ślisko. Chyba jest zwichnięta.

– Mąż Berit mówi, że jego żonę najwyraźniej męczyły ostatnio wyrzuty sumienia. Że może dopadły ją przeżycia z dzieciństwa. Była klasowym przewodnikiem i szykanowała wiele dzieci. Między innymi Ciebie. Ponoć dręczyło ją to ostatnio.

– Owszem... mówiła coś na ten temat.

– A jak ty to wspominasz?

– Tłumaczyłam jej, że tak przecież zachowuje się większość dzieci. Ja sama nie byłam święta, też umiałam zależeć innym za skórę. To normalne, prawda? Zastanów się, ilu chłopakom obiteś głowę, jak dorastałeś?

– W każdym razie odszukała cię, by o tym porozmawiać.

– Skąd, nie tylko dlatego. Chodziłyśmy razem do szkoły, a ona najwyraźniej rozgrzebuje teraz swoją przeszłość, próbuje, że tak powiem, dojść z tym wszystkim do ładu.

– Hm. To dlaczego zniknęła? Jak myślisz?

– No... nie wiem. Ale dziś jest dopiero poniedziałek. Berit na pewno się znajdzie!

– Jej mąż twierdzi, że takie sytuacje do tej pory się nie zdarzały.

– Tak samo było z Norą Helmer z *Domu lalki* – dopóki któregoś wieczoru nie opuściła domu, męża i dzieci.

– Nie czytałem *Domu lalki*.

– Ibsen.

– Wiem.

– Mówię ci dokładnie to samo co jej mężowi, który był tu wcześniej: Berit jest ewidentnie w depresji. Wydaje jej się, że jej życie to ciąg samych niepowodzeń: małżeństwo, synowie, z którymi w zasadzie straciła kontakt, no i jeszcze ta praca. Jej szef zamierza przenieść całe wydawnictwo do Norrlandii. Wyobrażasz sobie... Nie jest już taka młoda,

jesteśmy w tym samym wieku. Może nie zdajesz sobie sprawy z tego, jaką wartość ma kobieta w tym wieku? Na rynku pracy... i właściwie na każdym innym.

Ze strychu dobiegł jakiś hałas. Wrzask i kilka stuknięć, jakby coś spadło. Policjant wstał.

– Co to było?

Westchnęła.

– Mam w domu ptaka, jest tam, na strychu. Zwykle lata bez ograniczeń po domu, ale mam już, cholera, powyżej uszu ciągłego wyjaśniania wszystkim, dlaczego go tu trzymam, więc zamknęłam go przed twoim przyjściem na strychu.

Weszła po schodach i otworzyła drzwi.

– Halo – wabiła. – Możesz wracać.

Nie słyszała go. Wkroczyła w ciemność i od razu zobaczyła, że z szafy pospadały oprawione czasopisma „Arbetsledaren” należące jeszcze do ojca. Ptak siedział pomiędzy nimi i szarpał okładkami, posyłając jej gniewne spojrzenia.

– Zostaw je! – skarciła go. – Tata by się wściekł!

– Co się dzieje? – zapytał Hans Nästman. Stał teraz za nią, trzymając się poręczy. A gdyby tak machnęła nogą do tyłu i kopnęła? Schody były strome, z zaskoczenia mógłby puścić poręcz, spaść i rozbić sobie głowę o próg. Jest poważnie osłabiony chorobą, nie byłby w stanie stawić oporu.

Nie zdobyła się na to.

Ptak trzepotał skrzydłami ponad ich głowami.

– Jest wściekły – oznajmiła. – Nie lubi siedzieć w zamknięciu.

– Pewnie – odparł Hans Nästman. – Nikt tego nie lubi. A mimo to ludzie popełniają przestępstwa.

Została sama dopiero przed piątą. Podeszła natychmiast do telefonu i wybrała numer Hansa Petera. Nadal nie odbierał. Pojechał już

do pracy? Jak się nazywa ten hotel, chyba coś z różami? Przyniosła panoramę firm i poszukała hoteli i pensjonatów. Znalazła go od razu, Tre Rosor na Drottninggatan. Zapisała numer telefonu w notatniku.

Wyszła i uruchomiła samochód. Nie mógł jeszcze pójść do hotelu, zaczyna pracę później. Pojechała na Fyrspannsgatan i zaparkowała obok cementarza. Dzień był ponury, wiatr szarpał jej włosami i ubraniem, przeszywał do szpiku kości.

Najpierw weszła do innego domu, bo nie pamiętała numeru. Po chwili błędzenia stanęła przed bramą Hansa Petera. Uderzyła ją myśl, że nigdy jeszcze nie była w żadnym domu czynszowym. Stała dłuższą chwilę przy wejściu, czytając tablicę z nazwiskami ludzi mieszkających w tej klatce schodowej. Gdzieś z głębi domu dobiegł ją dźwięk przytłumionych, rytmicznych kroków, potem odgłos lejącej się wody. Słaby, niemal niewyczuwalny zapach kamienia i marmuru. Zobaczyła jego nazwisko i inicjały imienia, które było zbyt długie, by mogło zmieścić się w jednej linijce: H. P. Bergman, drugie piętro.

Nie było windy. Powoli weszła po schodach, jego drzwi były zaraz na prawo, jeszcze raz zobaczyła jego nazwisko.

Nie, nie było go w domu. Naciskała dzwonek wiele razy. Gdy nie otworzył, próbowała zajrzeć do środka przez szparę na listy. Jego zapach, zapach Hansa Petera i należących do niego rzeczy. Zawołała go kilka razy, ale w końcu dotarło do niej, że w mieszkaniu nikogo nie ma.

Powinna usiąść i poczekać? A może pojechał już do miasta? Tak, na pewno. To nie ma sensu. Miała ze sobą notatnik, wyrwała kartkę i napisała: *Hans Peter, tęsknię za tobą, strasznie tęsknię. Wybacz, jeśli cię zraniłam. Justine.*

Złożyła kartkę na pół i wrzuciła ją przez otwór. Opadła prosto na wycieraczkę. Widziała, jak tam leży, mignął jej też skrawek zimowej kurtki na wieszaku.

Ni stąd, ni zowąd zaczęła płakać.

5

P tak siedział w kuchni, zapomniała go nakarmić. Czy w lodówce w ogóle jest jakieś jedzenie? Mrożone mielone mięso? Nawet tego nie ma. A jest już za dwadzieścia szósta.

– Zaraz wracam – powiedziała. – Wychodzę tylko na zakupy.

Pojechała do centrum handlowego. Jak na poniedziałkowy wieczór było zadziwiająco dużo samochodów, ale znalazła miejsce tuż przy stanowisku z wózkami.

W oknie banku po prawej stronie znajdowały się zdjęcia nieruchomości na sprzedaż. Ten cholerny pośrednik chciałby umieścić tutaj jej dom, zdenerwowała się na samą myśl o tym.

Nie była tu od jakiegoś czasu. Przebudowywano bibliotekę, przeniesiono ją tymczasowo do innego lokalu. Justine przystanęła przy sklepie zoologicznym. W dużej klatce na wystawie siedziała samotna świnka morska. Dawno temu sklep był pełen zwierząt, jego właścicielką była kobieta, która traktowała je jak przyjaciół. Te zwierzęta były jej życiem. W końcu dostała alergii i musiała sprzedać sklep.

Pod wpływem impulsu Justine weszła do środka. Przy ladzie stał jakiś mężczyzna, metkował puszki z pokarmem dla rybek.

– Czym mogę służyć? – zapytał.

– Chodzi o tę świnkę morską.

Popatrzyła w stronę klatki. Świnka oparła się przednimi łapkami o kratę, wachając powietrze.

– Zwierzak wygląda tak samotnie – zauważyła.

– To samiczka.

– No dobrze, *ona* wygląda na samotną.

– Zgadza się. Sprzedaliśmy wszystkie małe gryzonie i ptaki, została tylko ta świnka. Wkrótce przestawiamy się na gady. Węże, jaszczurki i tym podobne. Jest duże zainteresowanie tego rodzaju zwierzętami.

– Naprawdę?

– Chce pani wziąć tę świnkę morską?

– W dzieciństwie chciałam mieć zwierzątko. Pewna dziewczynka z mojej klasy miała świnki morskie. Nie były takie gładkie jak ta, tylko czarne i kudłate. Pamiętam, że miały małe, które dreptały w rzędku za matką.

– Takie małe świnki to przyjemne i spokojne zwierzęta. Nie mają zbyt dużych wymagań.

– Właśnie.

Mężczyzna otworzył drzwi lodówki i zaszeleścił plastikowym woreczkiem. Zwierzątko poderwało się i zaczęło głośno i rozdzierająco popiskiwać.

– Myśli, że dostanie sałatę. – Ekspedient się zaśmiał.

– A dostanie?

– Oczywiście.

Podetknął śwince listek sałaty, a ta wspięła się na łapkach i capnęła go zębami.

– Trudno będzie się jej pozbyć – stwierdził mężczyzna.

– Przywiązał się pan do niej?

– Nie o to chodzi. Nikt się nią nie interesuje. W najgorszym razie dam ją na pożarcie węzom.

– Nie może pan tego zrobić!

– Jeść albo zostać zjedzonym, takie jest prawo dżungli.

– Ile ona kosztuje?

– Może ją pani dostać za darmo.

– Da mi pan ją?

– Czemu nie? Mam wrażenie, że lubi pani zwierzęta.

– Owszem... W takim razie bardzo dziękuję. Skoczę jeszcze tylko do spożywczego.

Na stoisku mięsnym kupiła wątróbkę i mielone z udźca wołowego. Wzięła duże opakowanie jajek ściółkowych, kilka cebul i dwa pęczki

białych tulipanów. W dziale warzywnym dorzuciła sałatę i całą górę innych warzyw – ogórki, marchew, pomidory.

Kasjerka zażartowała:

– Gdyby nie to mięso, można by pomyśleć, że zamierza pani zostać weganką. – Roześmiała się. – Czytałam o takich ortodoksyjnych weganach, którzy wypuszczają na wolność kielbasę.

– Ja w każdym razie zawsze stałam po stronie kielbas – odwzajemniła się żartem Justine.

– A jak się czuje pani matka?

– No cóż, jest, jak jest, właściwie bez zmian.

– Każdy musi zmierzyć się ze swoim losem. Zawsze była taka ładna, dobrze ubrana, bardzo ją podziwiałam. Pamiętam jak dziś, przychodziła tu w swoich doskonale skrojonych sukniach i kostiumach. Człowiek wtedy myślał: taka bogata, wytworna kobieta, a robi zakupy w zwykłym sklepie.

– No tak...

– Miała w sobie jakąś pokorę. Nigdy się nie wywyższała, nie patrzyła na nikogo z góry. Tak, porządna kobieta z tej Flory Dalvik.

Justine zapakowała swoje towary.

– Pewnie ją pani odwiedza. Mogłaby ją pani pozdrowić od Britt-Marie? Jeśli jest w takim stanie, że...

– Jest, jest. Przekażę jej pani pozdrowienia.

Ptak przyleciał od razu, gdy tylko zamknęła za sobą drzwi. Usiadł zaciekawiony na klatce, przekrzywił głowę i przyglądał się śwince.

– To nowy członek naszej rodziny – wyjaśniła Justine. – Mało brakowało, a rzucono by ją na pożarcie wężom, uratowałam ją w ostatniej chwili. Jeśli będziesz dla niej miły, zostanie może twoją kumpelą do zabaw.

Ptak iskał się dziobem pod skrzydłem, na pozór nie interesując się świnką. Na jej grzbiet spadło miękkie, puchate piórko.

Justine włożyła wątróbkę i jajka do miski ptaka, który natychmiast znalazł się przy niej.

Wzięła ostrożnie na ręce świnkę, czuła drobne łapki koniuszkami swoich palców.

– Przypominasz trochę szczura – wyszeptała. – Gdybyś miała ogon, trudno byłoby was odróżnić. Chyba nazwę cię Rattie. Tak, takie imię pasuje do ciebie. Rattie.

Puściła zwierzątko na podłogę, a ono pobiegło prosto w stronę szafy i próbowało się pod nią schować. Ptak poleciał za świnką. Miał oblepiony, zakrwawiony dziób.

– Masz być miły dla Rattie! – upomniała go. – Pamiętaj, macie się zaprzyjaźnić!

Ptak zabulgotał, podskoczył kilka razy i skubnął delikatnie dziobem krągłą pupę świnki. Rattie zrobiła obrót i podniosła się na łapkach.

– Nie będzie tak źle – powiedziała Justine. – Przywykniecie do siebie.

O ósmej zadzwoniła do hotelu. Odebrał jakiś mężczyzna. Zapytała o Hansa Petera.

– Nie ma go.

– Nie pracuje u państwa?

– Pracuje, ale nie dziś.

– Dlaczego nie? Mówił mi, że idzie do pracy.

– Mogę mu coś przekazać?

Odłożyła słuchawkę.

W nocy budziła się kilka razy. Męczył ją ten sam sen powracający szybkimi sekwencjami. Hans Nästman z wychudłą, pozbawioną życia twarzą. Stał przy jej łóżku, zastygły w bezruchu. Gdy próbowała się podnieść, zauważyła, że jest przywiązana do łóżka rattanową liną. Nästman wyszczerzył w uśmiechu wszystkie zęby.

– To już koniec, Justine Dalvik, teraz pójdziesz ze mną, tylko grzecznie i spokojnie.

– Nic mi nie udowodnisz! – krzyknęła. – Wynoś się, zostaw mnie w spokoju!

Zrobił krok w jej stronę, jego ręka była pozbawiona skóry i paznokci.

– Moja droga, nie muszę ci nic udowadniać. Hans Peter też zniknął, a to wystarczy, by cię zapuszkować.

Obudził ją własny krzyk. W pokoju coś szumiało i trzepotało. Zapaliła lampę i zobaczyła krążącego w panice ptaka. Światło go uspokoiło, usiadł na gałęzi, lecz nadal był przykurczony i przerażony.

Musi wstać. Musi zadzwonić. Do domu Hansa Petera.

Zegar pokazywał za kwadrans trzecią, nikt nie odebrał.

Dzień był spokojny, bez słońca; suche płatki śniegu unoszące się w powietrzu. Wzięła świnkę do samochodu. Owinęła ją w kocyk, zwierzątko natychmiast zwinęło się w kłębek i zasnęło.

Weszła na oddział, kierując się do dyżurki. Siedząca tam pielęgniarka wertowała segregator.

– Dzień dobry. Nazywam się Justine Dalvik, chciałabym odwiedzić moją matkę.

– Pani matkę?

– Floreę Dalvik.

– Ach, Floreę. Dzień dobry. Ucieszy się; wszystko, co przerywa monotonię, ma dobry wpływ na naszych pacjentów.

– Jak ona się czuje?

– Całkiem niezłe. Wczoraj spędziła cały dzień poza łóżkiem.

Pielęgniarka zamknęła segregator. Miała na imię Gunlis, Justine jej nie znała.

– Pracuję tu od niedawna, chyba spotykamy się pierwszy raz. Pójdę z panią. A co pani ma w tym zawiniątku?

– Świnę morską, którą właśnie dostałam. Chciałam pokazać ją mamie, mam nadzieję, że nie mają państwo nic przeciwko temu.

– Ależ skąd, wręcz przeciwnie. Opieka nad chorymi powinna być bardziej ludzka, że tak powiem, mniej... kliniczna. Zawsze propagowałam takie podejście, trudno jednak przeforsować coś, co nie jest rutynowym działaniem. Proszę sobie na przykład wyobrazić kota przechadzającego się wśród naszych pensjonariuszy, ocierającego się miękko o ich nogi, wskakującego im na kolana, leżącego i mruczącego u kogoś w łóżku. Gdyby wszystko nie było tak sterylne, poprawiłaby się jakość życia wielu pacjentów. – Pielęgniarka zniżyła głos: – Ale czegoś takiego lepiej nie mówić, jeśli nie chce się ryzykować utraty pracy.

– Naprawdę?

– Takie pomysły przecież nie przejdą. Bo jakby to wyglądało? Gdyby personel miał coś do powiedzenia? Mogę zerknąć? O, jaki śliczny pyszczek nam tu wystaje... Mam nadzieję, że świnka nie gryzie?

– Ależ skąd.

Flora siedziała na wózku. Podniosła głowę; rozbiegany wzrok.

Gunlis podeszła do niej i wytarła jej podbródek.

– Flora, zobacz, kto przyszedł w odwiedzinę. I to jeszcze... z małą wnusią. Można chyba tak powiedzieć, prawda? – Roześmiała się.

Justine pochyliła się nad wózkiem

– Cześć mamusiu!

Pogładziła ją po policzku, pogłaskała suche, zimne dłonie. Umieściła zawiniątko ze świnką na kolanach Flory, odchyliła ostrożnie kocyk. Z krtani staruszki wydostał się ochryply, zdyszany odgłos.

Gdzieś na oddziale zadzwonił telefon.

– Muszę odebrać! – krzyknęła Gunlis. – Szkoda, bo tak chciałam zobaczyć...

Świnka się wypróżniła. Kocyk był pełen podłużnych, twardych perełek. Justine wyrzuciła je do kosza. Potem pozwoliła zwierzątku chodzić

po kolanach Flory. Zauważyła, że na górnej wardze staruszki pojawiły się kropelki potu. Dyszący oddech jeszcze przyspieszył, zrobił się bardziej charczący.

– Prawda, że jest słodka? Nazywa się Rattie. Nie, to nie jest szczur, to zwykła świnka morska. Pamiętasz, że zawsze chciałam mieć jakieś zwierzątko? Pamiętasz, co?

Flora zamknęła oczy. Jej skóra przybrała szaroblady odcień. Justine podniosła świnkę i ponownie zawinęła ją w kocyk. Pielęgniarka wróciła.

– Ucieszyła się?

– Tak mi się wydaje... Niełatwo to dostrzec.

– Wygląda na przejętą... Jasne, że się ucieszyła. Jaki uroczy pomysł. I co za troska. Mogę ją pogłaskać? Gdy nasz syn był mały, myślał, że one nazywają się „świnki dworskie”.

Śmiała się długo i głośno.

Na drugim łóżku nie było pościeli. Z szafki zniknęły wszystkie rzeczy osobiste.

– Czy moja mama nie miała współlokatorki? – zapytała Justine.

Pielęgniarka odciągnęła ją na chwilę na bok.

– Tak, ale niestety... nie ma jej już wśród nas.

– Przykro mi.

– Takie jest życie, wcześniej czy później się kończy.

Justine zrobiła gest w stronę kobiety na wózku. Flora otworzyła oczy, widać było w nich silny przestrah.

– To przykre dla mojej mamy, wydawało mi się, że się lubiły. Chyba się nie mylę?

– Tak, to bardzo smutne. Dziś po południu spodziewamy się nowej pacjentki. U nas łóżka prawie nigdy nie stoją puste.

– Do zobaczenia, mamó! – zawołała Justine. – Wrócę tu niedługo, chciałabym zabrać cię na trochę do domu. Może nawet już jutro, co ty na to?

Usta staruszki drgały; rżenie i charkot z gardła.

– Chciałaby coś powiedzieć – zauważyła pielęgniarka.

– Miała tak piękny głos. – Justine westchnęła. – Jaki pech, że nie może go już używać.

– Są tacy, którym przytrafiły się gorsze rzeczy – odparła pielęgniarka.

– O tak, to prawda. Zawsze są tacy, którym jest gorzej.

Pojechała na Fyrspanngatan. Musiał już wrócić do domu, musiał przeczytać jej kartkę. Zadzwoiła, nadal nikt nie otwierał. Gdy podniosła klapkę zakrywającą szparę na listy, zobaczyła na podłodze gazetę i kilka kopert. Nie mogła dostrzec, czy jej kartka nadal tam leży.

Wróciła do domu, ale nie bardzo wiedziała, co ze sobą zrobić. Pochodziła trochę po pokojach, w końcu trafiła do sypialni ojca i Flory. Ogarnęła ją dzika wściekłość, szarpnęła gwałtownie drzwi garderoby i wyrzuciła na podłogę wszystko, co należało do macochy – jej kostiumy, sukienki, buty. W ubraniach tkwiły wspomnienia. Wyłoniła się z nich Flora, jej postać rosła coraz bardziej, aż zmaterializowała się w całości. Blade, zacięte usta. „Rozbieraj się, gówniario, zamierzam przetrzepać ci skórę”.

Justine podniosła z podłogi sukienkę, która wisała tak długo, że materiał pofałdował się i zetlał. Chwyliła za lamówkę i jednym pociągnięciem rozerwała ją aż do pasa. Darła dalej, od dołu do góry, aż sukienka zamieniła się w strzępy. Jednak ręka Flory ją dosięgła, czuła, jak bije ją po głowie, tak mocno, że aż zadzwieczało.

– Nigdy nie byłaś normalna, rozbieraj się, wbiję ci do głowy trochę rozumu, wsadzę cię do kotła... ty rozpuszczona małpo, posiedzisz tam, dopóki nie skruszejesz, dopóki nie zaczniesz mnie słuchać.

Flora nadal była w tym domu, kryła się w jego wspomnieniach, nigdy nie zostawi jej w spokoju. W spojrzeniu Flory była jakaś siła, siła

przezwyćzającą strach; Justine dostrzegała to, gdy ją odwiedzała: coś w rodzaju triumfującego szyderstwa.

Zaczęła cała dygotać, poczuła rosnącą, szorstką kulę w gardle. Musiała wyjść i napić się wody.

Potem przyniosła kilka plastikowych worków. Wrzuciła do nich wszystko – buty, biżuterię, ubrania. Wszystko, co przypominało Floreę.

Jej wzrok padł na garnitury ojca. Weszła do garderoby i wtulała w nie twarz. Płakała, głośno zawodząc, a potem pozrywała ubrania ojca z wieszaków i też powrzucała je do worków.

Następnego dnia przed południem pojechała znowu do ośrodka opieki. W nocy spała ciężko, chociaż bez snów; wypila sporo wina, zanim wreszcie udało jej się zasnąć. Czuła się jak w gorączce, skronie bolały, jakby miała na czole zbyt ciasną opaskę.

Korytarzem nadchodziła Gunlis. Miała zaczerwienione oczy.

– O, dzień dobry – przywitała się i ziewnęła. – Przepraszam!

– Nic nie szkodzi, też jestem trochę zmęczona. Chciałam zabrać dziś mamę na trochę do domu. Czy to możliwe?

Gunlis objęła ją ramieniem.

– Niemądre pytanie! Gdyby nasi pacjenci mieli bardziej troskliwych krewnych, świat wyglądałby inaczej. Proszę poczekać, dopilnuję wszystkiego.

Justine opadła na ławkę. Podłoga błyszczała niczym tafla lustra, korytarz wydawał się nieskończenie długi. Kawalek dalej szedł jakiś ciemnoskóry mężczyzna, popychając przed sobą wózek do sprzątania. Na oddziale woń kawy mieszała się ze smrodem ekskrementów.

Z jednej z sal wyszedł zgarbiony, pomarszczony mężczyzna. Doczłapał do niej, opierając się na chodziku. Stał tuż przed nią.

– Siostró... czy siostra tutaj pracuje?

– Nie – odparła, czerwieniąc się.

– To powinna siostra cieszyć się jak cholera, bo to nie jest przyjemne miejsce.

Gunlis wróciła.

– Martin, jakiś problem?

– Chcę jechać do domu, chcę tylko jechać do domu. Nie rozumiem, dlaczego mnie tu zamykacie.

Gunlis pokręciła głową.

– Ależ drogi Martinie, wcale cię nie zamykamy.

Mężczyzna splunął, na butach pielęgniarki wylądowała brązowa, lepka ślina.

Łzy napłynęły jej do oczu.

– Ależ Martin!

Patrzył na nią z wrogością.

– Nie dotykaj mnie, możesz być zarażona, materiał radioaktywny rozprzestrzenia się z prędkością wiatru, roznosi się i opada na nas wszystkich...

Twarz Gunlis wykrzywił grymas. Poszła do toalety, Justine słyszała, jak spuszcza wodę i płucze ręce. Z sali Flory wyszła dziewczyna z końskim ogonem.

– Czy to pani przyszła po Florę?

– Tak.

– Ubrałam ją i posadziłam na wózku.

– Świetnie.

– Czy może ją pani zabrać na dół sama?

– Oczywiście, robiłam to już wcześniej.

Flora siedziała owinięta w koc. Na głowę miała naciągniętą grubą, robioną na drutach czapkę. Wpatrywała się w Justine, nie spuszczała z niej wzroku. Gdy Justine zaczęła pchać wózek, Gunlis wyszła z toalety.

– Przepraszam – usprawiedliwiła się. – Wytrąciło mnie to z równowagi. Jestem po prostu trochę zmęczona.

- To nie miłego, jak ktoś na człowieka pluje.
- On nie jest niczemu winien. Myśli, że jest tu więźniem. Dobrze by było, gdyby do niego też ktoś przychodził i organizował mu jakąś rozrywkę. Prawda, Flora?
- Pochyliła się i poprawiła staruszce czapkę.
- Bawcie się dobrze!

6

Mówiła do Flory, mówiła do niej nieprzerwanie. Przypięła ją pasem bezpieczeństwa. Wjeżdżała teraz na rondo Vällingby.

– Poznajesz wszystko, Flora, dawno tu nie byłaś, jak sądzisz, dużo się zmieniło, tam dalej, koło tych domków pomiędzy Åkeshov a Ängby budują ekrany akustyczne, żeby ludziom nie przeszkadzał hałas, ale my o takich rzeczach nie musimy myśleć, nam i tak nic nie przeszkadza, zawsze byliśmy sami, u nas zawsze było spokojnie i przytulnie, prawda, droga Floro, a znasz tego Martina, co chodzi z balkonikiem, wyobraź sobie – myśleć, że jest się uwięzionym, wciąż marzyć o wyjściu, gdyby to tylko zależało ode mnie, załatwiłabym specjalną furgonetkę dla niepełnosprawnych, objeżdżałabym szpitale i zabierała na wycieczki tych wszystkich samotnych staruszków, którzy chcieliby jeszcze trochę použíwać życia, czyż to nie jest dobry pomysł, zawsze mi mówiłaś, że człowiek musi mieć w życiu do spełnienia jakiś obowiązek, pomyślałam, że zabiorę cię do domu, dawno tu nie byłaś, droga Floro, nie byłaś w domu, odkąd zachorowałaś, prawda, że będzie miło odwiedzić stare kąty, oczywiście, zamierzałaś sprzedać dom, lecz nie zrobimy tego, dom zostanie, będę w nim mieszkać, to jest mój dom, ale teraz możesz przecież mnie odwiedzać, możesz zostać moim gościem, Floro, jaką masz hojną pasierbicę, słyszałaś, co mówiła siostra Gunlis, tak powinno być ze wszystkimi pa-

cjentami, tak, kochana Floro, widzisz tam pałac Hässelby, jakby oblodzony, wygląda tak pięknie, tu chyba niewiele się zmieniło, nie, wszystko wygląda jak dawniej, to samo z Hässelby Gård, ile pokazuje termometr, plus czterdzieści stopni, czy oni pogłupieli, czy ten termometr pokazywał kiedykolwiek właściwą temperaturę, umieją latać na Księżyc, a termometru nie potrafią ustawić, chociaż to oczywiście nie ci sami, co latają na Księżyc, tylko zupełnie inni ludzie, myślisz, że za dużo mówię, tak, pewnie tak, ale muszę mówić za nas obie, ty przecież nie możesz nic powiedzieć, więc mówię także za ciebie, widzisz cmentarz, gdzie leżą mama i tata, widzisz, jaki zadbane, wczoraj był tam pogrzeb, po ceremonii kładą kwiaty, wieńce i bukiety, rany, przecież to straszne marnotrawstwo, ciekawe, jak to będzie z tobą, życzyłybyś sobie jakiś specjalny gatunek, zastanawiałam się nad pochówkiem w grobowcu, może jednak lepiej rozsypać prochy w gaju pamięci, tam też może być ładnie, ten lasek na lewo był olbrzymi, gdy byłam dzieckiem, punkt widzenia się jednak zmienia, czasem się tam bawiłam, znalazłam tam kiedyś psa, choć chyba był już martwy, pamiętam ten specyficzny zapach, choć wtedy nie wiedziałam, jak pachnie śmierć, oj, trzymaj się, bo skręcamy w Strandvägen, kąpieliska już nie ma, tego pięknego kąpieliska, i zjeżdżalni, która tu była przez jakiś czas, też nie ma, nie ma tych rzeczy, ale ty przecież już o tym wiesz, widzisz lód, wygląda na gruby, jakby jeszcze trzymał, myślę jednak, że trzeba uważać, pewnie po kilkuset metrach jest już otwarta woda, a popatrz w prawo, zburzyli jeden z domków letniskowych, wiesz, ten zniszczony i zapuszczony, zbudują kolejną willę, wszystko, co stare, przepada, no to jesteśmy prawie na miejscu, cieszysz się, Floro?

Podjechała po dom i zaparkowała. Staruszka siedziała wyprostowana i sztywna, a gdy Justine odpięła pas, poleciała w bok. Justine musiała ją złapać i położyć na obu siedzeniach. Otworzyła dom, wzięła drobne ciało na ręce i wniosła po schodach.

– Przepraszam, że się tak grzebię, trochę mnie jeszcze boli stopa, pamiętasz, jak ją złamałam, pamiętasz, od tamtej pory mam z nią kło-

poty, nie, nie skarżę się, mogę chodzić i biegać, ale łatwo się wykręca, często przytrafiają mi się urazy... nie, naprawdę nie narzekam, w odróżnieniu od ciebie potrafię, jak tylko chcę, zbliżyć się albo oddalać, no i jak, Floro, jak się teraz czujesz, posadzę cię na twój ukochany fotel, gdzie dawno temu przesiadywałaś z tatą, możesz sobie popatrzeć na mgłę, możesz sobie wyobrazić, że jest lato, że siedzisz na balkonie, że słońce praży, że tata jest na łodzi, zdejmę tylko kurtkę i zamknę samochód, jak zadzwoni telefon, nie odbieraj, o Boże, jaka ja jestem głupia, co za bezmyślność, przepraszam.

Robiła wszystko bez pośpiechu. Zaparzyła kawę, nakryła tacę. Ptak został w jej pokoju, drzwi były zamknięte. Dobiegało stamtąd jego kranie, słyszał jej głos i chciał się wydostać.

Flora siedziała tak, jak ją zostawiła, z głową zwróconą w stronę okna.

– Napijesz się kawy, pomogę ci, przytrzymam ci kubek, o tak, otwórz buzię i upij, jest za ciepła, chyba nie, siedzisz tu sobie i wspominasz dawne czasy, jak sobie obie radziłyśmy... a co to takiego, chodzi ci o ten odgłos, to tylko jeden z moich przyjaciół, jak wiesz, mam u siebie zwierzęta, wczoraj pokazałam ci Rattie, nazywam ją tak, chociaż właściwie nie jest szcurem; dziś w nocy leżała trochę u mnie w łóżku, ale bałam się, że ją przygniotę, więc wsadziłam ją z powrotem do klatki; jest ciepła i mięciutka, mam też ptaka, niedługo ci go pokażę, ale na razie napij się kawy, on tak przeszkadza przy posiłkach...

Ostry sygnał – telefon.

– Czy to ty? – zapytała z zapartym tchem.

– Na takie pytanie można tylko odpowiedzieć „tak” – odparł jakiś pełen werwy głos. – Mówi Jakob Hellstrand, pośrednik.

– Nie mam czasu i nadal nie jestem zainteresowana.

– Są reflektanci gotowi zapłacić kupę kasy. Jeśli pani nie skorzysta z okazji, będzie to czysta głupota.

– Nie rozumie pan, że nie znaczy nie! – wrzasnęła i rzuciła słuchawką.

Podeszła do Flory, której spływały po brodzie strużki śliny. Roziskrzona źrenice płonęły.

Justine przybliżyła swoją twarz do jej twarzy.

– „Wszystko więc, co byście chcieli, żeby wam ludzie czynili, i wy im czyńcie!”*. Słyszałaś kiedyś to zdanie, Flora? Wypowiedział je Jezus, to dobra zasada, nadal obowiązuje.

Podniosła staruszkę, niosła ją w objęciach jak dziecko.

– No to teraz zrobimy sobie inspekcję, na pewno wszystko cię ciekawi, tu jest kuchnia, nic się nie zmieniło, tu mamy błękitny salon, wszystko jest tak, jak zostawiłaś, jak widzisz pielęgnowałam pamięć o tobie, a tutaj mamy piwnicę, tak, tak... tam też zejdziemy, pamiętasz, Floro, co tam było, pamiętasz, co kryje się za tymi drzwiami, pamiętasz?

Flora zaczęła wydawać z siebie nieartykułowane dźwięki. Rzucała głową, piskliwy jęk przerodził się w głuche, zawodzące wycie. Weszły już do pomieszczenia z kotłem. Justine wspięła się ostrożnie na betonowy podest, podniosła Florę i opuściła ją ostrożnie do kotła. Potem poszła na górę po ptaka.

Zanim doczekała się telefonu, zdążyła załatwić formalności w zakładzie pogrzebowym. Odbyła rzeczową, miłą rozmowę, zamówiła trumnę i kilka pięknych pieśni, które podobałyby się staruszce. Miała to być skromna ceremonia – skromna, lecz godna. Właściciel zakładu obiecał, że zaśpiewa, znał też kogoś, kto grał na flecie.

– A jak zrobimy z klepsydrą? – zapytał, kiedy zbierała się do wyjścia.

Posłała mu lekki, smutny uśmiech.

– Nie ma potrzeby. Napiszę do wszystkich zainteresowanych, dzięki temu będzie bardziej osobiście.

* Ewangelia według św. Mateusza 7,12.

Telefon zadzwonił, gdy już straciła wszelką nadzieję.

– Dostałem twoją karteczkę – oznajmił, a radość wlewała się w nią niczym miód. Milczała jednak. – Justine, jesteś tam?

Wtedy wszystko w niej pękło, musiała odsunąć od siebie słuchawkę. Słyszała jego głos, jak woła i prosi.

– Tak – odpowiedziała w końcu szorstko.

– Nie masz mnie za co przepraszać! To, co napisałaś na kartce... to nie twoja wina, to ja powinienem...

– Dlaczego nagle zniknąłeś? – zaszlochała.

– Dzwoniłem raz, ale nie było cię w domu. Albo miałaś odłączony telefon.

– To chyba mogłeś próbować więcej razy?

– Wiesz co... nie było to takie proste.

– A co się stało? Dzwoniłam nawet do hotelu.

– Moja mama – musiałem do niej natychmiast pojechać.

– Twoja mama?

– Zawsze była okazem zdrowia, lecz teraz... miała zawał.

– O nie, naprawdę?

– Naprawdę... ale już jest lepiej. Wyjdzie z tego. Siedzieliśmy u niej z ojcem w szpitalu. Muszę ci powiedzieć, że... brakowało mi ciebie, ja też tęskniłem.

– Na pewno z tego wyjdzie?

– Tak, na pewno.

Znowu się rozpląkała, musiała odejść od telefonu i przynieść ręcznik papierowy.

– A co z tobą, Justine?

– Przyjedź tutaj, wszystko ci opowiem.

Przyjechał w niecałe pół godziny. Wziął ją w objęcia, całował, kołysał. Zawisła ciężko, bezwładnie w jego ramionach.

– Chodźmy na górę – wyszeptała.

Otworzyła drzwi do sypialni.

– Możemy posiedzieć tutaj. Wprowadziłam pewne zmiany. Wcześniej była tu sypialnia moich rodziców. Wolę, żeby teraz była moja.

Skuliła się na łóżku, on położył się za nią. Zostali w ubraniach.

– Powiedz, co się dzieje – wyszeptał. – Jestem już z tobą, dlaczego byłaś taka zrozpaczona?

– Widzisz, Hans Peter... bo to jest tak... że ściągam na ludzi nieszczęścia... nagłą śmierć.

– Co ty wygadujesz?

– W poniedziałek był tu policjant. Powiedział, że tak właśnie jest. „Ludziom z twojego otoczenia przytrafiają się nieszczęścia”. Tak powiedział. Hans Peter, tak się boję, a jeśli naprawdę tak jest, a jeśli tobie coś się stanie...

Czuła jego wargi na swojej szyi, ale robił krótsze wdechy, słuchał z uwagą.

– Czego chciał ten policjant?

– Mężczyzna, z którym byłam, Nathan, wspominałam ci o nim, zaginął w dżungli. Nie odnaleźliśmy go. Musieliśmy wracać bez niego... to było... straszne. A potem... jak już mieliśmy wracać do Szwecji, jakiś szaleńiec włamał się do mnie i dziewczyny, która była z nami w dżungli... dzieliłyśmy pokój... on ją zadźgał nożem... zmarła na miejscu, na pewno czytałeś o tym w gazetach. A teraz... teraz zniknęła moja koleżanka ze szkoły, była tutaj, odwiedziła mnie, pamiętasz, w sobotę... nie wróciła już do domu, policja jej tu szukała. Byłam taka wściekła, gdy ten policjant to powiedział... ale teraz... teraz sama już nie wiem... bo w środę... wzięłam do domu moją macochę, jest stara i sparaliżowana, mieszka w ośrodku opieki, a ja pomyślałam, że się ucieszy, jeśli ją wezmę do domu...

– Nie musisz mi tego opowiadać, jeśli nie chcesz.

– Ona po prostu nagle zmarła. Byłyśmy w piwnicy, przyleciał za nami ptak, obserwowałam go, a po chwili... Flora była już martwa.

– Najdroższa Justine.

Odwróciła się do niego, płakała w jego niebieską bluzę.

– Zrozumiem, jeśli odejdziesz.

– Przecież to tylko nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Głuptasku, to nie twoja wina.

– To dlaczego ten policjant tak powiedział?

– Głupio powiedział. Przecież wiemy, że nie ma racji, prawda?

– No tak...

Jego oddech wrócił do normy. Chwyił kraciasty pled, owinął nim ich oboje.

– Nie idziesz chyba dziś wieczorem do pracy, zostaniesz?

– Nigdzie nie idę, Justine, zostanę z tobą.

Gładził ją po włosach, całował po szyi i uszach.

– Ale ty nie zamierzasz zniknąć?...

– Wybacz, Justine, wybacz mi, powinienem był zadzwonić. Ale ojciec jest zupełnie zdruzgotany, a ja zawsze byłem dla nich jedyną podporą.

Leżeli jakiś czas wtuleni w siebie. Trzymał ją w objęciach, był ciężki, pełen życia. W jego ramionach odzyskała spokój i pogrążyła się w przyjemnym letargu.

– Masz chusteczkę? – wyszeptała.


Poszperał w kieszeni, wyciągnął pomięty kleenex.

– Jest czysta, nawet jeśli tak nie wygląda.

– Wierzę ci – odparła i wytarła nos.

Pozwoliła rękom powędrować w dół, w kierunku jego wąskich, twarzych bioder.

– Hans Peter – wyszeptała, jakby chciała uwiecznić w tym pokoju jego imię.



Justine Dalvik mieszka samotnie w rodzinnym domu. Oboje rodzice już nie żyją, a dziewczyna wciąż nie może się otrząsnąć z koszmaru, jakim było jej dzieciństwo. Upokarzana i dręczona przez macochę nie miała wokół przyjaznej duszy. Późniejszy związek z o wiele starszym od niej kochankiem przyniósł kolejne cierpienia. Teraz jednak w życiu Justine pojawia się nowy mężczyzna, który wydaje jej się tym jedynym. Ale czy zdoła ona pogodzić się z przeszłością, zapomnieć o tych, którzy uczynili jej życie tak nieszczęśliwym? Pojawia się myśl o odwecie...

Patronat medialny:



buchmann .pl